

Hannah
Shah

*Niewierna
córka*

 hachette
POLSKA

pisane przez życie

Hannah
Shah

Niewierna córka

**W tym świecie śmierć córki jest lepsza,
niż dyshonor rodziny...**

Hannah jest córką imama, muzułmańskiego przywódcy religijnego. Niechciana przez ojca, bita i gwałcona, żyje nadzieją, że ktoś ją w końcu ocali.

Kiedy odkrywa, że rodzina planuje wysłać ją do Pakistanu w celu zawarcia zaaranżowanego małżeństwa, znajduje w sobie dość siły i odwagi, by uciec. Wybiera inną wiarę - porzucenie islamu jest jednak największym grzechem, jakiego może dopuścić się muzułmanin. Karą jest wyrok śmierci...

ISBN 978-83-7739-894-4

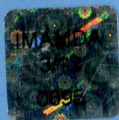


9 788837 7398944



hachette
POLSKA

www.hachette.com.pl



patroni medialni



Hannah
Shah

Brewienna
córka

 hachette
POLSKA

Podziękowania

Chciałam podziękować moim agentom literackim w Wielkiej Brytanii i USA za wiarę i przekonanie, że moja historia powinna zostać opowiedziana. Bardzo dziękuję Josephine Tait, aktywistce na rzecz swobód religijnych, której rady, przyjaźń i pomoc były dla mnie bezcenne. Dzięki, Tom, za to, że jesteś fantastycznym mężem i partnerem życiowym. Swą wdzięczność pragnę wyrazić także Lizzy, Mike'owi i ich rodzinom, dzięki którym miałam gdzie się rozwijać i leczyć rany. Serdeczne podziękowania dla Felicity i Jamesa, którzy zapewnili mi drogę ucieczki i dali szansę na przyszłość.

Słowo od autorki

To prawdziwa historia, która trwała od dnia moich narodzin aż do dziś. Niektóre szczegóły, takie jak dane osobowe, nazwy czy położenie pewnych miejsc (zwłaszcza związanych z moją rodziną) oraz placówek edukacyjnych zostały zmienione, by ochronić mnie przed ewentualną zemstą oraz nie narażać innych na nieprzyjemności. Rozumiem związane z tym ryzyko, ale uważam, że moją historię należy opowiedzieć. W Anglii nie ma takiego miasta jak Bermford - stworzyłam je po to, by mnie i innych nie rozpoznano i nie prześladowano. Ponadto Hannah Shah to pseudonim.

W książce tej opisuję, jak postrzegałam praktykowanie islamu w mojej społeczności w okresie, gdy dojrzewałam. Warto odnotować, że wielu muzułmanów w Wielkiej Brytanii i na świecie wiąże z dorastaniem w tej wierze tylko dobre doświadczenia; należą do nich kobiety, którym wolno być niezależnymi i wyzwolonymi oraz imamowie, którzy nauczają w zgodzie z prawem i mają bardzo pozytywny wpływ na lokalną

społeczność. Niniejsza książka nie ma oczerniać islamu jako takiego. To prywatna opowieść o moich losach.

Dedykowane mojemu „Kurczaczkowi” - jesteś moim skarbem, kocham cię.

*(...)abyście w miłości wkorzeni i ugruntowani **

List do Efezjan 3:17

H.S.

Dla Mamy.

D.L.

Największą słabością przemocy jest to, że jest ona spiralą rodzącą to, co chcemy zniszczyć. Zamiast osłabiać zło, wzmacnia je. Przemoc może zamordować kłamcę, ale nie kłamstwo. Dzięki niej możemy zabić nienawistnika, ale nie zabijemy nienawiści. Odwzajemnianie przemocy pomnaża ją, zaciemniając jeszcze nocne, bezgwiazdne niebo. Ciemność nie odegna zaś ciemności - może to zrobić tylko światło. Nienawiść nie pokona nienawiści - uczynić to może tylko miłość.

Dr Martin Luther King jr.

* Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Poznań 2003.

Nie wiercie w jakiegokolwiek przekazy tylko dlatego, że przez długi czas obowiązywały w wielu krajach. Nie wiercie w coś tylko dlatego, że wielu ludzi od dawna to powtarza. Nie akceptujcie niczego tylko z tego powodu, że ktoś inny to powiedział, że popiera to swym autorytetem jakiś mędrzec albo kapłan lub że jest to napisane w jakimś świętym piśmie. Nie wiercie w coś tylko dlatego, że brzmi prawdopodobnie. Nie wiercie w wizje lub wyobrażenia, które uważacie za zesłane przez boga. Miejcie zaufanie do tego, co uznaliście za prawdziwe po długim sprawdzaniu, do tego, co przynosi powodzenie wam i innym.

Siddhartha Gautama (Budda)

Największy problem ze światem polega na tym, że głupcy i fanatycy są zawsze pewni siebie, a mędracy - pełni wątpliwości.

Bertrand Russel

Jedno słowo uwalnia nas od brzemienia i cierpienia w życiu - to słowo to „miłość”.

Sofokles

*Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość - te trzy:
z nich zaś największa jest miłość.*

1 List do Koryntian 13:13

Moja ulica

Bawiliście się kiedyś w „potwory pod schodami”? Chyba mnóstwo dzieci w to gra. Udajecie, że to tata jest potworem, żeby było straszniej, co ma usprawiedliwić dziką, roześmianą bieżaninę.

Idziesz spać, a mama nie pochwała zabawy. Sunie za tobą, jej delikatny dotyk popędza cię na schodach. Uważa, że udawanie potwora przez tatę sprawi, że przyśnią ci się koszmary. Ty myślisz, że to bzdury. Uwielbiasz to. Masz nadzieję, że to dziś. Tata wyskoczy i nastraszy cię, udając potwora.

Stajesz na trzecim schodku.

- Tato, nie jesteś dzisiaj potworem, prawda? - pytasz, ale po cichu modlisz się, by nim był. - Pod schodami nie ma potwora?

Nagle rozlega się: „Grrrr! Grrrrrrr!”.

Tak, to on! To tak fantastycznie przerażające. Co robić? Uciekać po schodach do łóżka, ryzykując, że po drodze cię złapie? Czy uciec na dół w ramiona mamy?

Tata trzyma lampę, a za tobą czają się w mroku jego głupie miny. To tata wydaje przerażające ryki, jednocześnie starając się nie śmiać. To tata próbuje cię chwycić za nogi rękami ułożonymi niczym smocze pazury, kiedy ty, pięcioletnie dziecko, krzyczysz, śmiejesz się, udajesz przerażenie i uciekasz do łóżka.

To tata stoi z poduszką na głowie, wchodzi na krzesło, by wydawać się większym, wsadza palce do ust, krzycząc jak żabostwór, starając się ukryć to, że tak naprawdę cię kocha. To tata. Tylko tata. Twój niemądry, kochający, pobłażliwy ojciec.

Nie boisz się, bo to tata.

Nie boisz się, bo nigdy nie miałeś ojca takiego jak ja. Twój tata nigdy nie szarpał liny, usiłując związać cię leżącą na zimnej podłodze. Nigdy siłą nie przybliżał do siebie twojej twarzy lub ręki. Nigdy nie zdierał z ciebie ubrania z pogardą i pożądaniem w oczach.

Nigdy tak nie było. Przynajmniej mam nadzieję, że nie. Takiego dzieciństwa, jakie miałam, nie życzyłabym najgorszym wrogom.

Wyobraźcie sobie, że zabawa w potwory pod schodami przestacza się w rzeczywistość. Ojciec naprawdę jest bestią, bardziej złowrogą i przerażającą, niż może pojąć dziecięcy umysł.

Twój ojciec naprawdę jest potworem, a ty jego ofiarą.

Jak to napisać, żeby nie zabrzmiało jak scena z horroru? Być może się nie da. Mogę tylko opisać prawdę i liczyć, że uwierzyście, że tak wyglądało moje życie.

Budzi mnie dźwięk uderzenia ręką. To moja matka puka w drzwi do piwnicy znajdujące się nade mną.

Jeszcze chwilę wcześniej powietrze wypełniał zapach lawendy. Leżałam na polu wśród fioletowych kwiatów. Promienie letniego słońca muskały moją twarz, a na bezchmurnym niebie krążyły białe gołębie, chroniąc mnie. Byłam bezpieczna. Szczęśliwa. Wydawało mi się, że to raj.

Z góry dobiega odgłos otwieranych drzwi. Następnie kliknięcie włączanego światła. Zamykam oczy, kiedy pada na mnie jaskrawe światło, przebijając mrok.

Otwieram je powoli, z początku oślepiona. Podczas dni spędzonych w uwięzieniu przyzwyczaiałam się do samotności, głodu i mroku. Białe gołębie - moje Ptaki Samotności - zniknęły. Tak samo pola lawendy. Piękny, magiczny świat wyobraźni opuszcza mnie.

Coś przebiega mi po stopach - to jakieś zwierzę. Może mysz? Mam nadzieję, że to nie szczur. Gdzie są moje ptaki, kiedy ich potrzebuję? Kiedy moje oczy przyzwyczajają się do światła, dostrzegam nagie ściany piwnicy. Moje więzienie. Jestem w więzieniu. To koszmar mojego dzieciństwa.

Patrzę na moje półnagie ciało. Pokryte jest czerwonymi zadrapaniami i fioletowymi sińcami - śladami mojego brudnego, wstydliwego, pełnego nienawiści życia. Drzę. Nie z zimna. Z powodu wstydu i przerażających wspomnień.

- Ojciec mówi, że pora, żebyś stamtąd wyszła.

Słyszę słowa dobiegające z góry. Wypowiadane są napiętym tonem. Znam ten głos. To moja matka. Nigdy nie zobaczy mnie w takim stanie. Musiałaby wtedy stawić czoła rzeczywistości, ale dziś, tak jak co dzień, wybiera łatwą drogę - ścieżkę dobrowolnej ignorancji.

Siadam wyprostowana, opierając obolałe plecy o ceglana ścianę. Znajduję swoje żółte spodnie i koszulkę, rzucone obok mnie na stos. Zakładam je, krzywiąc się z bólu spowodowanego zdrętwiałymi kończynami. Jak długo byłam tu tym razem? Dwa dni? Trzy? Cztery?

Kto wie?

Jak zawsze spędziłam utracone dni w świecie wyobraźni - wśród pól lawendy i Ptaków Samotności. Tam jestem kochana i wolna, tam panuje ciepło, dając mi ucieczkę od ciemności.

- Pospiesz się! - krzyczy mama. - Ojciec ma gości!

Wchodzę po schodach, z trudem przebierając obolałymi nogami. Wynurzam się z piwnicy, trafiając do kuchni. Mama przygotowała już tacę z herbatą i ciastkami.

- Doprowadź się do porządku! - gani mnie.

Niejest w stanie na mnie spojrzeć. Jestem jak stwór z brudu i wstydu, mroczny sekret, który rodzina skrywa pod schodami. Czuję się winna. Chcę ją przeprosić. Pragnę powiedzieć jej, że ją kocham, że chciałabym, by to się skończyło, i że to nie moja wina. To nie ja. Przepraszam. Jestem tylko dzieckiem. Czuję się winna...

Mama wysyła mnie do łazienki, żebym się umyła. Obwiązuję głowę chustą, chowając przetłuszczone, posklejane włosy. Dostaję do rąk tacę i zostaję wysłana w stronę pokoju mężczyzn.

Podchodzę do niego jak w transie i pukam. Na kanapach w kwieciste wzory siedzi kilku znanych mi mężczyzn. Wszyscy mają długie brody i tradycyjne ubrania - luźne galabije i nakrycia głowy. W samym środku znajduje się ich przywódca, imam naszego meczetu - mój ojciec.

Widząc go, spuszcza wzrok. Bez słowa kładę tacę.

- O, to Hannan! - mówi jeden z mężczyzn. - Dobrze, że usługuje gościom. Nie ulega zdegenerowanym angielskim wpływom, jak wiele znanych mi dziewczyn. Ile ma lat, siedem?

- Nie, dopiero skończyła sześć - odpowiada ojciec.

Jego łagodny ton wywołuje we mnie strach, przez co podnoszę wzrok. Przez krótką chwilę patrzę mu w oczy. Ale nie ma w nich nic delikatnego. Są przepełnione pogardą i niesmakiem.

Znowu pochylam głowę i wycofuję się w milczeniu z pokoju. W oczach pojawiają mi się łzy. Wiem, że jestem nieomal w piekle.

Niewiele pamiętam z czasów, kiedy byłam mała. Niejasne i mgliste obrazy wyłaniające się z ciemności i szarugi. Chyba wyparłam te wspomnienia. Kto może mnie za to winić?

Pamiętam jednak swoją ulicę. Czerpałam z niej mnóstwo frajdy. Była fantastyczna.

East Street w Bermford na północy Anglii stała się moim placem zabaw. Dwa rzędy identycznych, wiktoriańskich, ceglanych domów i park na końcu ulicy. Drzewa były powykęcane i wydawały mi się ogromne. Były tak wielkie, że wyobrażałam sobie, że są potworami ze strasznymi oczami i zębami. Kiedy bawiliśmy się tam w chowanego, rzucały na nas groźne cienie.

Teorię o drzewach potworach zachowałam dla siebie i znajomych. Nie opowiadałam o nich rodzinie, która i tak śmiała się z mojego bujania w obłokach.

Normalne było, że ludzie bawią się na ulicy i wpadają do siebie z odwiedzinami. Zostawiano otwarte drzwi i nikt nie bał się,

że go okradną. Jeśli chciałam, mogłam zawsze przyjść do mojej przyjaciółki, Aminy. Jeśli znikałam na ponad trzy godziny, ktoś zaczynał mnie szukać - matka lub jeden z braci. Ale i tak miałam sporo swobody jak na mój wiek.

Zawsze podawano mi do picia sok owocowy albo tradycyjną herbatę. Wodę gotowano z liśćmi herbaty, dolewano gorące mleko i czasami kardamon. Dawano mi też jeść - od czekoladek i ciasteczek po curry z *cbapatu*. To była typowa azjatycka ulica w latach 80. w Wielkiej Brytanii - zżyta społeczność, w której wszyscy się znali.

Moja mama była świetną kucharką, potrafiącą niewielkim kosztem stworzyć pyszne, pikantne potrawy. Robiła *chapati* ze specjalnej mąki. Dodawała do niej wody, by zrobić ciasto, a następnie brała kawałek wielkości pięści, robiła z niego płaski placek i smażyła do momentu pojawienia się ciemnych plam. Smażyła też naleśniki *paratha* na patelni z długą rączką, zwanej *tava*. Kiedy wrzucała je na olej, pęczniały niczym balony z ciasta.

Jedliśmy rękami, używając ciasta jak łyżki. Mama korzystała z noża tylko do krojenia warzyw. Robiła też samosy z przyprawionym mięsem mielonym albo ziemniakami i grochem. Smażyła *pakory* z krojonej cebuli i papryczek chili w cieście z *besanu*. Wrzucała je na głęboki tłuszcz, a kiedy były usmażone, wypływały na wierzch, chrupiące i złote.

Moją ulubioną potrawę mama robiła z curry, *garam masali*, papryki, zielonego chili i pomidorów w puszcze. Nikt nie przygotowywał tego tak jak ona. Zaś moim ulubionym śniadaniem był chleb z jajkiem. W przeciwieństwie do większości jadanych przez nas potraw nie należało ono do tradycyjnych

pakistańskich dań, ale mamie smakowało, a ja je uwielbiałam. Robiła je, maczając białe pieczywo w jajku i smażąc na oleju. Pyszne!

Naprzeciwko nas mieszkała rodzina z Armenii - matka z synem. Jako jedni z niewielu nie byli muzułmanami z Pakistanu. Armenka starała się porozumieć z mamą, ale obie nie najlepiej posługiwały się angielskim. Mama powiedziała, żebyśmy nazywali tamtą panią „ciocią”, co jest oznaką szacunku. Jednak tata by tego nie chciał. Prywatnie nie okazywał go nikomu poza pakistańskimi muzułmanami. Nie považał nawet wyznawców islamu z Indii mieszkających za rogiem.

Armeńska „ciocia” przynosiła nam swoje rodzime potrawy. Mama odwdzięczała się, przygotowując pakistańskie pyszności. Na szczęście ciocia pamiętała, by nie dawać nam wieprzowiny. Nie byłoby to mile widziane! Przyrządzała głównie dania wegetariańskie - bakłazany, ziemniaki i marchewki w słonym, pieprzonym sosie. Zanim zaczęliśmy jeść, mama przeglądała mięso, sprawdzając, czy nie jest podejrzone. Następnie mogliśmy zacząć pałaszować.

Kiedy pogoda sprzyjała, armeńska ciotka stawiała w ogródku krzesło. Siadała tam z synem, ciesząc się słońcem i obierając ziemniaki. Czasami przystawaliśmy porozmawiać, ale nigdy nie byliśmy w środku. Musiała zdawać sobie sprawę, że nie jest mile widziana w naszym domu, więc odwdzięczała się tym samym. Na szczęście nie wiedziała, że powodem jest niechęć mojego ojca do białych.

Kilka domów dalej mieszkała inna armeńska rodzina - matka, ojciec i córka. Byli zupełnie inni niż nasza ciotka.

Ilekróć ich widzieliśmy, warczeli na nas. Chodzili do cerkwi, jednak to, że wyznawali prawosławie, a my byliśmy muzułmanami, nie stanowiło problemu. Warczeli na wszystkich, niezależnie od religii. Chyba mówili coś po armeńsku, ale nie brzmiało to zbyt uprzejmie. Widocznie po prostu nie przepadali za ludźmi.

Jeden czy dwa domy wynajmowali studenci, więc na ulicy mieszkali też młodzi ludzie. Pewnego roku wprowadzili się tam uczniowie z Kongo. W moim rodzinnym mieście mieszkało wielu czarnych Afrykanów, ale na naszej ulicy byli tylko ci. Na końcu drogi mieszkała też samotna, starsza, biała pani.

Poza nimi wszyscy mieszkający przy tej ulicy byli pakistańskimi muzułmanami. W tej części miasta znajdowała się jeszcze jedna taka ulica - obie składały się na terytorium opanowane przez naszą mniejszość. Kiedy byłam nastolatką, mieszkało tu więcej pakistańskich muzułmanów, niż kiedy się urodziłam.

Dorośli w większości ubierali się tak, jak robiliby to w wiosce w Pakistanie. Wszyscy nosili strój zwany *salwar kamiz*, czyli wąskie spodnie i luźną szatę. Kobiące stroje były bardziej kolorowe, a te należące do mężczyzn - przeważnie brązowe, szare lub białe. Tata zawsze nosił *salwar kamiz* oraz *topi* - tradycyjne pendżabskie nakrycie głowy.

Większość mężczyzn ubierała się tak, kiedy nie była w pracy. Pracowali głównie w zachodnim środowisku, więc nosili odpowiednią odzież. Mieli „maskę”, którą zakładali, kiedy udawali się w szeroki świat. Tam posiadali alternatywne osobowości jako taksówkarze, policjanci, inżynierowie czy sprzedawcy. Ale kiedy wracali na naszą ulicę, znów byli w pakistańskiej wiosce.

Kobiety z pokolenia moich rodziców nie pracowały, ale niektóre z tych młodszych znajdowały posady jako sekretarki lub sprzedawczynie w sklepach, przynajmniej do momentu ślubu. One też ubierały się w pracy w stylu zachodnim. Oczywiście musiały odpowiednio zachowywać się i zakrywać ciało.

Cztery domy od naszego mieszkał mój wujek-dziadek Kramat i ciocia-babcia Sakina. Byli dla mnie zastępczymi dziadkami, gdyż ci prawdziwi zostali w Pakistanie. Nie przepadałam jednak za wizytami w ich domu. Bałam się wujka Kramata, który wyglądał groźnie z powodu bujnej brody i krzaczastych brwi. Oboje plotkowali na temat moich rodziców. Nigdy nie dogadywali się z nimi, a ja nie wiedziałam dlaczego.

Wujek i ciocia mieli troje dzieci - dwóch synów, Ahmeda i Saghira, oraz córkę, Kumar. Ahmed pracował jako kierowca autobusu. Był właścicielem domu, który wynajmował studentom, ale mieszkał z żoną u rodziców. Tak samo Saghir z żoną oraz Kumar z mężem. Cztery rodziny żyły pod jednym dachem. Na naszej ulicy nie było to nic dziwnego.

Kramat i Sakina nie doczekali się wnuków. Ich dzieci miały chyba problemy z płodnością. Niektórzy na ulicy szeptali, że to kara Allaha. Wujek nie był bardzo religijny, przynajmniej nie tak, jak rozumiano to na naszej ulicy. Czasami nie chodził do meczetu. Bez przerwy też palił, co uważano za bluźnierstwo.

W czasach Mahometa nie palono, więc Koran nie wspomina bezpośrednio o tytoniu. Mówi jednak: „Nie gotuj sobie śmierci własnoręcznie” i „Nie zabijaj się”. Ponieważ palenie prowadzi do raka, wielu muzułmanów uważa, że wersety te zabraniają go.

W naszej społeczności szczęście często łączono z moralnością. Brak pobożności wujka Kramata uważany był za powód, dla którego jego dzieci są bezpłodne. Plotkując o tym, że nie ma on wnuków, nikt nie wspominał, że zarówno Ahmed, Saghir, jak i Kumar wzięli ślub z rodzeństwem stryjecznym lub cioteczynym, co zmniejsza szanse na posiadanie dzieci.

Dzieci wujka Kramata próbowały też zapłodnienia in vitro. Uważano to za jeszcze większe bluźnierstwo. Jeśli Allah zdecydował, że ktoś nie powinien mieć dzieci, nie wolno było mu się sprzeciwiać. Należy to zaakceptować.

W islamie najważniejsze jest posłuszeństwo wobec woli Allaha. O wiernych mówi się wręcz, że są „niewolnikami Boga”. Często błędnie uważa się, że podstawowym znaczeniem słowa „islam” jest „pokój”, i zapomina się o tym, iż pokój ten osiągnąć można jedynie poprzez poddanie się woli Allaha.

Moją najlepszą przyjaciółką była Amina. Miała niesforne ciemne kręcone włosy. Gęste loki opadały jej na ramiona. Nie uważałyśmy, żeby wyglądało to ładnie. Nikt jednak nie prostował jej włosów, więc musiała z tym żyć. Jej siostrę, Ruhamę, uważano za ładniejszą. Miała pofalowane włosy, które łatwiej było okiełznać. Obie miały bledszą skórę niż ja i moje rodzeństwo.

- Jest taka śliczna! - komentowano wygląd Ruhamy.
- Ma takie piękne włosy i jasną skórę!

Kiedy to usłyszałam, pomyślałam, że ciemna skóra jest po prostu brzydsza.

Rodzina Aminy była mniej restrykcyjna niż moja. Rodzice nie modlili się regularnie, a poza lekcjami z Koranu nie zmuszali jej do czytania świętej księgi. Ani ona, ani Ruhama nie

musiąły nosić hidżabu poza domem. Zakładały go tylko na czytanie Koranu w meczecie. Ja nosiłam go cały czas, ponieważ mój ojciec był imamem*.

Amina, Ruhama i ja ciągle grałyśmy w klasy. Rysowałyśmy pole na chodniku. Płytki formowały kwadraty, musiałyśmy więc dopisać tylko cyfry. Zasady były proste - rzuć kamyk i wskocz na pole, a następnie przeskocz na dwa pola obiema nogami. Jeśli dotykało się linii (w tym przypadku krawędzi płytek chodnikowych), przegrywało się. Następna osoba próbowała zająć dalej.

Zaczęłyśmy grać na czas, licząc do stu i patrząc, kto skończy szybciej. Ruhamie szło świetnie, aleja nie dorównywałam jej zwinnością i nie potrafiłam się tak skoncentrować jak ona. W połowie zaczynałam bujać w obłokach. Mój świat nie był zbyt szczęśliwy, więc tworzyłam sobie drugi, który należał tylko do mnie.

Najbardziej lubiłam pokój Aminy i swój. Uwielbiałam czytać, więc w każdej wolnej chwili oddawałam się lekturze. Radość sprawiało mi także wymyślanie różnych historii i rysowanie. Większość obrazków przedstawiała mały domek z pięknym ogrodem. Mój wymarzony dom. Tak naprawdę mieliśmy mały ogródek, w którym mama hodowała miętę i kolendrę. Nie było tam kwiatów - nie miała na nie ani miejsca, ani czasu.

Uwielbiałam dzień piątego listopada, kiedy to obchodzono święto Guya Fawkesa. Wówczas na naszej ulicy palono ognisko. Przez kilka dni wszyscy starali się, by było jak największe, i dorzucali do niego gałęzie czy niepotrzebne skrzynki. Każda rodzina kupowała jakieś fajerwerki. W listopadzie zazwyczaj jest

* **Przywódcą duchowy, osoba prowadząca modlitwę w meczecie (przyj. red.).**

zimno, zakładaliśmy więc wełniane szaliki i czapki. Uwielbiałam wyczekiwać, aż ognisko zapłonie.

Mężczyźni przeważnie polewali drewno benzyną, każąc nam się odsunąć, a następnie rozpalali je. Wybuchało ogniem, ogrzewając nasze twarze i puszczając w niebo skry. Później piekliśmy na nim ziemniaki, pianki cukrowe i zajadaliśmy się tom.

Była z nami zarówno armeńska rodzina, jak i studenci z Afryki. Wszyscy na ulicy stanowili wtedy prawdziwą wspólnotę - poza moim ojcem. Stał przed naszym domem, spoglądając z dezaprobatą. Nie lubił, jak inni się dobrze bawili.

Ponieważ Gwiazdka i Wielkanoc były chrześcijańskimi świętami, nie obchodziliśmy ich w naszej społeczności. Jednak tata nie wiedział, na czym polega piąty listopada, bo nie znał historii ani tradycji Wielkiej Brytanii, która stała się jego domem. Uważał, że Anglia jest niemoralna i że mieszkają tu niewierni, bo dla niego liczyła się tylko ojczysta ziemia i religia.

Według niego święto Fawkesa należało do białych Anglików, a nie do nas. Nie miał jednak żadnego „religijnego” powodu, by go zakazać. Wszyscy je uwielbiali, musiałyby więc walczyć, by to zrobić. Zamiast tego, nigdy się do nas nie przyłączał i dawał nam znać, że go nie aprobuje.

U wylotu naszej ulicy znajdowała się inna droga, prowadząca do West Albion Street. Nie mieliśmy powodów, by tam chodzić - szkoła i centrum miasta znajdowały się w przeciwnym kierunku. Tam z kolei znajdowało się kilka bogatych domów z dużymi ogrodami i żelaznymi ogrodzeniami. Na podjazdach parkowały land rovery i mercedesy, których właściciele posiadali

groźne rottweilery. Wiedli zupełnie inne życie niż my i wiedzieliśmy, że nigdy nie będziemy bawić się w ich ogrodach.

Po drugiej stronie mieszkał Jack, czyli terier rasy jack russel. To, że był mniejszy niż rottweilery, nie znaczyło, że był mniej groźny. Ten mały futrzak zawsze wypadał z domu właściciela, kiedy nas zauważył, warcząc i szczekając. Jeśli nas dogonił, gryzł równie zawzięcie, co szczekał!

Pewnego dnia dwójka moich znajomych wracała z miasta do domu. Weszli na naszą ulicę, a Jack ich zauważył.

-Jack! Jack! - krzyknęła właścicielka. - Wracaj!

Ale Jacka to nie powstrzymało. Moi znajomi biegli tak szybko, jak mogli, ale jedna dziewczynka, Saira, była zbyt wolna. Jack dopadł ją i ugryzł w nogę.

Kiedy dowiedziałyśmy się, co się stało, poszłyśmy z mamą w odwiedziny. Saira delikatnie odwinęła bandaż, by pokazać nam ranę otoczoną szwami. W miejscu, gdzie ugryzł ją Jack, widać było ślady. Byłam pod wrażeniem. Dziewczyna musiała dostać zastrzyk przeciwłężcowy, na wypadek gdyby Jack ją czymś zaraził.

Rodzice Sairy byli wściekli. Na sąsiedniej ulicy mieszkał pakistański muzułmanin, który był policjantem. Każdy z nas, kto miał problem, udawał się z nim do niego. Tak też zrobili rodzice dziewczyny. Mężczyzna nalegał, by oficjalnie zgłosili to na policję. Powiedział też właścicielce Jacka, że pies musi chodzić w kagańcu. Jednak nic to nie dało.

Właścicielką zwierzaka była starsza pani, ostatnia biała Brytyjka na naszej ulicy. Czasem, kiedy świeciło słońce, siedziała przed domem. Jednak nigdy się z nią nie witaliśmy, bo baliśmy

się Jacka. Tak czy siak, miała gości z własnego środowiska i nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego.

Naprzeciwko jej domu znajdował się zapuszczony budynek, ukryty wśród krzaków. Był mroczny i tajemniczy, a moi bracia twierdzili, że mieszka tam potwór. Wierzyłam im i nie lubiłam koło niego chodzić. Uznałam, że ma okropnie wykrzywioną twarz, bo inaczej, czemu by tam mieszkał? Wydawało mi się też, że jest biały, bo ktoś powiedział mi kiedyś: „Widziałem potwora, był biały jak duch”. Opowiadaliśmy sobie, co zrobi nam potwór, kiedy nas złapie. Zakir, najstarszy z moich braci, mówił mi, że jada dzieci na śniadanie.

Z powodu parku ze straszными drzewami, groźnego Jacka i potwora był to przerażający fragment ulicy. Kiedy do niego dochodziłam, zaczynałam biec, dopóki nie dotarłam do bezpiecznego odcinka.

Pozdrowienia dla Pakistanu

Moi rodzice pochodzili z rolniczych rodzin i mieszkali na wsi. Jednak w Wielkiej Brytanii żyli w mieście, otoczeni ścianami i asfaltem. Całymi miesiącami przebywali tylko w domu, na naszej ulicy i w *meczecie*.

Mama uwielbiała spędzać czas na świeżym powietrzu, ale musiała zajmować się sześciorciem dzieci i mężem. Pranie, prasowanie i gotowanie dla ośmiu osób zajmowało jej większość czasu. Nie byłaby w stanie przetrwać bez wujków, ciotek i reszty krewnych. Potrzebowała ich w równym stopniu co sklepów oferujących jej ulubione tradycyjne składniki: mięso *halal**, przyprawy, piżmian i mąkę *chapali*. Moi rodzice odtworzyli swoje wiejskie życie na East Street. Ponieważ ograniczała się do jednej ulicy, nasza społeczność była jeszcze mniejsza niż w ich wiosce.

Jeszcze pokolenie wstecz mój dziadek nie poradziłby sobie z życiem w mieście. Gdyby udał się do Islamabadu lub innego

* **Halal** - oznacza wszystko, co dozwolone według prawa szariat. Słowo to stosowane jest często na określenie muzułmańskiej diety (przyp. tłum.).

dużego ośrodka w Pakistanie, od razu chciałby wrócić. Ale moi rodzice uciekali przed życiem na wsi w tym kraju; chcieli uwolnić się od ubóstwa poprzez emigrację. Angielskie miasteczka miały elektryczność, bieżącą wodę, darmową edukację i sklepy pełne jedzenia. W wioskach, z których pochodzili, toalety zastępowały rowy w ziemi, a szkoły praktycznie nie istniały.

Dorastając w pakistańskiej wiosce, mój ojciec zakończył edukację w wieku jedenastu lat. Następnie zaczął uczęszczać do medresy, szkoły religijnej, w której uczą tylko Koranu. Mama była jeszcze gorzej wykształcona. Po roku w wiejskiej szkole ledwie umiała czytać i pisać. W domu mówiliśmy po pendżabsku albo w urdu, ale nie po angielsku.

Kiedy ojciec przyjechał do Wielkiej Brytanii, miał niespełna trzydzieści lat. Zajmował się rolnictwem w Pendżabie, na granicy między Indiami a Pakistanem. Pod względem religijnym był sunnitą deobandyckim. Wyznawcami tego odłamu są głównie plemiona w północnych Indiach, Pakistanie i Afganistanie.

Kiedy tu przybył, mieszkał w wynajmowanym domu w Lancashire z innymi Pakistańczykami z tego samego regionu. Piętnastu do dwudziestu mężczyzn w jednym bliźniaku. Nie mówili po angielsku, bo nie potrzebowali tego ani w domu, ani w pracy.

Przyjechali pracować w fabryce tekstyliów. Kiedy tylko byli w stanie, pomagali sobie nawzajem kupić domy. Nie wydawali pieniędzy na nic poza jedzeniem i domem. Tata i ojciec mojej znajomej, Skip, oszczędzali przez kilka lat i kupili domy w moim rodzinnym miasteczku. Kredyty hipoteczne nie były popularne

w Pakistanie, więc dokonali zakupu za gotówkę. Mniej więcej dwa lata później przyjechali do nich ich żony.

Mama i tata wzięli ślub, zanim on wyjechał do Anglii. Było to zaaranżowane małżeństwo. Mama pochodziła z innej, równie ubogiej wioski. Wiele osób rzucało się na okazję wyjechania i w ten sposób poprawienia warunków życia. Ulicę, na której zamieszkali, powoli przejmowali Pakistańczycy, a biali Anglicy wyprowadzali się.

Mój tata nie lubił niemuzułmanów. Był to przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych - okres dzieci kwiatów, narkotyków i wolnej miłości, mężczyzn noszących „dziwne ubrania” i długie włosy. Moi rodzice tego nie aprobowali i nie podobało im się, z jakim „brakiem szacunku” odnoszą się angielskie dzieci do rodziców. Nie pasował im brak „więzi społecznych”, więc stworzyli własną społeczność pakistańskich muzulmanów. Nie chcieli dopuścić do „zarażenia” jej wartościami angielskimi.

W domu tata był nieobecny. Siedział w odosobnieniu nad swoją świętą księgą. Ciągłe mamrotał pod nosem wersety Koranu i dotykał *tasbih*, czyli sznura modlitewnego. Wygląda on bardzo podobnie do katolickiego różańca. Składa się z dziewięćdziesięciu dziewięciu paciorków ułożonych w seriach po cztery, po których występuje jeden większy.

Tata zawsze nosił w rękę *tasbih*, nawet idąc ulicą. Z Pakistanu przesłano mu mniejsze odpowiedniki dla moich braci i dla mnie. W wieku czterech lat nauczył mnie już przesuwac paciorki, wymawiając dziewięćdziesiąt dziewięć imion Allaha. Mówienie tych imion (np. Irahma - miłosierny; Rahim - przebaczący; Malik - potężny) ma zapewnić poczucie świętości.

Jednak dla mnie były to obce słowa, których nawet nie rozumiałam. Podobnie jak w przypadku recytowania Koranu, tata nauczył mnie, jak je wymawiać, a nie co znaczą. Po prostu kazał mi to robić. Uczyłam się tych słów, by go zadowolić. Ale kiedy zapamiętałam wszystkie dziewięćdziesiąt dziewięć, nie uśmiechnął się ani nie pochwalił. Zamiast tego wyprowadził mnie do gości i kazał odmawiać *tasbih*. Im bardziej okazywał mi swoją dezaprobatę, tym bardziej pragnęłam go zadowolić.

Tata kierował się swoim wyobrażeniem o tym, jak powinno się żyć w zgodzie z religią. Zajmował się głównie modlitwą - robił to pięć razy dziennie - i kazaniem w meczecie. Często podróżował do Lancasteru, Manchesteru czy Birmingham, jeśli odbywały się tam wydarzenia religijne. Poza tą sferą nie miał żadnego hobby, z wyjątkiem oglądania telewizji. Nawet wtedy puszczał przeważnie nagrania kazań świętych mędrców lub muzykę *qawwali* - sunnickie śpiewy popularne w Pakistanie. Jego „życie towarzyskie” ograniczało się do rozmów z mężczyznami, przeważnie w osobnym pokoju w naszym domu.

W okolicy znajdowały się restauracje serwujące *halal*, ale rodzice nigdy tam nie chodzili. Jedzenie na mieście nie należało do ich kultury. Tak czy siak, ojciec nie wierzyłby, że posiłek naprawdę jest *halal*. Wielu mężczyzn z naszej społeczności wiodło podobne życie - proste, skromne, w odosobnieniu.

Tata nie miał zmysłu praktycznego. To mama i bracia dokonywali większości napraw w domu i dekorowali go. Jeśli przepalała się żarówka, ojciec kazał zająć się tym któremuś z synów. Jeśli nie potrafili sobie z czymś poradzić, dzwonili do wujka Ahmeda. Przez to, że piastował funkcję imama, tata wydawał się

żyć na wyższym poziomie duchowym. Tak przyziemne sprawy jak naprawa kaloryfera były poniżej jego godności. Pozycja imama była bardziej „honorowa” niż praca kierowcy czy mechanika, więc Ahmedowi wydawało się, że jest winien pomoc tacie. Z tego samego względu ojciec nie uważał, żeby wujowi należały się jakiegokolwiek podziękowania.

Co rok rodzice starali się odwiedzać Pakistan. Kiedy miałam trzy lata, zabrali mnie ze sobą, zostawiając moich braci pod opieką krewnych z ulicy. Nie miałam wtedy sióstr. Udaliśmy się do Pindi Khan, małej wioski w Pendżabie, położonej między prowincją Chajber Pachtunchwa a Kaszmiirem.

Była to rodzinna wieś taty. Trwała pora deszczowa, w okolicy znajdowały się zielone pola, a przez środek osady płynęła rzeka. W porze suchej okolica pustynniała, a pola przeradzały się w szary piach. Pindi Khan to odizolowany, wiejski obszar. Wszyscy mieszkańcy są spokrewnieni, to członkowie jednego plemienia. Kuzyni i odlegli kuzyni - śluby brano tam tylko w obrębach własnych klanów. Taka była tradycja. Takie małżeństwa stanowiły linię obrony w ciągłej wojnie klanów.

Życie w Pindi Khan nie należało do skomplikowanych. Ludzie zarabiali na sprzedaży żyta, mleka, bydła, kóz i jaj. Do orki, siania i zbiorów wykorzystywano zwierzęta, a nie maszyny. Podróżowaliśmy tongą - tradycyjnym powozem konnym. Chłopcy uczyli się w medresie lub szkółce wiejskiej, ale większość dziewczynek nie miała dostępu do edukacji. Ta pierwsza placówka miała większy budżet i uważano, że oferuje lepsze wykształcenie. W wioskach nie inwestowano w szkolnictwo publiczne. Medresę prowadził lokalny imam, a finansowano ją z datków.

Mój tata wciąż miał dom w wiosce. Był ceglany, składał się z kilku mniejszych budynków dookoła podwórza. Miał płaski dach, więc można było na nim siedzieć, a nawet spać. Początkowo tata miał zamiar wrócić do wioski, więc rozbudowywał dom. W końcu, kiedy stało się jasne, że zostaniemy w Anglii, przerodził się on w nasze lokum podczas odwiedzin.

Pewnego dnia, krótko po przyjeździe do Pindi Khan, siedzieliśmy przed domem. Rodzice pili poranną herbatę. Brama była otwarta, a na polu wisiało pranie. Wyszłam na dwór i zniknęłam za nim. Chwilę później mama zauważyła, że straciła mnie z oczu, i rozpoczęła poszukiwania. Znalazła mnie na środku pola, siedzącą pod ogromną krową należącą do rodzinnego stada.

Wyglądało na to, że zwierzę pilnuje mnie jak własnego cielaka. Mama zawołała jedną z sióstr ojca i zaczęły się śmiać. Jednak martwiły się, że krowa może zrobić mi krzywdę, więc szybko mnie stamtąd zabrały.

Kilka dni później siedzieliśmy na polu, a dookoła pasły się kozy. Bawiłam się w trawie monetami. Jedno ze zwierząt podszło do mnie, więc zaoferowałam mu pieniążek. Kozy jedzą wszystko, więc ta chwyciła monetę z mojej ręki i połknęła ją. Była to paisa warta mniej niż pens. Mama uważała to zdarzenie za prześmieszne. Opowiadała tę anegdotę wszystkim. Było to zabawne po części dlatego, że nie wiedziałam nic o życiu na wsi - do tego stopnia, że nakarmiłam kozę monetą - a po części dlatego, że tają zjadła.

Kiedy wróciliśmy do Wielkiej Brytanii mama była bardzo dumna z tego, że zabrała najstarszą córkę „do domu”. Opowiadała o tym wszystkim gościom.

— Hannan była w naszej wiosce. Czuła się w Pakistanie jak w domu, to dobry, mużułmański kraj. Adoptowała ją krowa i nakarmiła kozę monetą!

Kiedy nie przygniatało jej brzemień obowiązków, mama miała poczucie humoru. Zastanawiałam się jednak, czy czułam się w Pakistanie jak w domu. Moje wyobrażenia wioski pochodziły z mglistych wspomnień i opowieści mamy o tym, jak było tam w jej czasach.

Mama ciągle wspominała to ze znajomymi. W jej opowieściach wiodło się tam wręcz magiczne życie - sąsiedzi dzielili ze sobą domy, pomagali sobie w polu oraz wspólnie przyrządzali *chapati* i curry. Uwielbiała opowiadać o tym, jak ruszyła na północ Anglii - zawsze przybierała wtedy smutny ton. Znajomi mamy dzielili z nią romantyczną wizję życia na wsi, gdzie wszyscy należeli do jednej wielkiej rodziny.

Listy od ciotek, wujków i rodzin pokazywano sobie nawzajem. To z nich mieliśmy bardziej realistyczny wgląd w życie i kulturę Pakistanu. Dowiadaliśmy się o wujkach, którzy szukali pracy w Dubaju czy Arabii Saudyjskiej, bo nie było jej w rodzinnych stronach. Po pół roku wracali jako „bogacze”. Dostawaliśmy też wieści o narodzinach, zgonach i ślubach wśród naszych dalekich krewnych. Jednak nie było to dla mnie ważne. Nie znałam tych ludzi, więc czemu miałam się przejmować;¹

Rodzice chcieli uczyć nas o Pakistanie, naszej ojczyźnie. Czytaliśmy książki napisane w urdu, opowiadające o postkolonialnym podziale Indii i Pakistanu (między innymi o Muhamedzie Ali-Jinnahu, który doprowadził do podziału i został pierwszym gubernatorem). Aleja byłam tam tylko raz,

w wieku trzech lat. Mieszkałam w Anglii i to ją postrzegałam jako swoją ojczyznę.

Ileć się dostawaliśmy wieści z Pakistanu, moi bracia mamrotali pod nosem: „Dobrze, że tam nie mieszkamy!”.

Zawsze mówili to po angielsku, żeby rodzice nie usłyszeli. Sama też tak myślałam. Moim braciom podobała się Wielka Brytania, bo w porównaniu do Pakistanu był to kraj pełen możliwości. Tutaj normalną rzeczą były udogodnienia takie jak bieżąca woda, elektryczność czy asfalt. Ponadto wiedzieli, z jakimi restrykcjami wiązało się mieszkanie w ojczyźnie naszych rodziców.

Uwielbiali oglądanie piłki nożnej w telewizji, spotkania ze znajomymi, noszenie zachodnich ciuchów i słuchanie popu. W Pakistanie było to zabronione. Spędzali czas w medresie, ucząc się na pamięć Koranu, modląc w meczecie i pracując na farmie. Wielu naszych kuzynów prowadziło takie życie i nie chcieliśmy tak skończyć.

Ale niektórzy z naszej ulicy marzyli o takim życiu. Nazywaliśmy ich *paki*. Często używaliśmy tego słowa, które oznaczało kogoś, kto przyzwyczajony jest do tradycyjnego życia. Moja siostra, Sabina, okazała się taką *paki*. Po tym jak mama i tata pokazali jej rodzinną wioskę, nie mogła przestać o tym mówić.

- Bardzo mi się tam podobało - twierdziła. - Wszyscy są bardzo religijni.

Pakistan to. Pakistan tamto. Męczyło nas słuchanie jej. Zaczęliśmy nazywać ją *paki* prosto w twarz. Wydawała się niemalże dumna z tego. Oczywiście, gdyby nazwał nas tak ktoś z zewnątrz, miałyby to rasistowski podtekst, który by nam

się nie podobał. Wiedzieliśmy, że to słowo może mieć taki wydźwięk. Każde z nas doświadczyło tego w którymś momencie swojego życia.

Mieliśmy też słowo, którym określaliśmy białych - *gora*. Nie jest ono obraźliwe, znaczy po prostu „ktoś biały” ale jego wydźwięk może być różny w zależności od kontekstu, w którym go użyto. W ustach mojego ojca było to rasistowskie wyzwisko. Nie ukrywał, że nienawidzi białych ludzi i ich stylu życia. Spędzał czas w domu lub w meczecie, a *gora* spotykał tylko wtedy, gdy nie mógł tego uniknąć.

Czasem oglądałam w telewizji wiadomości z Pakistanu. Zawsze wydawał się piaszczysty i suchy - miejscami wręcz pustynny. Ciężko było tam utrzymać się z rolnictwa, ale wiele osób nie miało wyjścia. W Pakistanie bogactwo mierzyło się ilością posiadanego bydła.

Jednakże niedawno pojawił się nowy wyznacznik dobrobytu - liczba członków rodziny, którzy przebywają za granicą, w USA, Wielkiej Brytanii czy w kontynentalnej Europie. Był to element paradoksu dotyczącego Zachodu i pakistańskiej wsi. Z jednej strony gardzono tam zachodnią cywilizacją, a z drugiej chwalono się, że mieszka tam i pracuje ktoś z rodziny.

Rodzina za granicą była ważniejszym osiągnięciem niż krewny na hadżu, czyli pielgrzymce do świętych miejsc islamu. Oczywiście to właśnie taka pobożność miała być wyznacznikiem wartości, ale w rzeczywistości liczyło się bydło i krewni za granicą.

- Ale mu dobrze idzie - mówiono. - Jego syn jest w Anglii, ma tam pracę i ożenił się.

Każda praca za granicą - nawet przy pakowaniu pudełek do pizzy - pozwalała zarobić tyle, by po powrocie do Pakistanu być „kims”. Nikt inny nie miał takich pieniędzy. Oczywiście ilekroć rodzice wracali do wioski, traktowani byli jak celebryci. Emigracja to jeden z niewielu sposobów na ucieczkę od życia w ubóstwie na pakistańskiej wsi, który nie zmienia się od pokoleń.

Podobnie jak wielu emigrantów moi rodzice, przenosząc się do Anglii, uważali, że to tymczasowe rozwiązanie. Chcieli zarobić trochę pieniędzy i wrócić do domu. W końcu zdecydowali się jednak sprowadzić tu swoje rodziny i osiedlić na stałe. Mimo to znaczna część mieszkańców naszej ulicy nie pochwałała brytyjskiej kultury i próbowała się od niej odizolować.

Ojciec szybko zorientował się, że edukacja w Wielkiej Brytanii stoi na o wiele wyższym poziomie niż w Pakistanie. Wiedział, że jeśli tu zostanie, jego rodzina będzie mogła to wykorzystać. A to da jego synom szansę na osiągnięcie sukcesu w życiu. Dlatego tu został. Nie dbał o wykształcenie córek. One nadawały się tylko do tego, by wziąć ślub i mieć dzieci. Ale chciał, by synom się powodziło. Byłam czwartym dzieckiem rodziców i pierwszą córką. Z początku bracia cieszyli się, że mają siostrzyczkę. Zakir, pierworodny, był ulubieńcem mamy. Bronił mnie w szkole i na ulicy, jeśli ktoś mnie zaczepiał. Jednak w domu mój ojciec i moi bracia mogli być dla mnie niemili - byłam „tylko dziewczyną”.

Zakir wyrósł na mądralę, wszyscy mówili, że jest mózgiem rodziny. Miał bzika na punkcie piłki nożnej, zbierał naklejki i czasopisma. Wymieniał się nimi ze znajomymi i zawsze

udawało mu się dostać to, co chciał. Był strasznym szczęściarzem. Ale czułam do niego urazę, bo dobrze dogadywał się z mamą i tatą.

Młodszy od niego Raz był najbardziej religijny z rodzeństwa. Nie należał do radykałów - był po prostu uduchowiony. Od najmłodszych lat całym jego życiem był meczet. Niezbyt dobrze radził sobie w szkole, nie przejmował się nauką podstawowych przedmiotów. Najbardziej interesował go Koran, a zaraz potem piłka nożna.

Mój trzeci, ulubiony brat to Billy. „Billy” to właściwie przydomek, który po pendżabsku znaczy „kot”. Mówiliśmy tak na niego, bo swą zwinnością przypominał to właśnie zwierzę. Był też delikatny, troskliwy i uroczy. Ciemna skóra jeszcze bardziej podkreślała jego niewątpliwą urodę, więc kiedy dorósł, podobał się wszystkim dziewczynom. Billy zawsze starał się pomagać w pracach domowych, ale ojciec mu nie pozwalał. Jego zdaniem nie było to „odpowiednie” zajęcie dla chłopców.

Lubiłam go najbardziej, bo jako jedyny okazywał mi sympatię. Zawsze łągodził też spory w rodzinie. Ciągłe walczyliśmy o to, co oglądać w telewizji. On starał się namówić nas, byśmy robili to po kolei.

Po mnie rodzice mieli jeszcze dwie dziewczynki. Najpierw urodziła się Sabina. Podobnie jak Raz była głęboko religijna, choć o wiele bardziej konserwatywna. Nie lubiła brytyjskiej kultury. Nie przepadała za chodzeniem do szkoły i towarzystwem chłopców. Miała niewielu białych znajomych. Ponieważ pasowała do tradycyjnej pakistańskiej kultury, była idealną córeczką mamy i taty, za którą mnie nigdy nie uważano.

Po Sabinie nastąpiła kilkuletnia przerwa, a potem mama urodziła Aliję. Była bardzo ładna. Stała się ulubienicą taty. Okazywał jej wyjątkową wyrozumiałość. Siadała mu na kolanach i zadawała pytania typu: „Jeśli pomodłę się tak, to co się stanie?”. Ku mojemu niepomiernemu zdziwieniu tata zawsze jej odpowiadał.

W naszej kulturze dziewczynki są mniej ważne niż chłopcy. Uznaje się, że ciągle trzeba nas chronić. Nie tylko dla naszego dobra - chodzi też o honor rodziny. Jeśli córka zejdzie na złą drogę, jest to większa ujma, niż gdyby przydarzyło się to synowi. Nigdy nie słyszałam, żeby kobiety na ulicy plotkowały o czymś, co zrobił chłopiec. Nikt się tym nie przejmował. Obmawiano tylko dziewczyny.

Mieszkańcy naszej ulicy przede wszystkim skupiali się na tym, jak zyskać honor, utrzymać go i nie przynieść wstydu rodzinie. Kobiety miały na tym punkcie obsesję. Słuchając ich plotek, dowiadywałyśmy się, co było odpowiednim zachowaniem, oraz jak obliczało się honor danej rodziny.

Jeszcze przed moim urodzeniem tata przestał pracować w fabryce i został lokalnym imamem - duchowym przywódcą społeczności. Nie otrzymywał pensji. Żył ze świadczeń i datków wiernych. W domu się nie przelewało. Większość ubrań otrzymywaliśmy z pomocy społecznej. Zanim urodziły się siostry, dzieliłam pokój z mamą, a potem wszystkie miałyśmy go na spółkę. Jak wiele pakistańskich par, moi rodzice nie sypiali w jednym pokoju. Tata zawsze nocował w salonie. Najstarszy brat, Zakir, miał własny pokój, a jego młodsi bracia spali wspólnie.

Wraz z siostrami ciągle musiałam nosić tradycyjne ubrania. Mama robiła je na elektrycznej maszynie do szycia marki Singer.

Pracowała nad tym, kiedy byliśmy w szkole. Niektóre sąsiadki płaciły jej za robienie ubrań na śluby lub inne okazje. Kiedy bywało ciężko, przeznaczala tak zarobione środki na jedzenie. Jeśli zaś nie musiała, kupowała nam coś dobrego. Nigdy jednak nie wydawała ich na siebie.

Mama bardzo lubiła szyć, sprawiało jej to radość. Cieszyła się z nowych projektów i była dumna z efektów. Powstał tylko jeden problem - uparła się ubierać mnie w jaskrawą żółć. Uważała, że do mnie pasuje, ale ja nie znosiłam tego koloru. Jednak nie mówiłam jej tego. I tak by nie posłuchała.

Krótko po wizycie w Pakistanie kupiliśmy grubą kotkę z ciemnobrązowym futrem. Od razu nazwaliśmy ją Billy, czyli „kot” po pendzabsku. Teraz zarówno mój brat, jak i kotka tak się nazywali. Uwielbialiśmy ją. Dawaliśmy jej do zabawy kawałek sznurka. Jednak tata ignorował kotkę. Nie lubił, kiedy kręciła się koło niego, zwłaszcza gdy czytał Koran. Twierdził, że koty są brudne i Billy musi przebywać na dworze.

Pewnego dnia kotka głośno miauczała, jakby coś ją bolało. Była też bardzo gruba. Spytałam mamę, co stało się zwierzątku.

- To nic takiego - odparła. - Będzie mieć kociątka.

Byłam zdumiona. Myślałam, że za dużo ją karmiliśmy. Mama przeniosła koszyk kotki do kuchni i przez kilka dni karmiła ją ciepłym mlekiem. Pewnego ranka Billy urodziła ośmioro kociąt. Jednak w ciągu kilku godzin połowa umarła. To było strasznie smutne. Mama powiedziała, że możemy wybrać jedno spośród tych, które przeżyły. Rozpętało to kłótnię między rodzeństwem.

- Weźmy tego!

- Nie, ten jest najładniejszy!

- Tego! Tego! Właśnie otworzył oczy!

Kiedy wybraliśmy kotka, musieliśmy znaleźć domy dla reszty. Co zabawne, drugie zwierzę też nazwaliśmy Billy. Poza moim bratem mieliśmy więc Billyego Jeden i Billyego Dwa. Jednak tuż po okoceniu się kotka stała się bardzo agresywna - najpierw w stosunku do swojego potomka, a potem do nas. Zaczęła drapać i dziczeć.

W końcu, nie mówiąc mi nic, bracia postanowili się jej pozbyć. Wywieźli ją samochodem i porzucili. Tęskniłam za nią, ale nikt nie powiedział mi, co się z nią stało. Nie wyjaśniono mi też, jak zaszła w ciążę, a ja bałam się zapytać. Takie pytania nie wychodziły w moim domu na zdrowie.

Od małego żyłam otoczona przez religię ojca, islam. Wypełniała ona życie każdego z nas od świtu do zmierzchu. Ojciec uczył mnie o pięciu filarach islamu, podstawie naszej wiary. Każdy, kto się ich trzymał, zmierzał do raj. Pierwszy z nich to wyznanie wiary; drugi - jałmużna; trzeci - post w trakcie świętego miesiąca Ramadan; czwarty - hadż, pielgrzymka do Mekki; piąty zaś - modlitwa pięć razy dziennie.

Od trzeciego roku życia moim najważniejszym zadaniem stała się nauka Koranu. Czytanie go było dla muzułmanki wyznacznikiem honoru. Jeśli osiągnie się pewien wiek, nie przeczytawszy księgi, sprowadza to wstyd na rodzinę. Na naszej ulicy mieszkał mężczyzna okryty niesławą, który nigdy nie nauczył się arabskiego. Oznaczało to, że nie potrafił czytać i recytować Koranu, gdyż księga napisana i wykładana była w klasycznym arabskim.

Nie tylko musiałam nauczyć się czytać Koran, ale robiłam to w nieznanym mi języku - po arabsku. Ojczystymi językami rodziców były urdu i pendżabski, a w domu mówiono przeważnie w tym drugim. Mój tata prowadził lekcje Koranu dla wszystkich dzieci na ulicy do lat pięciu. Pięć dni w tygodniu siadaliśmy w pokoju dla gości, który służył też ojcu za sypialnię. Biada tym, którzy nie zrozumieli lekcji taty.

Na ścianie w pokoju wisiało zdjęcie Kaaby, najświętszego miejsca islamu. Kaaba to prostopadłościenny budynek w Mekce w Arabii Saudyjskiej na Ziemi Świętej. Ma około piętnastu metrów wysokości i jednaście szerokości; pokrywają ją *kiswa*, czyli jedwabna osłona ozdobiona wersetami z Koranu. To prosta konstrukcja z granitu, którą wzniesli ponoć Abraham i Izmael.

Tata mówił, że Kaaba jest święta, bo znajduje się w niej pierwszy Koran, spisany przez samego Mahometa. Mylił się. W budynku nic nie ma - z wyjątkiem meteorytu, tak zwanego Czarnego Kamienia, w południowo-wschodnim rogu. Był to idealny przykład na brak wiedzy ojca o jego wierze. Oczywiście jako dziecko nie byłam w stanie zrozumieć jego ignorancji, a co dopiero wytknąć mu ją.

Na ścianie naprzeciwko widniało oprawione w ramy zdanie: *Mahomet - pokój niech będzie z nim*. Oczywiście po arabsku. Poniżej znajdował się regał z zastawą na specjalne okazje oraz dwiema szklanymi kulami z wirującymi płatkami śniegu w środku. W jednej widniała Kaaba, a w drugiej - imię proroka Mahometa. Nigdy się nimi nie bawiliśmy. To byłby „brak szacunku”. Wywołałoby to gniew ojca, którego wolałam uniknąć.

Na górnej półce leżały egzemplarze Koranu. Świętą księgę należy trzymać w wysoko położonym miejscu. Każda znajdowała się w płóciennej koszulce zrobionej przez mamę. W pokoju były też dwie kanapy. Podczas lekcji odsuwano je na bok, a na podłodze kładziono dywan, na którym siadaliśmy.

Tworzyliśmy kwadrat złożony z dwunastu osób, a tata zajmował honorowe miejsce. Każdy uczeń miał drewniany *raif* — pulpit, na którym leżał słownik arabskiego lub Koran. Dziewczynki siedziały z chłopcami i nie musieliśmy nosić specjalnych ubrań. Mimo tego nie były to radosne spotkania. Jedno po drugim siadaliśmy przy tacie i recytowaliśmy lekcję z danego dnia. Powaga w pokoju kontrastowała z jasnymi, kwiecistymi motywami w stylu lat 70. na tapecie, dywanie i kanapach.

Tata był bardzo surowy. Wszyscy zachowywali się grzecznie. Pozwalaliśmy sobie co najwyżej na szept do sąsiada, a i to kończyło się uderzeniem. Tata trzymał w rogu kij od miotły. Nie musiał jej często używać - sama jej obecność trzymała nas w ryzach. Wiedzieliśmy, że jeśli nie będziemy poprawnie recytować, oberwie nam się. Mówiono nam, że słowa te mają wyjątkowe znaczenie duchowe po arabsku, które tracą w innych językach. To dlatego nie uczyliśmy się po angielsku, który wszyscy znaleźliśmy.

Nie uczono nas znaczenia recytowanych słów, a jedynie idealnej wymowy. Rozpoznawałam nazwy własne takie jak Mahomet czy Allah. Nie wiedziałam jednak, co znaczy reszta tekstu. Jednak żadne z nas tego nie kwestionowało ani nie zadawało pytań. Nie śniło mi się nawet, by pytać o coś ojca. Za bardzo się go bałam.

Najpierw nauczyliśmy się alfabetu arabskiego. Po arabsku pisze się od prawej do lewej, słowa zaś są połączone, a przerwy - nieliczne. Następnie zaczęliśmy uczyć się wersetów. Jednak tata nie pokazywał nam, jak je zapisywać, gdyż spisywanie Koranu to „brak szacunku”. Pokazywał nam pierwszą aję (czyli werset) i musieliśmy rozpoznać wszystkie arabskie litery oraz słowa. Musieliśmy także powtarzać dane zdanie, czasami przez godzinę, dopóki tata nie uznał, że nam się udało. Następnie przechodziliśmy do kolejnego.

Pierwszą surę* recytowałam idealnie w wieku pięciu lat. Udało mi się to jako jednej z pierwszych w klasie. Tata często zachęcał resztę chłopców i dziewczynek, ale mnie nigdy nie chwalił. Nauczyłam się sury na pamięć, by go zadowolić. Jednak on nawet się nie uśmiechnął ani nie docenił mojego osiągnięcia.

Nie byłam specjalnie zdumiona. Tata nie ukrywał, że nie chciał córki. Powiedział mi kiedyś, że jestem złą, przekłętą dziewczynką. Stwierdził, że muszę udowodnić mu, że nie jestem beużyteczna, głupia i „niegodna Allaha”.

Ponieważ mój tata był imamem, rodziców uznawano za filar społeczności. Ojciec cieszył się szacunkiem mieszkańców naszej ulicy. Obcym wydawał się uroczy i delikatny. Mówił niemalże szeptem, często się uśmiechał i wydawał się przyjazny. Zachowywał się jak uduchowiona i spokojna osoba. Zwłaszcza przy ludziach spoza społeczności. Takim go postrzegano.

- Jakiego masz cudownego ojca - mówiono mi.

Nie mieli racji. Nawet mając cztery lata, wiedziałam, że nie jest cudowny. Przepełniała go nienawiść i gniew. Często

* Rozdział Koranu (przyp. red.).

bił mamę. Nie musiano mi tłumaczyć, że to złe. Instynkt mi to podpowiadał. Jednak mimo że nie był idealny, jak każde dziecko chciałam, by ojciec kochał mnie i był ze mnie dumny, dlatego uczyłam się Koranu. Szkoda tylko, że na próżno.

Ludzie z naszej społeczności nazywali ojca „Hadździ”, czyli mianem kogoś, kto był na pielgrzymce do Mekki. W przypadku mamy używali formy żeńskiej - „Hadździn”. Tatę określali jako „pokornego”. Gdyby spytać ich, co to znaczy, stwierdziliby, że to ktoś, kto dużo się modli i czyta Koran. W tym sensie mieli rację. Uznawali go za źródło mądrości i przychodzili po radę.

Pytali ojca: „Czy powinniśmy córce kazać zachowywać się w dany sposób?”. Zawsze udzielał odpowiedzi. Nie wiedział, co to niepewność czy wieloznaczność. Zawsze zachowywał się, jakby znał odpowiedzi na pytania wiernych, często podpierając się odniesieniami do „świętych pism”.

Ilekcóż ktoś zgłaszał się po radę, odnosiłam wrażenie, że tata jest wyjątkowy. Czułam też, że nie powinnam robić nic, co można by uznać za złe. Inne matki widziały we mnie przykład. Dokładniej oceniały moje zachowanie. Gdybym zrobiła coś, co „przynosi wstyd”, rzutowałyby to na całą społeczność, gdyż mój ojciec był naszym przywódcą duchowym.

Gdyby jego córka źle się zachowywała, byłby to straszny dys-honor zarówno dla ojca, jak i dla całej ulicy.

Nie miałam więc szans, gdyż byłam urodzoną buntowniczką.

Jane i Susan

Życie moje i moich braci polegało na czytaniu między wersami. Rzadko określano nam zasady. Usiłowałam zrozumieć co wolno, a czego nie, słuchając plotek. Rodziły się one nawet wtedy, gdy kogoś odwiedzała biała osoba. Słyszeliśmy też niejednokrotnie, co o białych i ich dekadencji sądzi ojciec.

Ciągle narzekał na *gora*, czyli białych. Według niego każdy z nich był bezbożnym cudzołożnikiem, każdy pił alkohol i był rozwiązły. Wystarczyło spojrzeć na ich ubrania. Kobiety pokazywały ciała - ramiona, nogi, a nawet dekolty, aby kusić mężczyzn. Tata nie chciał, by jego dzieci miały jakiegokolwiek kontakty z *gora*.

Na naszej ulicy bracia zadawali się z innymi pakistańskimi, muzułmańskimi chłopcami. Jednak w szkole mieli białych znajomych. Kiedy tata nie słyszał, rozmawiali o kolegach z tak egzotycznymi imionami jak „Tim”, „Andy” i „Peter”. Jednak nigdy nie próbowali przyprowadzać swoich białych znajomych do domu. Wiedzieli, że ojciec zabroniłby im wstępu. Pewnego

razu Zakir przyszedł ze szkoły ze swoim znajomym, Dave'em. Znalazł jednak jakiś pretekst, by ten poczekał na niego przed bramą.

Zabronienie kontaktów z białymi było pomysłem mojego ojca. Obawiał się ich z dwóch powodów. Po pierwsze ze względu na religię. Koran ostrzega wiernych, by nie przyjaźnili się z żydami i chrześcijanami, aczkolwiek w innych miejscach wypowiada się o nich pozytywnie. Drugi powód był natury kulturowej. Obawiał się, że angielski styl życia „zainfekuje” jego rodzinę i sprowadzają z wytyczonej przez niego ścieżki.

Mama nie podzielała jego obaw. Jednak to on rządził w domu, więc musiała go słuchać. Wiedziała, że nawet dzieci nie mogą sprowadzać do domu białych gości.

W wieku czterech lat zaczęłam chodzić do przedszkola. Zaprzyjaźniłam się tam z dwiema siostrami - Jane i Susan. Mama i ja wracałyśmy z nimi często ze szkoły, gdyż mieszkały dwie ulice od nas. Zawsze uśmiechała się do nich i bawiła się z nimi. Czasem przynosiła mi słodczyce - ciastka albo toffi. Upewniała się też, że dzielię się z koleżankami, mimo że są białe.

Jednak w domu wyglądało to inaczej. Mogłam bawić się z nimi na podwórku, ale nie mogły wchodzić do domu. A i to tylko wtedy, kiedy nie było taty. Biedna mama musiała balansować na krawędzi. Nie chciała obrazić moich znajomych. Przynosiła nam ciastka i kompot, żebyśmy czuły się jak w domu. Jednak gdy dorastała w Pakistanie, uczono ją, by nigdy nie kwestionowała woli męża, zwłaszcza jeśli ten był imamem.

W wieku moim i Jane dziewczynki szybko zawiązują i kończą przyjaźnię, ale my znałyśmy się dość długo. Ona była bardzo

pewna siebie, ja zaś introwertyczna. Jej siostra, Susan, miała bujne rude włosy, a Jane - proste i brązowe. Inne dziewczynki nabijały się z niej, nazywając ją „Zwyczajną Jane”, ale ja uważałam, że ma ładniejsze włosy od moich grubych, czarnych i niesfornych loków. Nigdy nie przejmowała się drwinami i odpłacała pięknym za nadobne.

W przedszkolu siedziałyśmy koło siebie. Uwielbiała słyszeć swój głos i czasami nie mogła przestać mówić. Co do mnie, nie miałam cech przywódcy. Jako osoba lojalna potrafiłam ciągle jej słuchać. Idealnie do siebie pasowałyśmy. Już gdy miałam cztery lata, czas spędzony w przedszkolu był dla mnie ucieczką od dusznej domowej atmosfery. Dzięki takiej przyjaźni mogłabym być szczęśliwa, gdyby nie mój ojciec.

* * *

Tata był nieprzewidywalny pod wieloma względami, a zwłaszcza w kwestii jedzenia. Posiłki stały się dla niego doskonałym powodem, by atakować mamę zarówno werbalnie, jak i fizycznie. Pierwszą taką sytuację zapamiętałam, gdy miałam cztery lata.

Mama podała ojcu curry w tylnej jadalni. Pokój z przodu zarezerwowany był dla gości - tylko mężczyzn. Z tyłu zbieraliśmy się, by oglądać telewizję - było to nasze jedyne wspólne zajęcie jako rodziny. Nigdy dużo ze sobą nie rozmawialiśmy.

Mama podała ojcu talerz curry. Nabrał trochę za pomocą *chapati*, ale jak tylko włożył je do ust, jego twarz pociemniała.

- Co to ma być?! - krzyknął. - Jest zimne! Głupia babo! Nie będę tego jadł!

Cisnął talerzem o ścianę. Naczynie potłukło się, a brązowe jedzenie ściekało po tapecie. Tata wstał i zaczął krzyczeć na mamę. Ta, przestraszona, zaczęła odsuwać się od niego, ale to tylko pogorszyło sprawę. Zaczął krzyczeć, żeby nie odchodziła, kiedy do niej mówi. Mama błagała go, by się uspokoił, ale ten poszedł za nią do kuchni.

Zostałam sama w pokoju. Usłyszałam, jak jego pięść uderza w ciało mamy, a ta krzyczy. Uderzał ją raz po raz. Słyszałam każdy cios. Siedziałam ze łzami spływającymi po policzkach. Płakałam ze strachu. Bałam się, że zabije mamę.

Tata nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki, więc obawiałam się tylko o nią. Błagała go, by przestał, ale wciąż słyszałam ciosy. Mama krzyczała na tyle głośno, że z pewnością słyszeli ją sąsiedzi. Jednak tata był imamem, więc z definicji świętym człowiekiem. Nawet jeśli słyszeli, że ją bije, nie odważyliby się go o to spytać, a co dopiero mu przeszkodzić.

W końcu tata wymaszerował z kuchni do swojego pokoju. Pobiełam na tył domu, chciałam pocieszyć mamę, równocześnie oczekując tego samego od niej. Znalazłam ją zwiniętą na podłodze. Chciałam jej pomóc, ale odepchnęła mnie. Wstydziła się, że jej czteroletnia córka widzi ją w takiej sytuacji.

Kiedy w końcu wstała, ledwo mogła chodzić. Wiedziała jednak, że musi posprzątać. Pozbierała na kłęczkach resztki talerza oraz curry i wyrzuciła je do śmieci. Potem gąbką zmyła ślady, by na dywanie nie zostały plamy. Tata później wynurzył się ze swojego pokoju, jak gdyby nic się nie stało.

Wkrótce zrozumiałam, że tak wygląda przemoc w jego wydaniu. Ilekroć pobił mamę, rzeczy wracały potem do normy.

Ona sprzątała, starając się ukryć to przed nami i sąsiadami, a on udawał, że nic się nie stało. To była jedna z rzeczy, które mnie denerwowały. Znosząc bicie w milczeniu, matka chciała chronić ojca, nas i „honor” rodziny.

Dotarło do mnie, że tata bije tak mamę mniej więcej raz w miesiącu. Powodem mogło być cokolwiek - „złe” gotowanie; herbata przyrządzona nie tak, jak chciał; „nieodpowiednio” uprane i wyprasowane ubrania; fakt, że w domu nie było idealnie czysto, co uniemożliwiało przyjęcie gości. Zaczęłam rozumieć, że coś jest nie tak w relacjach między ojcem a nami.

Ale dzieci zawsze żyją nadzieją. Liczyłam, że sytuacja się poprawi, a tata zmieni się w kochającego ojca, o jakim marzyłam. Przestanie bić mamę. Zauważy mnie i okaże trochę uczucia. Choć raz pochwali za recytowanie Koranu. I wszystko będzie dobrze.

W obliczu dręczyciela łatwo myśleć, że wystarczy go zadowolić, a wszystko będzie dobrze. Niestety, najczęściej jest odwrotnie.

* * *

Do szkoły poszłam w wieku pięciu lat. Byłam bardzo nieśmiała i rzadko odzywałam się w klasie. Tak samo zachowywałam się w domu. Chowałam się przed gośćmi. Wolałam pomagać мамie w kuchni, niż spędzać z nimi czas. Prawie nigdy się nie odzywałam, nawet do braci. Moja komunikacja z ojcem ograniczała się zaś do lekcji Koranu, czy rzuconego od czasu do czasu rozkazu pod moim adresem.

Od początku uwielbiałam szkołę i starałam się dobrze uczyć. Działo się tak pewnie dlatego, że czułam się tam lepiej niż w domu. Dyrektor nazywał się Bill Hicks. Miał kasztanowe, kręcone włosy i wielkie wąsy. Jego piwne oczy wiecznie się śmiały. Uczył wychowania fizycznego i był arbitrem piłkarskim. W wolnym czasie sędziował w lokalnych rozgrywkach.

Co rano pan Hicks siadał w auli i opowiadał nam jakąś historię swym donośnym głosem, który nie potrzebował mikrofonu. Mówił o wszystkim: o dorastaniu w pobliskim miasteczku, łowieniu ryb za młodu, graniu w piłkę ze znajomymi w dzieciństwie, wędrówkach po górach z ojcem, wycieczce nad morze.

Wszystkich nas porywały te historie, mimo że wiele dzieci pochodziło z rodzin podobnych do mojej. Nie pojmwaliśmy do końca, o czym mówi, bo sami nigdy czegoś takiego nie przeżyliśmy. Jego dzieciństwo, a zwłaszcza relacje z rodzicami, były dla nas obce. Czuliśmy, jak gdyby opowiadał o jakimś innym świecie, przez co historie wydawały się jeszcze bardziej magiczne.

Opowieści pana Hicksa nie miały konkretnego morału. Były oknem na inny świat i być może to właśnie chciał osiągnąć. Jednak nie mogłam pójść do domu i powiedzieć: „Czemu nie udamy się na ryby albo w góry jak pan Hicks i jego rodzice, kiedy był mały? Albo nad morze? Dlaczego my tak nie robimy?”.

Bałabym się o to zapytać, nie wiedząc, jak zareaguje ojciec. Zresztą nikt w naszej społeczności tak nie żył. Uznałam, że beztroskie życie, które opisywał pan Hicks, jest domeną białych ludzi.

Rodzice nie opowiadali nam o swoim dzieciństwie ani nie bawili się z nami. Mama czytała nam czasem bajkę o żółwiu

i zającu w urdu, jednak chciała nas po prostu nauczyć języka, a nie rozbawić.

Jedyne historie, jakie od niej słyszałyśmy, były wymyślone i opowiadały o tym, co działo się z „niegrzecznymi” dziewczynkami. Uciekały one, kłamały, kłóciły się z rodzeństwem i nie słuchały starszych, więc oczywiście łąpały je i karały bezimienne potwory. Mama twierdziła, że na to zasługiwały.

Opowieści te miały nas przestraszyć i sprawić, że będziemy grzeczne, tak jak chcieli tego moi rodzice i jak domagała się społeczność.

W islamie nie ma formalnego sposobu na zostanie świętym mężem czy przywódcą duchowym. Mój ojciec nie był najbardziej wykształconym członkiem społeczności, ale miał encyklopedyczną wiedzę o Koranie, ponieważ za młodu poznał go na pamięć.

Codziennie od poniedziałku do piątku o 16.30 na naszej ulicy terkotał biały minibus. *Pora do meczetu!* - krzyczał po pendzabsku kierowca. Nie znosiłam tego. W meczecie panował chłód, ciemność i wilgoć, a nasza nauczycielka Koranu była okrutna. Bałam się tej chwili i instynkt podpowiadał mi, by się schować.

Meczet był wcześniej biblioteką miejską. Panowała tam segregacja płciowa - kobiety i mężczyźni modlili się osobno.

Do sali mężczyzn, wyłożonej dywanem w kwieciste wzory, prowadziło przejście sklepione łukiem - podobnie jak do pomieszczenia dla kobiet. Jednak to drugie nie było tak wygodne. Zamiast dywanu na podłodze leżało

kilka mniejszych szmat. Jeśli miało się szczęście, siedziało się na którejś z nich, w przeciwnym razie zostawała goła betonowa podłoga.

W meczecie zawsze było lodowato. Rzadko włączano kaloryfery. Nasza nauczycielka Koranu miała przenośny piecyk, który ją ogrzewał, ale ciepło do nas nie docierało. Pod koniec godzinnej lekcji ciepło naszych ciał w połączeniu z piecykiem podnosiło temperaturę na tyle, że nie zamarzialiśmy.

Nasza społeczność kupiła ten budynek od rady miasta. Zarządzał nim komitet składający się z około dwudziestu czterech dość bogatych mężczyzn. Datki na rzecz meczetu były kwestią „honoru”. Członkowie komitetu z aprobatą wymieniali imiona darczyńców, a ich żony szybko rozgłaszały wieść o datku. Taki ofiarodawca stawał się wówczas szanowanym członkiem społeczności.

Z tak zgromadzonych funduszy powstała sala ablucyjna, gdzie wierni mogli się myć przed modlitwą. Aby muzułmanie mogli dokonać rytuału *wudu*, czyli obmycia, potrzebna jest bieżąca woda. Najpierw myje się twarz i nos, następnie uszy, szyję i ramiona - najpierw prawe, a potem lewe. Następnie przechodzi się do stóp i kostek. Na końcu zaś myje się ręce.

Podczas ablucji powtarzało się *bismillab* - główną modlitwę islamu: *Me ma bóstwa prócz Boga Jedynego, a Mahomet jest jego prorokiem*. Mieliśmy też powtarzać ją przed wejściem do pokoju lub przed jego opuszczeniem oraz przed jedzeniem. Chłopców nauczał mój tata, a kobiety udawały się do osobnej sali. Nasza nauczycielka była straszną kobietą, nigdy nie dowiedziałyśmy się, jak się nazywa. Bałyśmy się zapytać. Podnosiłyśmy tylko

rękę i czekałyśmy, aż zwróci na nas uwagę. Między sobą nazywałyśmy ją po prostu „nauczycielką”.

Zdejmowałyśmy buty i klękałyśmy na podłodze, a przed każdą z nas stała ławka. Tak spędzałyśmy całą godzinę. Na ławce leżał Koran i książka z arabskim alfabetem. Jeśli któraś dziewczyna zapomniała jednej z książek, obrywała laską. Nauczycielka była surowa, podobnie jak mój ojciec. On miał swój kij od szczotki, a ona bambusową laskę.

Pewnego razu musiałam iść do toalety. Nie mogłam wytrzymać. Podniosłam rękę.

- Tak? - warknęła nauczycielka. - Co się stało?
- Mogę iść do toalety?
- Chodź tu, dziewczyno! Powinnaś była iść w domu!

Nauczycielka dostała furii z powodu mojego „braku samo-kontroli”. Wzięła laskę i uderzyła mnie w rękę, zostawiając ślad. Upokorzyła mnie na oczach koleżanek, więc wybuchłam płaczem. W końcu pozwoliła mi skorzystać z toalety. Jednak inni woleli się zmoczyć, niż prosić o pozwolenie. To było jeszcze gorsze. Nauczycielka zawsze się orientowała i biła dziewczynki, które się zsiusiały.

Każda z nas musiała nauczyć się wersetu z Koranu po arabsku i powtarzać go, dopóki nie opanowała go do perfekcji. Jako córka imama nie mogłam ominąć żadnej lekcji. Jednak nie znosiłam ich, podobnie jak nauczycielki, i nigdy nie chciałam na nie chodzić.

Pewnego dnia, kiedy usłyszałam krzyki z vana, schowałam się pod łóżkiem. Prawie nie oddychałam, a serce łomotało mi jak szalone. Byłam przerażona własnym buntem. W końcu tata wpadł do pokoju i wyciągnął mnie spod łóżka.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął. - *Masjid ki gari aiya*, pora iść do meczetu!

Nie kłóciłam się. Innego razu spróbowałam ukryć się w pokoju mojego brata, Zakira. Nie sądziłam, że tata mnie znajdzie. Jednak oczywiście udało mu się i był jeszcze bardziej wściekły. Następnie schowałam się w szafie. Słyszałam trzaskanie drzwiami, aż w końcu ojciec otworzył te od mojej kryjówki i wyciągnął mnie. Próbowałam uniknąć konfrontacji z nim, biegnąc do vana.

Nie wszyscy rodzice zmuszali dzieci do chodzenia na te lekcje. Amina i Ruhama udawały, że boli je głowa. Ich rodzice nie byli surowi, więc im to nie przeszkadzało. Zazdrościłam im. Ale mój tata jeździł z przodu busa i patrzył, kto chodzi na lekcje. Kiedy Amina i Ruhama nie pojawiły się na więcej niż jednej z rzędu, poszedł porozmawiać z ich rodzicami.

Ponieważ mój tata był imamem, uważał, że stanowi jedność z meczetem. Wiedziałam, że chowając się, nie sprzeciwiam się tylko modlitwie, ale i jemu. A dla ojca coś takiego było nie do pomyślenia.

Takie nieposłuszeństwo zasługiwało na karę.

Samotne dziecko

Mama znała po angielsku tylko kilka słów, ale i tak więcej niż tata. Potrafiła powiedzieć:

- Witam, jak się masz?
- Jak twoje dzieci?
- Jak twoja mama?

Miała okazję mówić po angielsku, tylko kiedy odbierała mnie ze szkoły. Rozumiała trochę z tego, co mówiły inne matki, i radziła sobie wzruszeniami ramion czy potakiwaniem. W przypadku mamy Jane i Susan starała się nadrabiać uśmiechem.

Z jednej strony nie musiała mówić po angielsku. Poza ulicę wychodziła tylko do szkoły i na cotygodniowe zakupy do supermarketu. Nawet tam mogła po prostu napełnić wózek i udać się do kasy. Ale mama chciała mówić więcej. Chciała rozmawiać z innymi matkami. Chciała móc pogadać z Armenką z naprzeciwka. Chciała się uczyć, a mój ojciec nie.

Ilekcroć oglądaliśmy brytyjskie seriale, *EastEnders* i *Coronation Street*, mama próbowała powtarzać, co mówili aktorzy. Słyszała,

że mają różne akcenty, i starała się je naśladować - cockney w przypadku pierwszego serialu i manchesterski w tym drugim. Najlepiej wychodzili jej Ricky i Bianca z *EastEnders*. Ricky był mechanikiem. Pracował dla braci Mitchell, sympatycznych antagonistów, granych przez Steve'a McFaddena i Rossa Kempa. Zawsze wołał swoją żonę:

- Bianca! Bianca!

Mama starała się naśladować to, jak krzyczał z nosowym dźwiękiem zamiast „k”. Prześmiesznie brzmiało, kiedy krzyczała „Bianca” z mieszaniną akcentu pendzabskiego z tym z *EastEnders*. Mamie nie przeszkadzało, że się śmiejemy. Lubiła nas rozśmieszać. W głębi duszy była żartownisią.

Pewnego dnia pan Hicks, dyrektor, ogłosił, że jedna z nauczycielek chce pomóc rodzinom, które uczą się angielskiego. Edith Smith pomagała w nauce czytania małym dzieciom. Przedstawiłam ją mamie, a ta pod wpływem chwili zgodziła się, by nauczycielka przyszła pomóc jej z angielskim.

O ile wiem, Edith Smith to pierwsza biała Angielka, która pojawiła się w domu Shahów. Przychodziła, kiedy tata modlił się w meczecie. Spędzał tam wszystkie popołudnia i piątki, które są świętym dniem muzułmanów. Edith była chuda jak patyk i tak wysoka, że przewyższała każdego z nas. Wszyscy w rodzinie byliśmy dość niscy. Jej twarz zdobiły kręcone kasztanowe włosy i druciane okulary. Gdy nas odwiedziła, miała na sobie kwiecistą spódnice i bluzę. Wyglądała jak typowa angielska nauczycielka, ale nie była surowa. Zawsze cieszyłam się, kiedy przychodziła.

Za pierwszym razem poczochnęła moją czuprynę i powiedziała:

- Witaj, Hannan. Jak się masz?

Spojrzałam na nią i uśmiechnęłam się nieśmiało, mówiąc:

- Dzień dobry.

Przyniosła ze sobą torebkę pysznych słodczy. Pierwsza lekcja odbyła się w tylnym salonie. Przyglądałam się temu trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że wiedziałam, że będzie fajnie. Już po chwili mama uśmiechała się, próbując wymówić angielskie słowa.

Po jakimś czasie mama zaoferowała Edith herbatę. W jej pojęciu herbaty mieściło się curry z *chapati*, ciastka oraz sałatka z jabłek, gruszek i ananasa. Przez chwilę Edith z grzeczności skubała curry, jednak robiła się coraz bardziej czerwona. Nagle chwyciła szklanekę wody i wypła ją jednym haustem. Chyba trafiła na chili!

Mama nie dostrzegała chyba dyskomfortu pani Smith, bo dalej podawała jej curry. Musiałam przynosić jej cały dzban wody. Zaczęłam liczyć, ile kęsów zje, zanim pierwszy raz sięgnie po szklanekę.

W końcu mama zrozumiała, że pani Smith nie przepada za curry. Uznała, że to bardzo zabawne, że jadła tylko z grzeczności, a jednocześnie dym szedł jej z uszu. Opowiedziała o tym wszystkim znajomym na ulicy, którzy też się śmiali. Dla mnie też było to zabawne. Jak można nie lubić curry mojej mamy? Co innego mogli jeść biali w domach? Pewnie hamburgery, frytki i pizzę jak w *EastEnders*.

Oczywiście mama nie przyznała się tacie, że pani Smith uczy ją angielskiego. Mogła też ufać, że inne kobiety z ulicy przemilczą tę sprawę. One także miały swoje tajemnice przed

mężczyznami, więc istniał niepisany pakt, że nie mówi się o takich rzeczach.

Z każdą wizytą mama i pani Smith poznawały się coraz lepiej. Wydawało się, że dobrze się rozumieją, mimo że nie zawsze potrafiły znaleźć odpowiednie słowa. Czasem pomagały sobie gestami. Często się śmiały i przekomarzały, jak gdyby były starymi znajomymi.

Kiedy nadchodziła pora lekcji, mama z radością sprzątała pokój i wyjmowała zeszyt, w którym sporządzała notatki z zajęć. Trzymała go w ukryciu wśród swoich materiałów do szycia. Obawiała się, że tata go znajdzie. Na maszynie do szycia miała materiałową kapę, pod którą go chowała. Tata przychodził do kuchni, tylko kiedy mył się przed modlitwą, i niespecjalnie się rozglądał. Dla niego był to pokój kobiet.

Przeważnie mama wyglądała na zmęczoną. Nie była zbyt radosna, co nie dziwi, kiedy wie się, jak wyglądało jej życie. Pani Smith wprowadziła do naszego (i mamy) świata promyk radości. Nauczyła ją alfabetu, pokazała, jak zapisać po angielsku jej imię. Musiała od zera uczyć ją pisania, wybrała więc podręcznik, w którym było to wytłumaczone w odpowiedni sposób: „A jak arbuz”, „B jak balon”, „C jak ciastko” i tak dalej.

Następnie przeszły do rozmów po angielsku.

- Jak się czujesz? - spytała pani Smith.

- Dobrze, dziękuję. - odparła mama.

Z początku była nerwowa i mamrotała. Widziałam, że brak jej pewności siebie i jest zakłopotana. Ale dzięki wsparciu Edith szybko nawiązały rozmowę:

- Jak ci się spało?
- Spało mi się dobrze.
- Ile masz dzieci?
- Mam sześcioro dzieci.
- Masz męża?

Mama uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Co za pytanie! Oczywiście, że tak. Jak mogłaby mieć sześcioro dzieci, a nie mieć męża?

- Tak, mam męża.
- Do jakiej szkoły chodzą dzieci?

I tak dalej. W końcu nadeszła kolej mojej mamy na zadawanie pytań.

- Masz męża?
- Tak, mam męża - odparła Edith.

Wyjaśniła jednak, że to nieprawda. Obie wybuchły śmiechem. Edith miała koło czterdziestki. W naszej kulturze było nie do pojęcia, by w tym wieku nie mieć męża. Pierwsze pytanie, które zawsze zadawano Pakistance, dotyczyło tego, czy jest po ślubie. Jeśli odpowiedź brzmiała „nie”, pytano „dlaczego?”.

Ale mama nie spytała o to pani Smith. Z radością zrobiłaby to, gdyby chodziło o kogoś z jej kręgu kulturowego, ale w przypadku nauczycielki najpierw musiała lepiej ją poznać. Niestety, nigdy nie było jej to dane.

Kiedy pani Smith wychodziła, pomagałam mamie z nauką alfabetu i cyfr oraz rozmawiałam z nią po angielsku. Sprawiała wrażenie o wiele radośniejszej. Była bardzo mądra, tylko nie miała kiedy tego okazać. Przypominała ptaka w klatce, który chciał rozwinąć skrzydła.

Wszystko szło dobrze, dopóki pewnego dnia tata nie wrócił wcześniej z meczetu. Mama i pani Smith jak zwykle siedziały ze mną w salonie. Bracia byli w domu, ale mama prosiła ich, by nie wspominali o wizytach nauczycielki.

Usłyszeliśmy, jak otwierają i zamykają się drzwi frontowe. Była to nietypowa pora dnia na odwiedziny. Mama natychmiast się spięła. Chwilę później wszedł tata. Usiadł na sofie i przez moment jakby nie zauważył pani Smith. Ale po chwili spostrzegł, że w jego domu jest biała Angielka. Natychmiast jego twarz się zachmurzyła. Nie odezwał się do gościa, udając, że jej nie widzi.

- Dzień dobry - powiedziała pani Smith, uśmiechając się do niego.

Burknął coś i wrócił do czytania Koranu. Pani Smith próbowała kontynuować lekcję, ale w pokoju zapanowała ciężka atmosfera. Mama wyglądała na przerażoną. Nie śmiała się już i nie żartowała z nauczycielką. Kiedy lekcja się skończyła, mama odprowadziła Edith i udała się do kuchni. Tata wstał i ruszył za nią. Od razu rozległy się krzyki.

- Co ty wyprawiasz? Sprowadzasz *goń* do mojego domu? Brudną, niewierną *goril* Do mojego domu! Jak śmiesz?

Za chwilę usłyszałam okropny odgłos pierwszego ciosu. Mama krzyknęła z bólu i zaczęła płakać. Jednak tata nie miał litości i bił ją dalej. Nie wiedziałam, gdzie wymierzał ciosy, ale prawdopodobnie w całe ciało. Na twarzy zostałyby ślady i ludzie by się dowiedzieli. W naszej społeczności mężczyzna nie mógł oficjalnie brutalnie pobić żony. Delikatne spoliczkowanie od czasu do czasu, by przywołać ją do porządku,

mieściło się w granicach normy, ale bicie było niehonorowe. Gdyby ktoś odkrył, co robi tata, okryłoby to wstydem całą rodzinę. Z pewnością o tym wiedział i uderzał tam, gdzie nie było widać śladów.

Bracia byli na gorze. Na pewno słyszeli krzyki mamy, ale nie reagowali. Zawsze ją wspierali, z wyjątkiem sytuacji, kiedy tata stosował przemoc. Chyba myśleli, że nie mogą stawić czoła autorytetowi ojca w rodzinie i w społeczności.

Siedziałam w salonie, martwiąc się o mamę. Jeszcze chwilę wcześniej śmiała się z panią Smith ze swojej okropnej wymowy, a teraz ojciec bił ją za tę prostą przyjemność. Nie starałam się jej pomóc. Miałam tylko pięć lat i zbyt się bałam. W końcu ojciec wpadł do swojego pokoju i zamknął się tam.

Zakradłam się do kuchni, zobaczyć, w jakim stanie jest mama. Upadła na podłogę i łkała. Nie miała siły wstać. Leżała tak przez kilka minut, zszokowana i obolała. Próbowałam objąć ją rączkami, ale odepchnęła mnie. Była zawstydzona, że ją pobito i że jej mała córeczka znowu to widzi.

Stałam tam, nie wiedząc, co robić. Chciałam pomóc mamie, pocieszyć ją i sprawić, by była szczęśliwa tak jak chwilę wcześniej. Ale musiałabym powstrzymać jakoś tatę od bicia jej. Wiedziałam, że niedługo znowu znajdzie powód, by ją uderzyć. Jednak co mogła zrobić pięciolatka?

Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że tata jest zły. Jak mógł to zrobić mamie? Mojej delikatnej, zabawnej matce, która nikogo nie skrzywdziła. Tym razem pobił ją naprawdę mocno i na pewno wiedział, co robi. Uderzał tak, by ślady nie były widoczne. Zaplanował to. Zrobił umyślnie. Był złym człowiekiem.

Po kilku minutach mama zdołała wstać, podpierając się o meble. Znowu usiłowała zignorować to, co się stało, i udawać, że wszystko jest w porządku. Nikt w domu nie wspomniał o tym słowem.

Kilka tygodni później podawałyśmy z mamą kolację tacie. Ale to był jeden z jego złych dni. Wziął kęs jedzenia, krzyknął w gniewie i talerzem cisnął o ścianę, który rozbił się z hukiem, a tata zaczął wrzeszczeć, że jedzenie jest okropne.

- Co się stało? - spytała nieśmiało mama. - Odgrzałam curry z wczoraj. Wtedy ci smakowało...

- Jest zimne! - warknął tata. - Myślisz, że lubię zimne curry? Ile lat...

Chwilę później tata wstał i zaczął bić mamę na środku salonu. Nie myśląc, stanęłam między nimi.

- Nie bij mamusi! - krzyknęłam i wyciągnęłam ręce, próbując go powstrzymać. - Przestań! Zostaw ją!

Przez chwilę ojciec stał zupełnie zaskoczony, ale potem przeniósł przepełnione nienawiścią spojrzenie na mnie. Uderzył mnie w brzuch. Zgięłam się z bólu, ale stałam wciąż przed mamą, starając **sieją** chronić.

Mama ukryła się za mną, zszokowana moim oporem. Tata próbował mnie odepchnąć, ale z jakiegoś powodu poczułam przyływ siły i chwyciłam się mamy. W związku z tym zaczął bić mnie.

- Zejdź mi z drogi! - krzyczał. - W tym domu mogę robić, co mi się podoba! Jestem twoim ojcem! Rób, co mówię! Zejdź mi z drogi!

Zaczęłam płakać, ale przez łzy powtarzałam:

- Nie będziesz bić mamusi!

W końcu tata chwycił mnie i cisnął mną przez pokój. Byłam tylko małą dziewczynką, więc nie ważyłam wiele. Na szczęście trafiłam na kanapę. Rozgniewany bez słowa runął do swojego pokoju. Mama zaś schowała się w kuchni. W końcu ktoś z rodziny postawił się ojcu. Ktoś wstawił się za mamą, a ta była przerażona, jakie to może mieć konsekwencje.

Leżałam zapłakana na kanapie przez dłuższy czas. Przerażało mnie to, co zrobiłam. To, że stanęłam przed tatą i zasłoniłam mamę, było instynktowną reakcją. Czułam okropny ból i nie mogłam się ruszać. W końcu musiałam zasnąć albo zemdleć.

Obudziłam się jakiś czas później na dźwięk telewizji, którą oglądali moi bracia. Nikt nie zwracał na mnie uwagi ani nie spytał, czy nic mi nie jest. Dom wrócił do trybu „jak gdyby nic się nie stało”. Nikt nigdy nie wspominał o pierwszym razie, kiedy tata mnie pobił, a ja nie rozmawiałam o tym z mamą.

Złamałam niepisaną zasadę, mówiącą, że nikt nie zauważa tego, co robi tata, i nigdy mu się nie sprzeciwia. Ale miałam pięć lat i nie wiedziałam, czy odważę się znowu to zrobić. Być może jedynym sposobem na przetrwanie była akceptacja takiego stanu rzeczy. Ale to oznaczało pozwolenie tacie na bicie mamy, a tego bym nie przeżyła.

Zresztą sytuacja i tak się zmieniała. Nigdy nie miało już być „normalnie”. Mój instynktowny opór wszystko zmienił. Od teraz zamiast bić mamę, kiedy jedzenie było „nie dobre”, tata uderzał mnie. Jeśli dom nie był idealnie czysty, dostawałam lanie. Stałam się obiektem jego agresji.

Na początku bił mnie co miesiąc. Ale stawało się to coraz częstsze. Co gorsza, mama nie interweniowała. Cieszyła się

tylko, że nie bije już jej. Ilekroć mnie uderzył, zachowywała się, jakby nic się nie stało. To właśnie brak reakcji ze strony mamy złamał mi serce.

Ilekroć mnie bił, również mnie obrażał: „Jesteś głupia, leniwa i bezużyteczna! Jesteś brzydka i bezwartościową córką!”.

Nie było sensu odpowiadać, bo wszyscy udawali, że nie słyszą, i nikt mi nie pomagał. Po pierwszym razie przestałam krzyczeć. Kiedy zaczynał mnie bić, cichłam.

Czułam się wtedy samotna. Nikt mnie nie bronił. Z biciem radziłam sobie, uciekając w wymyślony świat. Wyobrażałam sobie, że wzywam Ptaki Samotności - moich wyimaginowanych wybawców. Ich miękkie skrzydła pomogłyby mi unieść się w powietrze, a ja chwyciłabym za ich pióra.

Ptaki Samotności były olbrzymimi białymi gołębiami, które zlatywały z niebios, by mnie uratować. Przysiadają koło mnie i gruchały mi do ucha, wspierając w ten sposób.

- Oooo coulah... - przemawiały do mnie w swoim języku, który jednak rozumiałam. - Wzbij się... wzbij... pomożemy ci ulecieć - namawiały mnie, po czym pozwalały mi dotrzeć się.

Ptaki Samotności zabierały mnie na pole skapane w słońcu. Było tam morze fioletowych kwiatów, które witało mnie zapachem lawendy. Ptaki Samotności zostawiały mnie na polach lawendy, które były ciche, spokojne i bezpieczne. Mogłam tu biegać, śmiać się i być wolna. Gołębie zostawiały, by mnie pilnować - jak kochający rodzice, których nie miałam. Z radością bawiłam się sama. Na polach lawendy nikt nie mógł mnie skrzywdzić.

Ilekroć tata mnie bił, przenosiłam się do tego świata. Tak odgradzałam się od problemów. Kiedy kończył, moje

ciało wyłączało się i zasypiałam, trafiając do wymarzonego raju. Oczywiście nie trwało to wiecznie. Musiałam wrócić do rzeczywistości. Moja zapłakana twarz i wszechobecny ból przypominały mi o tym, co się stało - wtedy dopadało mnie przerażenie.

Z czasem bicie stało się normą. Ilekroć się zaczynało, myślałam: „No i znowu. Ile potrwa to tym razem?”. Całe ciało miałam pokryte siniakami, ale rodzina to ignorowała. Przy moich braciach zawsze ukrywałam je pod *salwar kamiz**.

Raz czy dwa, kiedy przebierałam się na WF, Jane zauważyła moje siniaki. Powiedziałam jej, że spadłam ze schodów. Poczulałam się zawstydzona. Nie chciałam, by moja przyjaciółka traktowała mnie jak dziwoląga. I tak byłam samotna. Nie mogłam stracić Jane.

W domu o tym nie mówiono. Mama pozwalała, by tata mnie bił, bo wtedy sama nie obrywała. W naszej kulturze i tak niewiele mogła zrobić. *Ojciec* był imamem - świętym mężem. Czy ktoś uwierzyłby, gdyby mama powiedziała, że bije swoją pięcioletnią córkę? Nawet jeśli tak, to czy nie uznano by, że opowiadając o tym, sprowadziła wstyd na całą społeczność?

W tym środowisku mama z łatwością zostałaby obwiniona za postawienie się ojcu, kiedy mnie bił. Uznaje się, że lepiej, by kobieta cierpiała w milczeniu, niż sprowadziła wstyd na społeczność. Hańby należy unikać za wszelką cenę. Nawet bicie dzieci jest lepsze od zhańbienia społeczności. A dla mojej mamy honor rodziny był pewnie ważniejszy niż szczęście i zdrowie córki.

* Tradycyjny strój noszony w niektórych krajach azjatyckich, składający się ze zwężonych na dole spodni oraz długiej, luźnej tuniki (przyp. red.).

Na początku tata bił mnie, bo w jego spaczonym umyśle powstała myśl, że zrobiłam coś nie tak - czy to z jego jedzeniem, czy z porządkami. Ale niebawem zaczął robić to, kiedy mu się zachciało. Uderzał mnie bez powodu i nieprzewidywalnie. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść. W końcu samo bicie mnie nie zadowalało już taty.

W jego głowie powstały o wiele gorsze plany dotyczące pięcioletniej córki.

Utracona niewinność

Jane i Susan były pierwszymi moimi koleżankami, które różniły się od ludzi z naszej ulicy. Dzieci widzą kolor skóry innych, ale nie oceniają ich na tej podstawie. W szkole traktowaliśmy siebie tak samo, bez względu na wygląd.

Dla mnie moje białe znajome miały niesamowite życie. Opowiadały mi o wycieczkach nad morze, za granicę i wizytach u krewnych w różnych częściach kraju. Rodzice ich nie bili i nie musiały się martwić o to, żeby nie sprowadzić wstydu na społeczność. Nie zastanawiały się ciągle nad tym, jakie panują „zasady”. Jane i Susan nie żyły w strachu i mroku. Chciałam być taka jak one.

Kiedy wracałyśmy ze szkoły do domu, ich mama ciągle zapraszała mnie, bym do nich przyszła. Moja jednak kazała mi odpowiadać, że nie mogę. Przekazywała mi po pendzabsku, co mam mówić.

- Powiedz im, że nie możesz. Musiałabyś przejść bardzo niebezpieczną drogą.

- Ale mogłabym pójść - sprzeczałam się. - Potrafiłabym przejść tę ulicę.

- Nie, nie możesz. Teraz przetłumacz, co ci powiedziałam.

Przekazywałam swoje wymówki, a mama Jane uśmiechała się i mówiła, że może następnym razem. Oczywiście wiedziałam, czemu mama nie chce mnie puścić. Gdyby tata dowiedział się, że odwiedzam białych znajomych, wściekłby się. Uważał, że są brudni, bezbożni i niemoralni. Mogą nawet podać do jedzenia wieprzowinę. Gdyby któreś z nas udało się do domu jakiegoś *gora*, zostalibyśmy skażeni.

Nie kłóciłam się z mamą. Wiedziałam, że chodzi o tatę. Ale każdego tygodnia mówiłam, że chciałabym odwiedzić koleżanki. Odpowiadała zawsze tak samo: „nie wolno ci”. Oczywiście Jane i Susan wciąż mnie zapraszały. Nie wiedziały, czemu ich uroczą brązowa koleżanka nie mogłaby przyjść się pobawić.

- No chodź! - mówiła Jane. - Pobaw się u nas! Mamy lalki Barbie! Możemy też przebrać się i popływać w basenie.

Wiedziałam, że nie wolno mi pływać. Pokazuje się wtedy ciało - kostki, ramiona i uda. Tata nie pozwoliłby na to, mimo że byłam dzieckiem. W szkole odbywały się lekcje pływania, ale rodzice napisali, że nie mogę na nie chodzić. Na początku twierdzili, że nie mam stroju. Dodali też, że mam problemy ze słuchem i nie mogę moczyć uszu.

Podyktowali mi to w urdu, a ja miałam przepisać po angielsku. Tata był zbyt sprytny, by napisać, że nie mogę pływać, bo nie wolno mi pokazywać ciała. Wiedział, że nauczyciele nie rozumieją i nie zaakceptują tego faktu.

Pedagodzy próbowali obejść te problemy. Nie chcieli, żebym poczuła się odosobniona. Znalezione dla mnie kostium kąpielowy i czepek, który zakrywał uszy. Rodzice uparli się jednak, że nie będę pływać. Nie mieli już wymówek, więc po prostu stwierdzili, że mi nie wolno. W końcu nauczyciele uznali, że nie mogą im się sprzeciwiać.

Nie chodziłam więc na pływanie. Kiedy wszyscy byli na basenie, ja kolorowałam obrazki w klasie. Czasem towarzyszyły mi inne dzieci, na przykład te, które się przeziębily. Ale tylko ja byłam dziwakiem, któremu nie wolno pływać.

Oczywiście gdybym poszła na basen, zauważono by moje siniaki. Na pewno był to kolejny powód, dla którego rodzice tego zabronili. Ale główną wymówkę stanowił islam - jak zwykle w naszym życiu. Skoro mój ojciec, imam, twierdził, że było to *haram*, czyli zabronione, kto mógł podważyć jego słowa?

Mama twierdziła, że nie mogę chodzić na basen, bo inni widzieliby moje ciało. Wybrała wiarę w kłamstwa ojca. Tak było łatwiej. I tak zawsze zakrywałam ręce i nogi - umożliwiał to *salwar kamiz*. Kiedy reszta dzieci nosiła na WF-ie spodenki albo spódniczki, ja miałam szarawary. Znowu byłam dziwakiem.

Do szkoły chodzili inni pakistańscy muzułmanie, więc nie tylko ja nosiłam *salwar kamiz*, ale im wolno było pływać. Niektóre dziewczynki nosiły na basenie bawełniane spodnie zakrywające nogi. Tak jak wiele zasad mojego ojca, ta też nie miała sensu - chyba że chciał ukryć fakt fizycznej przemocy, którą na mnie stosował.

Ilekoć tata mnie bił, mówił o tym, że jestem niechciana, że nie pragnął nigdy córki i że nie będę dość dobra dla jego Boga,

Allaha. Bramy niebios nigdy nie otworzą się przed tak bezwartościową córką jak ja. Trafię prosto do piekła, a ojciec mnie tam zabierze.

Mniej więcej pół roku po pierwszym pobiciu tata w okropny sposób zmienił sposób działania. Tego dnia pobił mnie i wyzywał. Uciekłam do pokoju i zatopiłam się w wizjach lawendowych pól.

Nagle otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł ojciec. Było to niespotykane. Nigdy nie wchodził do pokoju kobiet. Sypiałyśmy tutaj z mamą. Schowałam się pod kocem, próbując uniknąć kolejnego lania. Patrzył na mnie z uczuciem odrazy pomieszaniem z czymś innym.

- Ty...jesteś zła - stwierdził cicho. - Z pewnością spłoniesz w piekle. Ale trzeba z ciebie wygnać to zło. Bicie nie wystarczy...

Podszedł do mnie, mamrocząc, że jestem brudną, bezwartościową, kusicielską dziewczyną i że nigdy nie chciał mieć córki. Zatrzymał się przy łóżku. Zamknęłam oczy, chcąc, by zabrały mnie Ptaki Samotności. Poczułam, jak jego ręka sięga pod koc. Zamarłam, kiedy go zabrał. Nagle zaczął zdierać ze mnie ubranie.

Kiedy byłam nago, włożył mi rękę między nogi i zaczął dotykać. Byłam przerażona. Ciężko dyszał, a jego oczy płonęły. Wciąż pamiętam, jak cuchnął. Co się działo? Co on robił? Wciąż mówił, że to za karę. Miał ciężki oddech, wciąż mnie dotykał. Bolało, ale nie tak, jak gdy mnie bił. Czułam jednak, że to o wiele gorsze, złe i brudne.

Następnie podwinął własny *salwar kamiz*. Złapał moją rękę i przyciągnął do siebie. Potem owinał ją dookoła swojego ciała.

- Tak należy karać złe, bezwartościowe dziewczynki
- powiedział. - Patrz na to, co robisz... jakie to brudne.

Zaczął poruszać na sobie moją ręką. Wciąż miałam zamknięte oczy - to było odrażające. Nie widziałam go, ale czułam jego zapach. Wiedziałam, co trzymam w ręku, i czułam się źle; przepełniała mnie pogarda zarówno wobec siebie, jak i jego. Cały czas powtarzał, że jestem brzydka, niegrzeczna i że zasługuję na karę.

Zrobiłam to, czego wymagał ojciec. Zniosłam karę. Co mogłam zrobić? Byłam zbłąkaną i przerażoną dziewczynką, a część mnie wciąż łaknęła jego aprobaty. Nienawidziłam go za to, co robił. Jednak część mojego serca wciąż pragnęła, by kochał mnie jak ojciec. Przystałam na jego żądania, licząc, że dzięki temu mnie pokocha. Ale tata mnie nie kochał. Jeszcze bardziej mną pogardzał. Mój brak oporu był dla niego pokusą, więc uroił sobie, że jestem złą kusicielką.

Podciągnął spodnie i powiedział:

- Zasłużyłaś sobie na to. A jeśli opowiesz komuś o tej karze, zabiję cię. Pójdiesz do piekła. Allah nie wpuściłby takiej niedobrej dziewczyny do raju.

Ojca obchodziła tylko władza i zaspokajanie swoich chorych żądz. Wiedział, że może zrobić ze mną co tylko zapagnie, i odurzało go to. Nikt nie miał zamiaru mnie bronić.

Zostawił mnie na łóżku, przerażoną i targaną winą oraz wstydem. Uwierzyłam w jego słowa. Kiedy ktoś powtarza coś bardzo często, zaczyna się w to wierzyć, zwłaszcza jeśli tym kimś jest twój ojciec. A tym bardziej, jeśli jest on powszechnie szanowanym imamem.

Wyglądało na to, że tacie spodobało się „karanie” mnie. Za tydzień sytuacja się powtórzyła. Tydzień potem również. I w następnym tygodniu. Ojciec nie umiał trzymać rąk przy sobie. Nie wiedziałam, co będzie dalej, i bałam się. Żyłam w ciągłym strachu.

Ale tacie samo dotykanie nie starczyło na długo. Za pierwszym razem, kiedy mnie zgwałcił, myślałam, że umrę od jego ciężaru. Zostawił mnie krwawiącą na łóżku. Poplamiłam całą pościel. Musiałam skłamać mamie, że to z nosa. Nie obchodziło jej, jakim cudem ubrudziłam pół łóżka krwawiącym nosem. Skrzyczała mnie tylko za to, że miała przeze mnie więcej pracy.

Niebawem gwałty stały się rutyną. Brał mnie do swojej sypialni, by mnie „ukarać”, a ja wpatrywałam się w sufit i udawałam, że to dzieje się komuś innemu. Modliłam się, by Ptaki Samotności porwały mnie do świata wyobraźni, w którym mój ojciec gwałciiciel nie mógłby mnie krzywdzić.

- Jest w tobie zło - powtarzał. - I tylko w ten sposób można je wypędzić.

Za każdym razem, kiedy mnie gwałcił, czułam się jeszcze bardziej obrzydliwa i brudna. Coraz więcej czasu spędzałam w świecie wyobraźni, ale nawet to nie chroniło mnie przed przerażeniem i wstydem. Czułam się bezwartościowa i głęboko zraniona. Wierzyłam, że zasłużyłam na „karę”. Ale kiedy to się skończy?

Co niezwykle, mamy ani razu nie zdziwiły moje opowieści o krwotoku z nosa, który nie mógł być przyczyną zaplamionej co tydzień połowy łóżka. Przez kilka pierwszych tygodni krwawiłam za każdym razem, więc oczywiste było,

co się dzieje. Mama nie zdołała obronić mnie ani wtedy, gdy mnie bił, ani teraz. Nie chciała stawić czoła prawdzie. Byłby to dla niej zbyt wielki wstyd. Wolałaby umrzeć. Zszargałoby to „honor” rodziny.

Nie miałam z kim o tym porozmawiać ani komu się zwierzyć. Moja rodzina nie chciała o niczym wiedzieć. Nie miałam zażyłych kontaktów z nauczycielami. Poza przyjaciółmi byłam zupełnie sama. W szkole czułam się jak dziwoląg. Nie chciałam opowiadać znajomym o tym strasznym, nowym horrorze. A mając niespełna sześć lat, nie wiedziałabym, jak to wyjaśnić.

Zamiast tego zaczęłam tworzyć w głowie historyjki. Wyobrażałam sobie inne życie, mając nadzieję, że stanie się ono rzeczywistością. Fantazjowałam, że jestem biała i żyję w domu Jane i Susan albo wręcz, że jestem ich siostrą. W moim udręczonym umyśle bycie białym łączyło się z posiadaniem normalnego życia i rodziny. Dla małych pakistańskich dziewczynek życie to piekło.

Zaczęłam zapisywać historie w zeszycie, który trzymałam ukryty w komodzie. Pisałam po angielsku, żeby w razie czego rodzice ich nie zrozumieli. Angielski stał się moim sekretnym językiem, ale posługiwała się nim także moja rodzina i społeczeństwo, których częścią chciałam być. Uciekałam w świat białych, bo nie wyobrażałam sobie, aby takie rzeczy działy się w rodzinie Jane i Susan.

Nie miałam jak powstrzymać ojca, więc robiłam to, czego wymagał, pomimo że czułam się z tym okropnie. To było błędne koło. Im brutalniej mnie molestował, tym bardziej czułam,

że zasługuję na karę. Im bardziej uchodziło mu to na sucho, tym bardziej rosło jego mroczne uzależnienie. W wielu islamskich społeczeństwach to ofiara gwałtu uznawana jest za winną, gdyż rzekomo „skusiła” mężczyznę. Tak też uważał mój ojciec.

W końcu przestały mu wystarczać szybkie gwałty w sypialni. A może ciężko było wytłumaczyć zakrwawione prześcierała. Tak czy siak, zdecydował przenieść mnie do nowego miejsca tortur. W tylnej części domu, pod kuchnią, była piwnica. Stała się ona miejscem moich męczarni na następnych dziesięć lat.

Przez drewniane drzwi i po skrzypiących schodach schodziło się do mrocznej, wilgotnej, ceglanej celi rozmiarów niewielkiego pokoju. Puste ściany i podłoga. Brak żarówki, tylko lampa z na wpół przegniętym abażurem, dająca niewiele światła. Nie korzystaliśmy z piwnicy. Po podłodze czasem przemknęła mysz. Tata mógł zamknąć drzwi i robić ze mną co chciał, nie martwiąc się, że ktoś mu przeszkodzi.

Ojciec zamykał mnie tam bez jedzenia i wody. Trzymał mnie nagą w zimnie i wilgoci godzinami, a czasem całymi dniami. Nie miałam nic, co mogłoby mnie ogrzać, poza *salwar kamiz*.

- Żaden mężczyzna nie będzie cię chciał! - krzyczał. - Jesteś okropna i brudna! Spójrz tylko na siebie! Nigdy nie wyjdiesz za mąż, bo jesteś ohydną, brudną, bezwartościową dziewczyną.

Kiedy kończył mnie gwałcić, zostawiał mnie w mroku piwnicy drżąca i roztrzęsiona. Obok mnie biegały myszy i inne stworzenia, a ja tuliłam się do ceglanej ściany. Kuliłam się w rogu, żałując, że żyję, i modląc się, by uratowały mnie Ptaki Samotności. Śniłam, że unoszą mnie do krainy księżniczek i książąt.

W marzeniach byłam jedną z nich, a wszyscy byli biali. Mieszkaliśmy w zamkach otoczonych polami lawendy i każdy miał wszystko, czego zapragnął. Wszyscy byli radośni i dobrzy. Ale nie mogłam ciągle przebywać w tym magicznym świecie i zawsze wracałam do rzeczywistości. To były najgorsze chwile. To wtedy marzyłam, by moje życie się skończyło, wraz z mrokiem i bólem.

Czasami ojciec wychodził do meczetu, by spędzić popołudnie na kazaniu, zamykając mnie w piwnicy. Jeśli zostawiał klucz w drzwiach, mama przynosiła mi jedzenie - curry z *chapati*. Robiła to jednak w kompletnym milczeniu, stojąc na schodach i *czekając*, aż je odbiorę. Czasem byłam półnaga, ale nie komentowała tego ani nie oferowała mi koca.

Nawet na mnie nie patrzyła. Nie chciała przyznać oczywiście - że jej mąż, imam, molestuje swoją sześćioletnią córkę.

Nigdy nie prosiłam, by mnie wypuściła. Wiedziałam, że za bardzo boi się taty. Pewnego razu przytąpał ją na przynoszeniu mi jedzenia i wpadł w szał, bijąc ją bardzo mocno. Krzyczał, że przerwała jego karę. Jak ma wygnąć ze mnie zło, kiedy żona mu przeszkadza? Był panem w tym domu i wiedział, co jest dobre dla jego przeklętej córki.

Mama była przerażona. Co prawda niekiedy zostawiała otwarte drzwi, abym mogła uciec, ale zdarzało się to rzadko. Miała nadzieję, że ojciec uzna to za własne niedbalstwo. Zazwyczaj jednak drzwi były zamknięte, a on wracał z meczetu, schodził do piwnicy i gwałcił mnie.

Czasami siedziałam tam przez kilka dni z rzędu. Nie chodziłam wtedy do szkoły. Mówiłam nauczycielom, że byłam chora.

Musiałam wyglądać blado, na zmęczoną i wycieńczoną. Nikt tego nie kwestionował ani nie podejrzewał, co tak naprawdę dzieje się w domu.

* * *

Jane i Susan nadal zapraszały mnie do swojego domu. Sprawiły, że ich mama zaczęła je wspierać.

- Hannan musi nas odwiedzić - powiedziała pewnego dnia po szkole. - Dziewczynki bardzo by się ucieszyły. My też. Pozwoli jej pani?

Mama uśmiechnęła się i powiedziała „dziękuję”, ale nie rozwinęła myśli. Unikała ustalania daty i udzielenia konkretnej odpowiedzi. Ukrywała to dzięki temu, że kiepsko mówiła po angielsku. Zdecydowałam wtedy, że wykradnę się do nich. Wiedziałam, gdzie jest ich dom, bo mijałyśmy go po drodze ze szkoły. Gdybym zniknęła na krótko, mama pomyślałaby, że bawię się z koleżanką z ulicy.

Pewnego letniego popołudnia wykradłam się z domu. Często bywałam u Aminy i innych koleżanek, więc wiedziałam, że nikt nie będzie mnie szukać. Udałam się wzdłuż East Street aż do głównej drogi. Kierowcy jeździli po niej jak szaleni. Dopiero za którymś razem zebrałam się na odwagę i przebiegłam. Dom Jane i Susan znajdował się tuż przede mną.

Był duży i nowoczesny. Ilekroć go mijałam, fascynował mnie wielki ogród pełen kwiatów, który go otaczał. Przypominał lawendowe pola z mojego wymagowanego świata. Udałam się ścieżką biegnącą obok ich posiadłości i zobaczyłam,

że huśtają się na podwórku. Kiedy mnie ujrzały, zaczęły pisać z radości.

- Udało ci się! To Hannan!

Rozejrzałam się, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Ogródek z tyłu domu był jeszcze ładniejszy niż frontowy. Wyglądał jak z bajki. Był tam trawnik upstrzony jasnymi kwiatkami. Mały staw otaczały krzesa i stół. Po drugiej stronie znajdował się dmuchany basen, a w jego okolicy leżały wiaderka i łopatki.

Jane i Susan złapały mnie za ręce i pociągnęły w kierunku basenu. Był słoneczny dzień, a one miały na sobie krótkie spodenki i topy. Czułam się niezgrabnie w moim *salwar kamiz*. Ich mama stała w kuchni. Przywitała mnie wesoło przez okno i przyniosła nam ciastka oraz kompot.

Pobawiłyśmy się trochę na dworze, po czym zaprosiły mnie do środka do swoich pokojów. Minęłyśmy kuchnię i poszłyśmy na górę. Oczywiście ich mamie nie przeszkadzało, że jestem tam gościem. Nie mogłam pojąć faktu, że Jane i Susan miały osobne pokoje. Na drzwiach do nich napisano: *Pokój Jane* i *Pokój Susan*. W każdym znajdowało się łóżko na tyle wysokie, że można było zmieścić się pod nim na siedząco. Tam właśnie trzymały wszystkie zabawki. Miały ich mnóstwo - ja ani jednej.

Ich rodzice dbali o to, by miały takie same rzeczy. W obydwu pokojach znajdowały się domki dla lalek z drewnianymi meblami, kucyki i lalki Barbie z mnóstwem ubrań. Wraz z Jane i Susan spędziłyśmy mnóstwo czasu na przebieraniu i czesaniu ich oraz na jeżdżeniu nimi w samochodach po pokoju. Następnie czesałyśmy sobie włosy — czerwone warkocze Susan,

kasztanowe loki Jane i moją kruczoczarłą grzywę. Jane miała stolik z plastikową biżuterią, szczotkami i spinkami w kształcie kwiatków.

Szybko minęły mi dwie godziny zakazanych przyjemności. Zaczęłam zastanawiać się, czy wrócić do domu. Niedługo mama zacznie mnie szukać. Szybko odkryłaby, że nie ma mnie na naszej ulicy. Wszyscy się tam znali, więc nie byłby to dla niej problem. W końcu pożegnałam się z dziewczynkami i ich mamą.

- Wpadaj tu, kiedy zechcesz - powiedziała. - Wspaniale się razem bawiłyście. Przyrzeknij, że przyjdiesz.

- Przyrzekam - mruknęłam. - Dziękuję,

Nie wiedziałam, czy zdołam dotrzymać obietnicy. Wróciłam po własnych śladach, mając nadzieję, że nikt mnie nie zauważy. Wślizgnęłam się do mojego domu, pełnego mroku i smutku, który tak bardzo kontrastował z jasnym i radosnym domem Jane i Susan.

- Gdzie byłaś? - spytała od razu mama.

- Bawiłam się na ulicy - odparłam w najbardziej niewinny sposób, w jaki potrafiłam.

Unikałam wzroku matki i zajęłam się pomaganiem jej. Nie pytała o nic więcej. I tak rozmawiałyśmy niewiele. Poza tym przywykła do tego, że bawię się na ulicy. Zabronione było opuszczanie jej - wkraczanie na terytorium góra.

Moja wizyta w domu koleżanek była prawdziwym buntem. Towarzyszyły jej strach, ekscytacja i niebezpieczeństwo; miałam szczęście, że nikt mnie nie przyłapał. Poczułam się też w pewien sposób wyzwolona. Tego wieczora pomyślałam, że dobrze

zrobiłam, idąc tam. Złamałam zasady i czułam się z tym świetnie. To był mój pierwszy cichy bunt, który zachowałam dla siebie. Przysięgłam sobie, że będzie ich więcej.

W następnych dniach przemyślałam różnice między tym, jak żyłam ja, a jak Jane i Susan. One miały zabawki, własne pokoje i plac zabaw w ogródku. Dlaczego moje życie wyglądało zupełnie inaczej? Dlaczego?

Ale najbardziej zastanawiało mnie to, że ich mama zaprosiła mnie do domu, mimo że moi znajomi nie mogli przychodzić do mnie. Była tak urocza - zachowywała się jak ich przyjaciółka, a nie rodzic, który tylko wydaje rozkazy bądź w inny sposób wykorzystuje swą przewagę. Wraz z mężem rozmawiali ze swoimi dziećmi i słuchali ich. Po tym jak zobaczyłam mieszkanie Jane i Susan, wstydziłabym się zaprosić je do naszego domu. Nie miałabym czym się z nimi bawić - nie posiadałam absolutnie żadnych zabawek.

Ich rodzice na pewno nie narzekali na brak pieniędzy. Nas nie byłoby stać na takie rzeczy. Byliśmy biedni. Jednak moi bracia mieli zabawki. Niewiele, ale każdy z nich miał po kilku żołnierzy z *Gwiezdnych wojen* i tym podobne. Ja nie miałam nic. Jak mogłam zaprosić koleżanki, żeby się ze mną bawiły? W pewien sposób cieszyłam się, że nie wolno mi było wpuszczać ich do domu.

Jednak wciąż zastanawiałam się, dlaczego nie mam zabawek. Uznałam po prostu, że taki mój los. Nie byłam kochaną córeczką jak Jane czy Susan. Nie byłam też szanowanym synem jak moi bracia. Byłam beużyteczna i przepełniona wstydem, a tata mógł ze mną robić, co chciał.

Pragnęłam żyć jak Jane czy Susan. Uznałam, że powiązane jest to z kolorem ich skóry. Nie łączyłam tego z religią, tylko z rasą. Były białe, więc uznałam, że są chrześcijankami. Jednak nie chodziły do kościoła ani nie mówiły o Bogu. Nie marzyłam jednak o ich religii, tylko o takich rodzicach i radosnym, beztrudnym życiu, jakie wiodły.

Dla mnie Jane i Susan żyły na lawendowych polach - bezpiecznym schronieniu z moich marzeń.

Podporządkowanie

Mama zdecydowała, że nadszedł czas, bym *zaczęła*, pomagać w pracach domowych. Musiałam gotować, spędzając czas w naszej zapuszczonej kuchni. Znajdowały się w niej meble kuchenne z laminowanego drewna z lat sześćdziesiątych i zlew ze stali nierdzewnej; podłoga była czerwona, ściany - bledożółte. W rogu pionowo biegła duża rura. Światło dawała goła żarówka zwisająca z sufitu.

Za pierwszym razem mama pokazała mi, jak kroić cebulę. Chciała, bym zrobiła to tak jak ona, czyli bardzo drobno. Próbowałam ją naśladować, ale używałam noża pierwszy raz, a moje dziecięce dłonie były niezdarne. Pokroiłam cebulę dość grubo i wrzuciłam na patelnię, by usmażyć z olejem i przyprawami. Mama spojrzała, co robię. Nagle wpadła w gniew.

- Nie słuchałaś?! - krzyknęła. - Cebula ma być pokrojona drobno, tak jak ci pokazałam! Jak można tego nie rozumieć?

Byłam wstrząśnięta i zawstydzona. Przywykłam do takiego traktowania przez ojca, ale mama wcześniej się tak do mnie nie

odzywała. Nigdy nie czułam, że mnie nie lubi, w przeciwieństwie do niego. Normalnie była miła i opiekuńcza, chociaż nie potrafiła mnie ochronić przed ojcem. Jednak w kuchni zamieniała się w tyrankę. Robiła rzeczy w pewien określony sposób i denerwowała się, jeśli ktoś robił inaczej. Nawet po najdrobniejszym błędzie krzyczała na mnie.

Ciągle obawiałam się, że nie zrobię czegoś jak należy. Jeśli coś było nie tak zjedzeniem, tata wpadał w szał. Mama się tego obawiała, a ja byłam doskonałym obiektem, na którym można było wyładować stres. Jej życie z ojcem było tak pełne przemocy i mroku, że nauczyła się wyzywać na mnie.

Ilekcio zrobiłam coś w kuchni „źle”, mama uznawała, że bujam w obłokach. A ja po prostu nie miałam talentu do gotowania. Mama chciała, by *chapati* były idealnie równe i mieściły się na talerzach, co nigdy mi nie wychodziło. Brałam ciasto, robiłam z niego kulę i wałkowałam. Jednak o ile mamie wychodziły idealnie okrągłe, moje były pofałdowane.

Tata zawsze chciał, żebym przynosiła mu jedzenie i picie z kuchni. Jednak z mojego gotowania był jeszcze bardziej niezadowolony niż z posiłków mamy. Nieważne, co przyrządziłam, kurczaka, piżmian czy curry z warzywami, twierdził, że jest paskudne, a moimi nieokrągłymi *chapati* rzucał we mnie.

- Co to? - krzyczał. - Jesteś bezużyteczna! Wyrzuć je! Chcę okrągłe, takie jak robi matka! Spróbuj jeszcze raz! Tym razem lepiej się postaraj...

Zawsze obawiałam się, że mnie pobije albo „ukarze” w piwnicy. Po przyjeździe na świat mojej siostry, Sabiny, było jeszcze gorzej. Gdy stała się na tyle dorosła, by pomagać w kuchni,

okazało się, że ma do tego talent. Potrafiła przyrządzić idealne curry, jak mama, i okrągłe *chapati*.

Popisywała się, śpiewając:

- Patrzcie! Spójrzcie na moje okrągłe *chapati*! Takie jak lubi tata! Ten zaś zjadał je ze smakiem.

Nie potrafiłam się tym nie przejmować. Nie umiałam powiedzieć sobie: „Co za różnica, okrągłe czy kwadratowe *chapati*? Kogo to obchodzi?”. Chciałam umieć zrobić je poprawnie. Chciałam zadowolić ojca. Wydawało mi się, że tak postępują dobre muzulmanki. Jednak nigdy nie zdołałam opanować tej sztuki. Im bardziej krytykowała mnie mama, tym bardziej nerwowa stawałam się w kuchni i zapomniałam dodać jakiegoś składnika.

Bracia nigdy nie komentowali moich potraw. Zjadali je z twarzami wlepionymi w telewizor. Cieszyłam się, że mnie nie biją i nie rzucają we mnie jedzeniem - to wystarczyło za komplement.

Pewnego popołudnia oglądałam kreskówkę *Button Moon*. Miałam wtedy prawie siedem lat. Była o Księżycu, na którym żyli bohaterowie, a który tak naprawdę był guzikiem. Uwielbiałam ten program. Zaśmiałam się z jednego z dowcipów, kiedy nagle usłyszałam głos taty z korytarza.

- Zamknij się! - krzyknął. - Nie chcę słyszeć twojego śmiechu ani widzieć, jak się uśmiechasz. Inaczej pożałujesz.

Przeżrana odwróciłam się do telewizora. Wiedziałam, że jeśli coś odpowiem, wyląduję w piwnicy. Ale jednocześnie poprzysięgam sobie: „Będę uśmiechać się i śmiać. Nigdy nie przestanę, nieważne co mi zrobisz”. Postanowiłam, że nie

pozwole ojcu mi tego odebrać. Śmiech dawał mi siłę i odwagę. Był częścią mojej duszy, której nie zdołał zniszczyć.

Ojciec biciem prawie wykorzenił śmiech z mojej mamy. Kiedy był w pobliżu, nie potrafiła się cieszyć. Jednak moi nauczyciele często zauważali, że bardzo łatwo mnie rozbawić. Uśmiechałam się, bo w domu nic nie rozświetlało mojego życia. Byłam jak szczeniak spragniony miłości i uczucia.

Duże wydarzenie stanowiły dla mnie drobiazgi takie jak szkolne wyjście do kościoła. Kościół w Bermford był zimny i przepastny, niemalże jak katedra. Jednak wikary - ciepły, przyjazny człowiek około trzydziestki - okazał się uroczy. Najczęściej nosił czarny garnitur, a spod marynarki wystawał mu biały kołnierzyk. Odwiedzał szkołę, prowadząc w niej lekcje religii. Potrafił pięknie i żywo opowiadać sceny biblijne.

Pewnego dnia opowiedział nam o małym Jezusie. Innego razu o *Józefie i cudownym płaszczu snów w technicolorze*. Kolejna historia była o Mojżeszu i płonąącym krzewie, następna o Danielu w jaskini lwa, a po niej o Jezusie leczącym trędowatych. Opowiadając, rysował na tablicy kreskówkowe postaci kolorowymi kredkami. Miał talent, co dodawało opowieściom barwności.

Czasem odgrywaliśmy te scenki w klasie. Ja nigdy się nie zgłaszałam. Chowałam się z tyłu, podczas gdy inni uczniowie dostawali role owiec, pasterzy i tym podobnych. Uczył nas o chrześcijaństwie, ale główny nauczyciel religii opowiadał o hinduizmie, islamie i innych wyznaniach. W szkole obchodzono różne święta, między innymi muzułmańskie Id, hinduskie Diwali, i żydowską Chanukę.

Lekcje wikarego były najciekawsze. Odniosłam wrażenie, że jego wiara daje mu siłę. Jego entuzjazm zarażał. Jednak wizyty w kościele nie zawsze sprawiały frajdę. Pewnego razu zasnęłam w ławie kościelnej. Zdarzało się to wielu uczniom, ale różnica polegała na tym, że w meczecie porządnie złocono by nam za to skórę.

Pewnego dnia wikary opowiedział nam o Jezusie. Na koniec dodał, że jest jednym z proroków, o których wspomina Koran. Zdziwiłam się. Tata nigdy o nim nie mówił. Zdecydowałam, że go o to spytam. Myślałam, że się ucieszy, że jego córka dowiedziała się tak ważnej rzeczy.

- Nauczyciel powiedział nam, że w Koranie jest Jezus
- zaczęłam z nadzieją, kiedy ojciec wrócił do domu.

Myślałam, że może choć raz będzie ze mnie zadowolony.

- Mówił...

- Nigdy nie wymieniaj jego imienia w tym domu! - ryknął ojciec. - Nigdy, słyszysz!

Nagle poczułam uderzenie w twarz wierzchem dłoni. Ból przekonał mnie, że słowo „Jezus” także łamie zasady.

Z czasem dowiedziałam się, że Jezus jest dla islamu ważnym prorokiem. W Koranie występuje pod swym arabskim imieniem *ha*. Być może ojciec o tym nie wiedział, a może po prostu nie znosił jego imienia. Tak czy siak nie wyjaśnił, czemu nienawidzi słowa „Jezus”.

Ale wciąż słuchałam lekcji wikarego i śmiałam się z jego opowieści. Tego ojciec nie mógł mi odebrać - humoru. Dzięki temu czułam, że przetrwam. Odebrał mi niewinność i dziecięcą miłość. Skaził je. Wziął moje ciało, naruszył moją nietykalność.

A z pomocą okrutnych słów chciał zniszczyć moją duszę. Jednak nie zdołał zabić we mnie śmiechu.

Pewnego dnia byłam w mieście z moim bratem, Razem, i mamą. Pomagaliśmy jej w sprawunkach w supermarkecie Morrisons. Nie mieliśmy samochodu, co utrudniało sprawę. Mama wzięła na zakupy zielony wózek, taki, jakiego używają starsi ludzie.

Kiedy zamierzaliśmy wejść do supermarketu, podszedł do nas wysoki biały mężczyzna. Miał na sobie galabiję, mużułmańską szatę, oraz *topi*, charakterystyczne nakrycie głowy. Był to „mundur” noszony przez mego ojca i innych mężczyzn z naszej ulicy. *Gora* dziwnie w tym wyglądał. Miał ogromną brodę zafarbowaną na czerwono henną oraz przeszywające niebieskie oczy.

Raz przywitał go uściskiem - okazało się, że znają się z meczetu. Po raz pierwszy widziałam białego nawróconego na islam. Raz powiedział, że bardzo cieszy się, że ten gon^o się nawrócił, ale ja byłam zszokowana. Ojciec nie wspominał, że do meczetu uczęszcza biały. Nie sądziłam nawet, że to dozwolone. Myślałam, że nie mogą tam przychodzić, tak jak do naszego domu.

Zastanawiałam się też, czemu biały chciałby porzucić swój świat i przejść do naszego. Z czasem dowiedziałam się, że w meczecie ojca było wielu nawróconych. Niezależnie od tego, czy byli biali czy czarni, większość ludzi przyjmowała ich ciepło, gdy przechodzili na islam. Wiele osób z naszej społeczności miało znajomych „obcych”. Moi wujkowie otwarcie mówili o znajomych *gora*. Tylko mój ojciec nienawidził wszystkich obcych.

Tata oficjalnie nie potępiał nikogo za kontakty z osobami innych narodowości. Po prostu to ignorował. W jego umyśle panowała ścisła hierarchia. Na szczycie byli muzułmanie pakistańscy, zwłaszcza święci mężowie tacy jak on, oraz arabscy. Poniżej znajdowali się inni wyznawcy islamu z Azji - np. Hindusi czy Bengalczycy. Pod nimi byli biali niewierni oraz czarni. Na samym dole znajdowali się pogardzani Żydzi.

W Arabii Saudyjskiej, ziemi świętej muzułmanów, Pakistańczyków uznaje się za mniej ważnych, gdyż nie są Arabami. Mój ojciec rozumiał to i akceptował swoje miejsce w hierarchii. Arabowie Saudyjscy byli bezpośrednimi potomkami Mahometa i dlatego należał im się szacunek. Mój ojciec to popierał. Tak działał świat.

W meczecie mojego ojca nie było miejsca do wspólnych modlitw mężczyzn i kobiet, pomimo że nie jest to założeniem odłamu deobandyckiego sunnityzmu, który wyznawał zarówno on, jak i moja matka. W wielu deobandyckich meczetach mężczyźni i kobiety modlą się wspólnie. Ale on wprowadził tę zasadę i trzeba było traktować ją jak świętą.

Piątki, które są świętem dla muzułmanów, ojciec spędzał w meczecie. Mama przygotowywała w domu specjalny posiłek, delikatnie przyprawiony pudding z ryżu oraz chałwę. Piątek był dniem kąpieli oraz okadzania domu. Tata wymagał, by jego najlepsze ubranie leżało w pokoju, idealnie czyste i wyprasowane. Jeśli coś było nie tak, wpadałyśmy z mamą w tarapaty.

Czasem w piątek w pobliskim meczecie odbywały się wyjątkowe wydarzenia. Z Arabii Saudyjskiej lub Pakistanu przyjeżdżał pir, czyli święty mąż, by recytować Koran i nauczać nas.

Meczety urządzały dla niego składkę na bilet. Przed każdą wizytą panowała wielka ekscytacja, ale tylko mężczyźni mogli wysłuchiwać lekcji i recytacji.

Kobiety musiały zadowolić się obejrzeniem nagrania z tego wydarzenia. Ich obecność w meczecie mogłaby zawstydząć bądź rozpraszać mężczyzn, zwłaszcza jeśli były ładne. Wszelkie przejawy kobiecości mogły odrywać mężczyzn od skupienia się na recytacji Koranu, zubożając ich duchowo.

Mojemu ojcu i innym mężczyznom nie przyszło do głowy, by powściągnąć swoje pożądanie zamiast zabraniać kobietom wstępu do meczetu. Chociaż Koran nakazuje obu płciom skromność w równym stopniu, nigdy nie zauważyłam, by tego przestrzegano. Nikt nigdy nie mówił, że kobieta może zostać rozproszona widokiem mężczyzny. Nie wypraszano ich z meczetu, podczas gdy pir nauczał tylko kobiety. W świecie mojego ojca, imama, nie było równości.

Każdemu dziecku w naszej społeczności przydzielano pira. Ten modlił się za to, by wytrwało ono w wierze i podtrzymywało pięć filarów islamu. Czasem święty mąż odwiedzał dom takiego dziecka. Był to wielki zaszczyt. Domy sprzątano od góry do dołu i szykowano wielką uroczystość. Kiedy gość przybywał, każdy chciał dotknąć jego ręki lub szaty, jak gdyby sam człowiek był obiektem kultu.

Pir otrzymywał datki od rodzin, by objąć patronat nad dzieckiem. Nie funkcjonowała jakaś określona stawka, ale kwestią honoru było zapłacenie jak najwięcej. Oczywiście święci mężowie byli majątniejsi niż rodziny, które odwiedzali. Ubierali się w eleganckie ubrania i jeździli

mercedesami. Każdy mężczyzna mógł ogłosić, że Bóg powołał go do bycia pirem.

Kiedy miałam siedem lat, odwiedził mnie mój pir. Był Pakistańczykiem, ale mieszkał w Arabii Saudyjskiej. W jego rodzinie sprawowanie tej funkcji było tradycją. Kiedy do nas przyjechał, dostojnie wkroczył do pokoju kobiet. Powitał go mój ojciec oraz tłumek kobiet, w tym moja mama, siostry i ciotki. Pokój natychmiast się zapełnił. Większość chciała tylko zobaczyć świętego męża i dotknąć jego szat.

Usiadł na podłodze, a wszyscy poszli za jego przykładem. Najbardziej wyrazistą cechą tego mężczyzny był zapach - niezwykle intensywny aromat przypraw. Ortodoksyjni muzułmanie uważają, że alkoholu nie należy stosować w żadnej postaci, gdyż jest *haram*. Używano więc wody *halal* lub olejków zapachowych, które ciężko kupić w Wielkiej Brytanii.

Z trudem wytrzymałam intensywny zapach pira. Zaczął deklamować Koran, a ja powtarzałam za nim. Kazał mi recytować dane wersety każdego dnia. Następnie przekazał moim rodzicom dwa prezenty. Pierwszym z nich był *tawiz*, czyli medalion z ręcznie zapisanym przez niego werselem ze świętej księgi. Zwykli śmiertelnicy nie mogli przepisywać Koranu, ale on był pirem. Drugi prezent stanowił werseł na kartce papieru. Rodzice mieli go pociąć i dodać do picia, żebym spożyła święte słowa.

Ceremonia dobiegła końca. Poznałam mojego przewodnika i mój wielki dzień zakończył się. Tata i pir zniknęli w pokoju dla mężczyzn, gdzie rozmawiali godzinami.

Wszyscy niezwykle przejmowali się wizytą świętego męża. Bardzo się na nią cieszyłam. Rodzina chciała przynajmniej,

bym czuła się wyjątkowo. Wszyscy założyliśmy nowe ubrania. Nawet mi pozwolono się przebrać. Posprzątałyśmy cały dom i ugotowałyśmy potrawy, których normalnie nie jadaliśmy. A pir spędził ze mną niecałe dwie minuty.

Zjadł w pokoju mężczyzn, gdzie nie mogły przebywać kobiety. Zasada ta nie została oczywiście unieważniona na czas mojego wyjątkowego dnia. Spędziłam go, przenosząc jedzenie z kuchni do pokoju. Kiedy pukałam, któryś z moich braci odbierał ode mnie jedzenie, po czym zamykał mi drzwi przed nosem.

Kiedy mężczyźni skończyli, pozwolono mi zjeść z kobietami. Jedzenie smakowało mi, ale czułam się oszukana. Spotkanie z pirem nie wydawało mi się ważne. Jeśli to miał być największy prezent, jaki dali mi rodzice w ciągu pierwszych siedmiu lat życia, to mogli go sobie zachować. „Poznanie pira. Wielkie mi coś” - powtarzałam sobie. Wolałabym lalki Barbie należące do Susan i Jane.

Później mama przekazała mi medalion pira oraz kawałki papieru w soku z pomarańczy. Musiałam je połknąć - gdybym odcedziła je zębami, miałabym ogromne kłopoty.

Jeśli z meczetem wiązały się jakieś pozytywne wydarzenia, były to śluby. Trwały trzy dni i składały się z malowania henną, podpisywania dokumentów i dwóch wesel - w domu pana i panny młodej. Ceremonia odbywała się jednak w meczecie. Jeśli przyjaźniliśmy się z daną rodziną, zapraszano nas na hennę, kiedy to malowano dłonie i stopy panny młodej i jej przyjaciółek.

Za pomocą tego naturalnego barwnika tworzono skomplikowane wzory - wiry, wachlarze, zawijasy, pąki i kwiaty. Kiedy

henna wyschła, kobiety miały czerwone tatuaże, które nie zniknęły przez kilka tygodni.

Tańczono wtedy tradycyjne pakistańskie tańce, podobne do tych znanych z Bollywood. Były bardzo zalotne, więc kobiety nigdy nie mogły wykonywać ich przed mężczyznami. Tańczyły tylko z innymi paniami! W Afganistanie występowały podobne tańce, w których brali udział przedstawiciele obu płci. Jednak wraz z nadejściem rządów talibów zostały one zakazane.

W meczecie w trakcie ceremonii mężczyźni byli oddzieleni od kobiet. Panna młoda mogła wejść do pomieszczenia mężczyzn wraz z matką i ciotką. Wyglądała przepięknie w różowym *salwar kamiz* (czerwony i różowy to tradycyjne kolory dla panny młodej w islamie) i niezwykle ozdobnej biżuterii. Na rękach miała złote bransolety, na szyi - naszyjniki, a z uszu zwisały jej kolczyki. Na środku czoła znajdował się piękny złoty wisiołek zwany *tika*.

Siadała na scenie obok pana młodego, który ubrany był w zachodni garnitur i kamizelkę. Tata prowadził ceremonię, a reszta kobiet siedziała zamknięta w osobnym pokoju. Było tam mnóstwo miejsca, więc swobodnie bawiłam się z kolegami. Nie mogliśmy jednak śpiewać i tańczyć.

Pannie młodej zabroniono się uśmiechać. Jeśli wyglądała na szczęśliwą, tata ją beształ. Miała okazywać smutek, że opuszcza rodziców. Często nie było to trudne. Małżeństwa były aranżowane i panna młoda denerwowała się tym, co ją czeka. Zdarzało się też tak, że poznawała swego przyszłego męża dopiero, gdy dotarła z nim do urzędu stanu cywilnego. Pan młody zaś, jeśli chciał, mógł wyglądać na szczęśliwego.

Tata pytał oboje, czy zgadzają się na małżeństwo. Zakładając, że powiedzieli „tak” (biada każdej córce, która zawahała się lub odmówiła), kazał recytować im konkretną surę Koranu. Następnie mężczyźni przechodzili do uczyty weselnej, a para młoda została na scenie. Potem panowie przechodzili do innego pokoju, a kobiety i dziewczynki mogły zająć się jedzeniem.

W trakcie uczyty podchodzono do pary młodej i przekazywano jej prezenty - ubrania, przedmioty użytku domowego, koperty z pieniędzmi. Później, w domu pana młodego, rodzice panny młodej zakładali mu na głowę girlandę z pieniędzy, która stanowiła część posagu. Rodzice obu stron uzgadniali przed słubem jego wysokość. Nie było określonej sumy - posag przeważnie składał się z pieniędzy, ubrań i bydła.

Dziewczynki są często niechciane między innymi dlatego, że ich ślub kosztuje rodziców dużo pieniędzy. Problem stanowi posag. Ojciec oczywiście przy każdej okazji przypominał mi, że nigdy nie chciał córki. Cała nasza społeczność bardziej doceniała chłopców. Ci byli radością dla rodziców. Córki zaś stanowiły brzemię. Rodzice dziękowali Bogu, tylko jeśli urodził im się syn.

Pewnego dnia obejrzałam w telewizji dokument dotyczący traktowania dziewczynek w Azji. Stwierdzono, że w Indiach i Pakistanie uważa się, że ich utrzymanie jest tak kosztowne dla rodziny, że czasem zabija się je jako noworodki. W rodzinie mojego ojca mordowano dziewczynki tylko dlatego, że urodziły się dziewczynkami.

Myślałam, że tata był osamotniony w swojej nienawiści do kobiet. Jednak teraz wszystko zaczynało stawać się jasne.

Cała kultura mojego kraju była negatywnie nastawiona do kobiet. Czułam złość, ale jednocześnie pewien żal, że nie zabito mnie tuż po narodzeniu. Życie przyniosło mi tylko to, że stałam się ofiarą własnego ojca.

Nie każdy ojciec w naszej społeczności był taki jak mój tata. Wielu z nich okazywało miłość zarówno córkom, jak i synom. Bawili się z nimi, grając w piłkę czy nawet trzymając dziewczynkom skakanekę. Widziałam, że ojciec Aminy i Ruhamy, Abdul, bywa dla nich uroczy. Bawił się z nimi w parku i pomagał w odrabianiu pracy domowej.

Kiedy bawiłyśmy się razem w chowanego, zdarzało się, że bawił się z nami, szukając mnie, kiedy nadeszła kolej, żebym to ja się ukryła. Przytulał swoje córki i łaskotał je, wprawiając je w chichot. W stosunku do mnie zaś zawsze był bardzo miły. Ilekroć przechodziłam do nich do domu, witał mnie:

- Cześć, Hannan! - mówił. - Jak się czujesz? Co słychać u twoich rodziców?

Dla odmiany tata nigdy nie rozmawiał z dziećmi. Z moimi braćmi zaczął to robić dopiero wtedy, gdy dorośli. Jednak tematem zawsze były sprawy dotyczące meczetu, Pakistanu lub sytuacja na Bliskim Wschodzie. Nie było w tym ciepła ani uczucia. Ojciec nie przytulał nikogo z rodziny, nawet własnej żony.

Jedyna forma kontaktu fizycznego z nim przybierała postać koszmaru.

Dom mojego ojca

Znowu jestem w piwnicy. Leżę naga na podłodze. Znajduje się tam ta sama lampa, *rzucająca*, słaby, dziwny blask. Poza tym jest zimno i ciemno jak w grobie. Widzę go dzięki światłu lampy. Jestem przerażona. Skręca mnie ze strachu. Całe moje ciało spina się.

Jednocześnie to jakby nie moje ciało, a czyjeś inne. Nie robi tego mnie. To ktoś inny leży w brudzie i ciemności.

Czekam, aż zdecyduje, co ze mną zrobić. Mam osiem lat, jednak wciąż żyję w nadziei, że wypuści mnie i przestanie, że ktoś mnie ocali. Jednak tak się nie dzieje.

Słyszę szuranie sandałami o ceglana podłogę. Zbliża się. Nie chcę oddychać. Nie chcę dać mu znać, że żyję. Staram się wstrzymać oddech: jeden, dwa, trzy, cztery... Liczę w głowie, starając się dojść do stu. Może pomyśli, że nie żyję.

Boję się, tak bardzo się boję. Czuję szorstkie dłonie na swoich udach. Chwilę później jego palce są już we mnie. To boli. Zawsze tak bardzo boli. Wpycha swoje ciało w moje ręce.

Oddycha teraz ciężko i śmieje się do siebie. Czuję jego zapach. Pot zmieszany z mdłym i słodkim olejem kokosowym, którego używa do włosów.

Mdli mnie. Czuję się brudna i zawstydzona.

Potem ojciec mnie gwałci. Robi to kilkakrotnie. Nie chcę żyć. Pragnę umrzeć. Wolałabym zimne objęcia śmierci niż te ojca - drapieżne, lubieżne i sadystyczne.

Nie mogę pokazać mu swoich łez. Nie chcę, by widział mój ból. Nie pokażę mu, jak bardzo mi z tym źle ani jak niszczy to moje wnętrze. Chciałby to zobaczyć - mój ból i wstyd.

Wtedy znaczyłoby to, że jego „kary” działają.

Ilekróć wynurzałam się z horroru piwnicy, czułam się brudna i zbrukana. Zwieszałam głowę ze wstydu i starałam się nie patrzeć matce w oczy. Ona zaś starała się zajmować pracą, brzęcząc patelniami. Udawała w ten sposób, że mnie tam nie ma - zmęczonej, rozczochranej dziewczynki w zakrwawionym ubraniu, stojącej na szczycie schodów.

Małej dziewczynki cuchnącej seksem i przemocą, którą ojciec przez ostatnie dwa dni karał, gwałcąc i bijąc.

- Mogę wziąć prysznic? - mamroczę w końcu.

Czułam, że powinnam przeprosić mamę za to, że mu na to pozwalałam. Za to, że nie jestem dość dobra. Za to, że zawiñiałam i tata znowu musiał mnie ukarać. Czułam, że mama musi mnie za to winić i być na mnie zła. Jednak nigdy nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów na przeprosiny. Tak jak mama udawałam więc, że nic się nie stało. Starałam się zachowywać normalnie.

- Mogę wziąć prysznic? - pytałam.

- Jeśli musisz - odpowiadała mama, nie *patrz* na mnie.

Odwracałam się od jej przygarbionych pleców i szłam w kierunku schodów i łazienki. Wyobrażałam sobie, że jej ramiona drżą od wstrzymywanego szlochu, że tak naprawdę zależało jej na mnie i była przerażona. Zastanawiałam się, czy nie powinnam zobaczyć, jak się czuje, spytać, czy nic jej nie jest, czy smutno jej z powodu mojego występnego zachowania z tatą w piwnicy.

A może tylko mi się wydawało? Może gdybym poszła „pocieszyć” mamę, ta odwróciłaby się ode mnie?

Natomiast tata o nic nie dbał. Kiedy kończył mnie gwałcić w piwnicy, przebierał się w nowy, biały *salwar kamiz* - uprany i wyprasowany przeze mnie i mamę - i udawał się do meczetu. Być może uważał, że jego Bóg oczyści go z grzechów.

Jednak te jego grzechy, których byłam ofiarą, nie mogą zostać zapomniane.

Kiedy mój tata mnie gwałcił, bracia często byli w domu, ale przeważnie oglądali wtedy coś w telewizji lub słuchali muzyki. Gdy tylko stali się dość dorośli, zaczęli szukać prac weekendowych, by jak najmniej czasu spędzać w domu. Zarabiali, sprzedając gazety lub pracując w sklepie. A kiedy nie pracowali, przebywali ze swoimi znajomymi. Mnie nie było wolno - musiałam zostać w domu z mamą, pomagając w pracach domowych i sprząając po mężczyznach. Przynajmniej kiedy nie wykorzystywał mnie ojciec.

Czasem narzekałam na moich leniwych, rozpieszczonych braci.

- Nie jestem twoją niewolnicą - mówiłam. - Zrób to sam!
Masz przecież ręce i nogi!

Billy próbował mnie przekonać. Odpowiadał:

-Jestem bardzo zmęczony, Hannan, proszę...

Jednak Zakir i Raz wściekali się, kiedy nie robiłam tego, co chcieli, i grozili, że powiedzą tacie. Wtedy od razu ulegałam. Ojciec wpadłby w szal, gdybym sprzeciwiała się jego synom, co mogło skończyć się „karą”. Billy sprzątał czasem talerze, a nawet zmywał. Starał się rozmawiać ze mną i z mamą w delikatny sposób,

- Mamo, nie możesz znowu odkurzać - mówił. - Daj, ja to zrobię...

Mama starała się sprzeciwiać. Nie chciała, by Billy jej pomagał. Znała zasady. Jednak czasem nalegał, a ona była zbyt zmęczona, by się sprzeciwić. Jeśli tata się dowiedział, krzyczał na niego za to, że „zajmował się pracą dla kobiet”. Nie znosił, kiedy któryś z synów łamał jego zasady.

Tata zachęcał chłopców do tego, co uważał za pracę godną mężczyzny - wzywania do modlitwy przez megafon w meczecie.

Allahjest wielki (powtarzane cztery razy)

Wyznaję, że nie ma innego Boga prócz Allaha (powtórzone dwa razy)

Oświadczam, że Mahomet jest wysłannikiem Allaha (powtórzone dwa razy)

Przychodźcie na modlitwę (powtórzone dwa razy)

Przychodźcie ku zbawieniu (powtórzone dwa razy)

Allahjest wielki (powtórzone dwa razy)

Nie ma innego Boga prócz Allaha

Billy nie znosił wezwań do modłów i nie dawał się zastraszać ojcu. Ilekroć byli u nas goście, mężczyźni siadali w swoim

pokoju, a kobiety ich obsługiwały. Billy starał się zostawać z paniami. Przebywał w kuchni, rozmawiając ze mną i mamą, i usiłował nam pomóc. Tata uznawał to za obelgę, gdyż psuło to jego wizerunek przed znajomymi.

Ponieważ musiałyśmy usługiwać moim trzem braciom i ojcu, obowiązkom domowym nie było końca. Najmniej lubiłam prać ubrania. Robiłyśmy to ręcznie, w zlewie, gdyż nie mieliśmy pralki. Mama namydlała ubrania zielonym mydłem, a potem spłukiwała je. Do białego prania zaś używała wybielacza.

Ja wносиłam i wносиłam kosze z ubraniami i pomagałam składać prześcieradła. Musiałam ukrywać damską bieliznę - staniki i majtki, tak, by nie widzieli ich mężczyźni. Braciom nie robiło to różnicy, ale tata wpadał w szał, jeśli dostrzegł któryś z tych elementów damskiej garderoby. Oczywiście nam wolno było widzieć brudne ubrania jego i braci. Jednak nasza bielizna musiała suszyć się w naszej sypialni.

Z czasem wpadłam w rutynę moich obowiązków. W dzień powszedni wstawałam pierwsza, koło siódmej. Schodziłam na dół i przygotowywałam tradycyjną pakistańską herbatę. Następnie robiłam tosty i smarowałam je masłem. Znosiłam herbatę i pieczywo do jadalni, otwierałam ciastka i rozkładałam je na talerzu.

Zjadałam śniadanie sama, zanim reszta domowników się obudziła. Następnie stawałam przy zlewie, zmywając naczynia z dnia poprzedniego. Potem przygotowywałam się do szkoły. Kiedy Sabina urosła, pomagałam jej wstać i ubrać się. W końcu ruszałyśmy z mamą w drogę.

Brałyśmy ze sobą drugie śniadanie, które spakowała nam dzień wcześniej mama - kanapkę z dżemem i jabłko lub banana. Wiedziałam, że inne dzieci mają bardziej wymyślne posiłki, ale mi to nie przeszkadzało. Lubiłam kanapki z dżemem. Najbardziej smakował mi truskawkowy dżem Morrisona na białym chlebie. I dobrze, bo to właśnie dostawałam codziennie!

Nikt nie musiał powtarzać mi, co muszę zrobić. Groźba przemocy sprawiła, że łatwo było mnie kontrolować, co ułatwiło mamie życie. Kiedy wiedziałam, że oczekuje się ode mnie, że coś zrobię, robiłam to. Chciałam za wszelką cenę uniknąć piwnicy. Nawet moja młodsza siostra, Sabina, zaczęła mi rozkazywać. Widziała, że inni to robią, i poszła w ich ślady. Kiedy prosiłam ją o pomoc w wynoszeniu rzeczy do kuchni, przeważnie odmawiała.

Po szkole mama prowadziła nas do domu na czytanie Koranu. Następnie mogłam oglądać telewizję przy herbacie i ciastkach. Potem musiałam zająć się pracą domową i pomóc przygotowywać kolację. Jedliśmy ją koło ósmej - musiałam po niej posprzątać i iść do łóżka. Kładłam się wcześniej, bo wiedziałam, że muszę wstać z samego rana.

W sobotę robiłyśmy pranie, czego nie znosiłam. Wieczorem byłam wycieńczona i chowałam się w sypialni, żeby poczytać przy słabej żarówce. Kiedy tylko miałam szansę, wsadzałam nos w książkę. Czytanie było ucieczką od rzeczywistości, podobnie jak mój wyimaginowany świat. Wracałam do lektur, które prze-rabialiśmy z nauczycielami, bo przypominało mi to szczęśliwe dni. To, że dorosły poświęcał czas, by mi czytać, cieszyło mnie. Chciałam powrócić do tych chwil.

Jedną z moich ulubionych książek był *Fiat Stanley* - opowieść o chłopcu, który został przypadkowo rozpląszczony i zyskał magiczne zdolności. Najbardziej lubiłam jednak wierszyki z serii *Please Mrs Butler*. Uwielbiałam je między innymi dlatego, że były realistyczne, a ich język przypominał ten, którym posługiwaliśmy się w szkole. Opowiadały o życiu na ulicach mojego miasteczka, nawet jeśli nie konkretnie o mojej ulicy.

Raz na dwa miesiące mama zabierała nas do biblioteki w centrum miasta. Pozwalała nam wybrać po pięć książek, które mogliśmy wypożyczyć. Zaczęłam czytać dzieła Judy Blume, które opowiadają o dorastających dziewczynkach. Rozśmieszały mnie. Uwielbiałam postać Fudge, prawdziwej chłopczycy. Nie lubiła tego, co jej koleżanki - plotek i tak zwanych babskich rzeczy. Była też nieco samotna jak ja.

Fudge mieszkała w USA. Książki skupiały się na jej relacjach z ekscentrycznymi rodzicami. Komentarze bohaterki dotyczące rodziny były bardzo zabawne. Dziewczyna podkochiwała się też po kryjomu w kolegach ze szkoły. Jej życie wydawało mi się egzotyczne i pełne przygód.

Mimo że uwielbiałam czytać, nie miałam własnych książek, a w naszym domu było ich niewiele. Jedyne, jakie widziałam, dotyczyły historii Pakistanu bądź traktowały o islamie. Poza Koranem ojciec czytywał pakistańską gazetę, „Daily Jang”, którą kupował w kiosku co piątek. Zapoznawał się z wiadomościami z kraju oraz informacjami o krykiecie.

Chociaż tata nie mieszkał już w Pakistanie, mentalnie wciąż tkwił w swojej wiosce. Na co dzień starał się nie burzyć tej iluzji i nie przypominać sobie, że żyje w miasteczku w północnej

Anglii. Nie czytał niczego, co dotyczyło Wielkiej Brytanii, a wręcz starał się izolować od wszelkich wiadomości z nią związanych.

Po sobotnim praniu niedziela była dniem prasowania. Spędzałam ją, przygotowując ubrania dla całej naszej ósemki, a mama gotowała i sprzątała. Najciężej szło mi z koszulami chłopców. Nie potrafiłam dokładnie ich wygładzić, z każdą męczyłam się strasznie długo. Przynajmniej pozostawiona sama sobie mogłam uciec w marzenia.

Słuchałam muzyki z małego radia, które stało w sypialni. Patrzyłam na dwór pogrążona w myślach. Z czasem na łożku powstawała górka wyprasowanych ubrań. Następnie musiałam je ułożyć na właściwych półkach.

Wiedziałam, że muszę szczególnie starać się przy ubraniach taty. Gdybym wyprasowała je „źle” albo „w niewłaściwy sposób” ułożyła je na półce, byłaby to dla niego wymówka, by mnie „ukarać”. Ta wizja cały czas stała mi przed oczami, wisiała nade mną niczym ciemna chmura.

Z czasem coraz częściej budziłam się sama na zimnej podłodze piwnicy. Reszta rodziny zaczęła traktować to jak coś normalnego. W dzień powszedni mama musiała wstać wcześniej zamiast mnie i zrobić śniadanie. W weekend zaś, jeśli nie mogłam przez to wykonywać prac domowych, nadrabiałam je w następnym tygodniu po szkole.

Nie było w rodzinie tajemnicą, że jestem „karana” i więziona. Akceptowano to jak inne „zasady” taty.

Najgorsze były ferie. W szkole przynajmniej przez kilka godzin nie musiałam martwić się tatą. Jednak podczas dni

wolnych od nauki nie miałam od tego ucieczki. Całymi tygodniami musiałam przesiadywać w domu, sprzątać i słuchać rozkazów mężczyzn. Sabina rzadko mi pomagała, więc czułam się jak niewolnica. A jeśli coś wyszło mi „źle”, tata serwował mi „karę”.

Wystarczył najdrobniejszy powód, by zaczął mnie molestować. Przypominał drapieżnika. Pewnego razu myłam się w łazience, kiedy nagle wpadł do niej ojciec. Zamknął drzwi i kazał mi pozostać w miejscu, przy zlewie, odwróconą do niego twarzą. Łazienka była mała, więc stałam tuż obok niego.

Opuścił spodnie i usiadł na sedesie. Zmusił mnie, bym patrzyła, jak się dotyka. Oddychał ciężko. Starłam się odwrócić wzrok, ale złapał mnie za włosy i przybliżył moją twarz do swojej, tak, że czułam jego okropny, stęchły zapach. Potem złapał moją dłoń i zmusił do chwycenia go „tam”.

To było okropne. Kazał mi to robić w klaustrofobicznej, cuchnącej toalecie. Miałam ochotę zwymiotować. Próbowałam uciekać, ale szarpnął mnie mocniej za włosy i przyciągnął do siebie. Im bardziej się szamotałam, tym bardziej mnie krzywdził i czerpał z tego większą satysfakcję. Teraz wiem już, że to właśnie sprawiało mu przyjemność.

W głowie miałam irracjonalne myśli. Chciałam umrzeć, a jednocześnie bałam się, że mnie zabije. Skończył z westchnieniem. Podciągnął spodnie. Odepchnął mnie, podchodząc do zlewu, by się umyć.

- Pamiętaj, jeśli coś komuś powiesz, zabiję cię - wysyczał z oczami pełnymi pogardy. - Jesteś wstrętna i pójdiesz do piekła. Tylko na to zasługują tak złe dziewczyny.

Zamknął za sobą drzwi, a na schodach rozległy się dźwięki jego kroków. Nachyliłam się nad zlewem i zaczęłam wymiotować, aż nie zostało we mnie nic poza żółcią. Jednak mimo to czułam na sobie jego obrzydliwy zapach. Nigdy już nie miałam być czysta.

Tata nigdy nie dał mi zapomnieć, że nie chciał mieć córki. Jednak wiedziałam, że jego przemoc wobec mnie spowodował również fakt, że mu się stawiałam. Chcąc chronić mamę, wystawiłam się na linię ognia. Mój bunt spowodował jego gniew, który przerodził się w przemoc. Moje „nieposłuszeństwo” odbierał jako brak szacunku, więc uznał, że biciem przywoła mnie do porządku. A od tego już tylko krok dzielił go od molestowania.

Po dwóch latach takiego traktowania nawet mama odwróciła się ode mnie. Choroba mojego ojca zaraziła całą rodzinę. Wiedziałam, że inne pierworodne córki z mojej ulicy pomagały w domu, ale nie miały tylu obowiązków co ja. Rodzice dawali im więcej swobody. Wyglądały na szczęśliwe. Nie podejrzewam też, żeby były molestowane. Jednak nawet gdyby tak było, nikt ze społeczności prawdopodobnie by się o tym nie dowiedział.

Jako rodzina byliśmy w stanie się utrzymać dzięki datkom wiernych oraz szczodrości brytyjskich podatników. Otrzymywaliśmy dodatek mieszkaniowy, a tata dostawał zasiłek. Zdobył go, okłamując urzędników. Powiedział im, że jest bezrobotny, co mijało się z prawdą. Jako imam dostawał część pieniędzy zgromadzonych na potrzeby meczetu.

Kłamstwo w celu uzyskania wsparcia nie było uważane w naszej społeczności za niehonorowe, chyba że ktoś został

na nim przyłapany. Pojecie honoru nie wiązało się więc z tym, co ktoś robił, ale z tym, co widzieli inni. Wiele osób z naszej społeczności miało dwa oblicza - prywatne i publiczne, dzięki czemu łatwiej było im „utrzymać swój honor”.

Mój ojciec prawdopodobnie nie widział niczego złego w zamykaniu córki w piwnicy oraz w biciu i gwałceniu jej. Dopóki nikt o tym nie wiedział, wszystko było w porządku, a dobre imię jego oraz jego rodziny pozostawało nienaruszone.

Choć wszyscy wiedzieli, że tata otrzymuje zasiłek, mimo że pracuje jako imam, nikt nie uważał tego za niestosowne. Problemem stałoby się to wtedy, gdyby złapano go na oszustwie. Ale wówczas z pewnością tłumaczyłby wiernym, że sprawiedliwe jest odbieranie zysków krainie rozpusty i bezbożności. A kto ze społeczności miałby mu się sprzeciwić? Nikt. Jako imam był nietykalny, zwłaszcza że komitet meczetu składał się z jego znajomych.

Kiedy dorastałam, też nie uważałam, że tata robi coś złego. Wiedzałam, że pobiera zasiłek i że pracuje jako imam, otrzymując za to pieniądze. Ponieważ nikt tego nie kwestionował, uznałam to za rzecz normalną.

Ilekróć przychodziły do nas listy, musieliśmy otwierać je i objaśniać tacie, co w nich jest. Ledwo czytał po angielsku. Jeśli był to rachunek, mówiliśmy mu, ile ma zapłacić. On podpisywał czek i zanosił go na pocztę. W przypadku formularza zasiłkowego wypełnialiśmy go według jego instrukcji i pokazywaliśmy, gdzie ma podpisać.

Dodatek mieszkaniowy przychodził pocztą. Ponadto raz w tygodniu tata chodził do urzędu, składał podpis

i potwierdzał swą gotowość do podjęcia pracy. Oczywiście nie zależało mu, by ją dostać. Zachowywał się, jakby stał ponad tym - jego powołanie religijne było ważniejsze od obowiązków ojca i obywatela.

Jednak wszystko, co było ojcu niezbędne do tego, by przeżyć, fundowało państwo brytyjskie. To dzięki niemu miał co jeść, pić i nie musiał martwić się o edukację dla swoich dzieci oraz o opiekę zdrowotną dla całej rodziny. To samo państwo, którym gardził i dla którego pogardę starał się zaszczerpić w swoich dzieciach, karmiąc je uprzedzeniami i nienawiścią.

Tylko mój tata uważał, że ma prawo unikać codziennych obowiązków. Inni mężczyźni z naszej ulicy, jeśli mogli, pracowali i płacili podatki. Niektórzy mieli własne firmy. Ojciec jednego z moich znajomych miał farmę *halal* i sprzedawał jajka oraz mleko do sklepów, a ojciec Aminy, Abdul, pracował jako kierowca autobusu. Jeśli na naszej ulicy mieszkali bezrobotni mężczyźni, to mieli ku temu dobre powody, zazwyczaj zdrowotne.

Na szczęście moi bracia nie poszli w ślady ojca. Uczyli się i ciężko pracowali. Zakir okazał się nawet dość przedsiębiorczy. Kiedy miał dwanaście lat, miejscowy hinduski sklepikarz zatrudnił go jako gazeciarza, a potem szybko awansował na sprzedawcę. Mimo że szef był wyznawcą hinduizmu, doceniał Zakira i wspierał go. Mój brat oszczędzał, gdyż chciał iść na uniwersytet.

Taki sposób pozyskiwania środków do życia nie był w rodzinie ojca praktykowany. W jego wiosce wszyscy pracowali. Tylko on żył inaczej, gdyż był imamem. Uważał, że powinien

zajmować się wyłącznie kwestiami duchowymi i nie zaprzętać sobie głowy ziemskimi sprawami. Inni to akceptowali, ponieważ sądzili, że całą swą energię koncentruje na „duchowym dobru” społeczności.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, by zgłosić, że tata bezprawnie pobiera zasiłek. W pewnym sensie był nietykalny. Dotyczyło to wszystkiego, co robił. Uznawał, że status świętego męża usprawiedliwia każdy jego czyn - kłamanie urzędnikom, okradanie państwa, bicie mamy i mnie, a nawet gwałty na własnej córce.

Kiedy miałam dziesięć lat, nauczyłam się czytać cały Koran, który ma sześćset stron. Większości dzieci udaje się to dopiero, kiedy są starsze. Normalnie rodzice świętują takie wydarzenie, organizując imprezę i rozdając sąsiadom słodycze. Ale w moim przypadku nic takiego nie miało miejsca.

Starałam się tego dokonać, żeby zadowolić rodziców. Część mnie wciąż łudziła się, że zdobędę uczucie i szacunek w oczach ojca. Chciałam udowodnić mu, że nie byłam przeklętą, bezwartościową, złą dziewczyną, i powiedzieć: „Patrz tato, jestem grzeczna, potrafię przeczytać cały Koran!” Ale jego to nie obchodziło.

Nie mogłam zrobić nic, by go zadowolić.

Płaczący ptak

Niedługo miałam skończyć jedenaście lat, więc nadeszła pora, żebym przygotowała się na pójście do szkoły średniej. Na świadectwie z podstawówki miałam czwórki i trójki, co nie było złym wynikiem. Billy przeczytał mamie moje oceny z każdego przedmiotu. Ta nawet pogratulowała mi, mówiąc, że to niezłe wyniki jak na dziewczynkę. Tata zignorował sprawę, co mnie nie zdziwiło. Przynajmniej była to neutralna reakcja.

Byłam z siebie zadowolona, ale jednocześnie zdziwiona tym, że poszło mi tak dobrze, mimo tylu obowiązków domowych i aktów przemocy ze strony ojca. Moi bracia dostali lepsze oceny, ale mieli bardziej komfortowe warunki do nauki niż ja.

Rodzice chcieli posłać mnie do muzułmańskiej szkoły dla dziewcząt. Nie dbali o moją edukację, chodziło im o „honor” rodziny. Szkoła ta była „bezpieczna” i odizolowana od zła przepełniającego brytyjskie społeczeństwo, na przykład papierosów,

alkoholu i chłopców. Tata uważał, że zwykłe szkoły stanowiły siedlisko grzechu. Jednak muzułmańska, do której miałam pójść, była płatna, a rodziców nie było na nią stać.

Bardzo mnie to ucieszyło, ponieważ nie chciałam tam trafić. Zaczęłam kojarzyć moją religię, islam, z poddaństwem, bólem i cierpieniem. Szkoła muzułmańska mogła przynieść tylko więcej negatywnych przeżyć.

Moi bracia chodzili do dobrej szkoły, tuż za miastem. Jechali do niej godzinę autobusem i tyle samo zajmował im powrót do domu. Jednak rodzice nie chcieli mnie tam posyłać. W innej szkole trzeba było przystąpić do egzaminu wstępnego. Mama i tata nie brali jej z tego względu pod uwagę, gdyż nie sądzili, że poradzę sobie ze sprawdzianem. Wątpili w moją inteligencję.

Trafiłam więc do miejscowej szkoły publicznej, Bermford Comp, która uznawana była za najgorszą w mieście. Jej uczniowie pochodzili z biednej, robotniczej okolicy, w której panowała wysoka przestępczość.

Niestety, Jane i Susan poszły do Bishop Tate School, szkoły publicznej o lepszej renomie niż moja. Rodzice nawet nie myśleli o wysłaniu mnie tam, ponieważ miała ona profil katolicki. Jane i Susan udały się kilka razy do kościoła, żeby móc do niej uczęszczać. Potem przeprowadziły się bliżej szkoły i straciłam z nimi kontakt.

Moja podstawówka była anglikańską szkołą, ale wtedy nie przeszkadzało to rodzicom. Co roku na Wielkanoc i Boże Narodzenie chodziłam do kościoła w Bermford. Nieopodal znajdował się cmentarz, na który chodziliśmy całą klasą sprzątać groby. Jeden z nagrobków upamiętniał człowieka, który

wymyślił maszynę do przędzenia wełny. Uczono nas o nim na lekcjach historii.

W wiejskiej kulturze Pakistanu ukończenie przez dziewczynkę jedenastego roku życia oznaczało, że niebawem będzie można wydać ją za mąż, dlatego tata chciał zdecydować, gdzie pójdę do szkoły. W jego wiosce jedenastolatki bywały już czasem po ślubie. Bóg wie, jakie plany miał wobec mnie.

Jego podejście do wychowania córek stawało się coraz bardziej autorytarne. Moja młodsza siostra, Aliya, chodziła do tej samej szkoły co ja. Była gadatliwa, więc po powrocie do domu opowiadała o wikarym i jego historiach o Jezusie. Tego było za wiele! Tata nie nakrzyczał na nią jak na mnie, ale wściekał się, że jego mała Aliya jest narażona na kontakt z chrześcijaństwem.

Ostrzegł społeczność o „niebezpieczeństwie” płynącym z tego, że ich dzieci są „indoktrynowane”. W wyniku jego interwencji rodzice poskarżyli się władzom szkoły, które poszły na pewne ustępstwa. Zamiast uczestniczyć w wycieczkach do kościoła, muzułmańskie dzieci mogły zostawać w klasie, gdzie dostawały kredki i blok. Po raz kolejny ślepa nienawiść mojego ojca „zwyciężyła”.

Szybko znalazłam nowe znajome w Bermford Comp - Amandę, Karen, Larę i Iram. Ta ostatnia była Pakistanką, moją jedyną muzułmańską koleżanką ze szkoły. Mieszkała po drugiej stronie miasta. Karen była śliczna, ruda i miała śnieżnobiałą skórę. Jednak na miano prawdziwej piękności zasługiwała moja angielska koleżanka, Lara. Wysoka, z kruczoczarnymi, ściętymi na krótko włosami i wечно roześmianymi oczami była obiektem westchnień wszystkich chłopców.

Od początku stała się moją przyjaciółką i obrończynią. Pod jej wpływem reszta dziewczyn usiłowała sprawić, bym czuła się jedną z nich. Niestety, nigdy nie potrafiłam zapomnieć, że byłam tam obca. Ojciec Karen dawał do zrozumienia, że nie chce, by jego córka się ze mną przyjaźniła. Pewnego dnia czekałyśmy przed szkołą na autobus, kiedy podjechał do nas jakiś samochód. Kierowca opuścił szybę i zaczął krzyczeć na Karen.

- Wsiadaj do samochodu! Co ty sobie wyobrażasz, dlaczego rozmawiasz z *tą paki*?

Karen najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Szybko się pożegnała i wskoczyła do samochodu taty. Ten odjechał z piskiem opon.

Następnego dnia wyglądała na przerażoną. Przyjaźniłyśmy się, więc nie chciałam robić problemów. Żadna z nas nigdy o tym nie wspominała. Nie wpłynęło to na naszą znajomość. Jednak od tego dnia nie czekała już ze mną na autobus.

Dzięki temu przekonałam się, że rasizm działa w obie strony. Wiedziałam, że mój tata nienawidził białych, a ojciec Karen najwyraźniej nie znosił mnie. Ale dlaczego to dorosłych cechowała ślepa nienawiść, a dzieci starały się utrzymywać kontakty bez względu na rasę? Konflikt ten wypłynął na światło dzienne w okropny sposób.

Moja koleżanka, Amanda, wydawała mi się dziewczyną, która ma wszystko - urodę, osobowość i kochającą rodzinę. Jej dom znajdował się nieopodal szkoły i czasem chodziłyśmy tam na lunch. Jej ojciec był biznesmenem, natomiast mama zajmowała się domem. Była bardzo miła, a Amanda mogła jej

mówić o wszystkim. Ponadto opowiadała mi, że ojciec wspierał ją i opiekował się nią.

Oddałabym wszystko, by moje życie wyglądało tak jak Amandy. Nie zazdrościłam jej wyglądu - nie pragnęłam popularności wśród chłopców. Chciałam doświadczyć miłości i stabilności panującej w normalnej rodzinie. W mgnieniu oka porzuciłabym własnych rodziców, gdybym mogła zamieszkać z Amandą.

Któregoś dnia, pod koniec pierwszego semestru umówiłam się z nią na rynku. Była sobota, pora obiadowa. Mój ojciec powinien być wówczas w meczecie. Zdobyłam się na odwagę i zaprosiłam Amandę do domu. Byłam u niej tyle razy, że gdybym tego nie zrobiła, mogłaby uznać to za nieuprzejme. Nigdy wcześniej nie zaprosiłam do siebie koleżanki. Wiedziałam, że to spore ryzyko, i denerwowałam się. Nie martwiłam się mamą - jej to nie przeszkadzało. Obawiałam się ojca.

Drzwi frontowe były zawsze otwarte, więc weszłyśmy. Zabrałam ją do pokoju. Usiadłyśmy na kanapie i zaczęłyśmy rozmawiać. Mama przyniosła nam napoje i ciastka, a ja zaczęłam się rozluźniać. Pomyślałam, że może wszystko będzie dobrze. Wtedy, bez ostrzeżenia, wszedł mój ojciec. Z jakiegoś powodu tego właśnie dnia zdecydował się wrócić wcześniej.

Kiedy zobaczył Amandę, zamarłam. Chwilę później kazał mi wyjść z pokoju. Wiedziałam, co się święci. Zamknął drzwi i zaczął krzyczeć po pendzabsku.

- Jak śmiesz sprowadzać *goń* do mojego domu? Ile razy mam ci powtarzać? To są brudni niewierni, sypiąją z kim popadnie! Nie...

Krzyczał dalej. Słyszałam to już setki razy.

- Nie chcę, żeby przychodziła do tego domu! - wrzasnął.
- I nie pozwalam ci przyjaźnić się zgon'!

Kiedy tata zaczynał krzyżeć, wszelkie próby odpowiedzi stawały się bezsensowne. Zwiesiłam głowę, mając jednak nadzieję, że Amanda nie rozumie, co mówi ojciec. Nagle skończył i udał się do swojego pokoju. Przynajmniej nie zaciągnął mnie do piwnicy, bo Amanda wciąż była w domu.

Wróciłam do jadalni, płonąć ze wstydu. Czułam się źle, że naraziłam koleżankę na coś takiego. Zaprosiłam ją tu, wiedząc, jak zareaguje mój tata, jeśli się dowie.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Tata mówi, że muszę iść się pomodlić. Możesz już iść?

- Jasne - odparła Amanda i mocno mnie przytuliła.

Mimo że próbowałam to ukryć, widziała, że jestem wstrząśnięta tym, co się stało.

- Nie martw się. Miłej modlitwy, zobaczymy się w szkole.

Ojciec wiedział, że nie przyprowadzę już nikogo do domu. Gdyby znowu tak wybuchł, umarłabym ze wstydu.

W poniedziałek usiadłam w ławce obok Amandy. Przeprosiłam, że musiała tak nagle wyjść. Starałam się wyjaśnić, że tata nie lubi Anglików, bo ich nie rozumie. Była to najlepsza wymówka, jaką mogłam wymyślić.

Amanda uśmiechnęła się ze zrozumieniem i powiedziała:

- Myślałam, że to ja mu się nie podobam. Był wściekły... Mam nadzieję, że nie sprawił ci żadnych kłopotów. A tak dobrze się bawiłyśmy. Szkoda, że wszystko zepsuł.

- To nie twoja wina - odparłam. - Naprawdę. To problem mojego taty, a tak właściwie to on sam jest problemem!

Mimo wszystko czułam się z tym źle. Przychodziłam do niej, jej rodzice zawsze okazywali mi sympatię, a mój ojciec tak się zachował. Dlaczego zawsze musiałam być dziwaczką z nie-miłą rodziną?

Chciałam opowiadać znajomym jak najwięcej z tego, co dzieje się u mnie w domu, żeby wiedzieli, czemu jestem taka, jaka jestem. Pragnęłam, by zdawali sobie sprawę, że moje środowisko drastycznie różni się od tego, które oni znali, dlatego czasem wydają się taka dziwna. Chciałam, żeby wiedzieli, że nienawiść i wrogość nie są częścią mnie.

Nie mogłam jednak powiedzieć Amandzie, że mój tata nienawidzi białych i jest rasistą. Było to okropne słowo. Gdybym musiała je wypowiedzieć, sprawiłoby mi to ból - podobnie jak Amandzie. Nie chciałam, by poczuła się brudna czy bezwartościowa, bo taka nie była. Odmiennność kulturowa stała się jedyną wymówką, dzięki której mogłam tuszować wady ojca oraz chronić uczucia przyjaciółki.

Ale oczywiście był to tylko wierzchołek góry lodowej. Nie wiedziała, jak mroczne jest życie pod jednym dachem z moim ojcem.

W szkole dziewczęta musiały nosić błękitną spódnicę i białą koszulę oraz granatowy blezer. Moja spódnica sięgała za kolana, ale to nie wystarczyło ojcu. Pod spodem nosiłam granatowe spodnie, podobne do tych od *salawar kamiz*. Nienawidziłam tego — znowu było coś, co sprawiało, że odstawałam od reszty.

- Po co nosisz te dziwne spodnie? - spytała jedna z koleżanek.
- Nie wolno mi pokazywać nóg - odparłam i wzruszyłam z rezygnacją ramionami.

Brzmiało to jak straszna głupota.

- Co? Dlaczego? Masz coś nie tak z nogami?

- Nie - mruknęłam. - To z powodu religii.

Wtedy patrzono na mnie dziwnie i rozmowa się kończyła. Religia nie była głównym tematem rozmów w szkole.

Wchodziłam w okres dojrzewania, co napędzało tylko paranoję ojca. Kiedy muzułmanka z naszej społeczności dostawała okresu, nie wolno jej było chodzić do meczetu, dotykać Koranu, a nawet modlić się w domu. W świętej księdze wyraźnie napisano, że miesiączka stanowi „niedyspozycję”, a kobieta w trakcie okresu jest „nieczysta”.

Gdy weszłam w okres dojrzewania, w domu nie wolno było poruszać pewnych tematów. Mama nie wspominała mi nigdy, że w pewnym momencie dostanę miesiączki. Było to tabu. Nawet to, czego dowiedziałam się na lekcjach wychowania seksualnego, nie pomogło mi poradzić sobie z tym problemem ani nie wyjaśniło, gdzie kupić tampony lub podpaski. Kiedy zaczęłam miesiączkować, przeraziłam się. Na szczęście byłam wtedy w szkole i od razu udałam się do pielęgniarki, która wszystko mi wyjaśniła i dała podpaski.

Dostałam okresu jako pierwsza spośród koleżanek. Chciały wiedzieć, jakie to uczucie. Zapewniło mi to krótkotrwałą popularność. Nagle stałam się wyjątkowa. Jednak w domu było inaczej. Ponieważ miesiączkujące kobiety uznawano za „nieczyste”, kojarzyłam to zjawisko z grzechem i brudem. Nie mówiłam

o tym mamie przez wiele miesięcy, jednak skończyły mi się podpaski, więc musiałam się przyznać.

Zabroniła mi używać tamponów, bo wkładanie czegoś wewnątrz ciała uznawane było przez islam za „złe”. Powiedziała, że nie mogę się modlić w czasie okresu, co stało się dla mnie wymówką, aby trzymać się z dala od meczetu. Szczęście w nieszczęściu.

Tata przez cały rok nie zdał sobie sprawy z tego faktu. Przyzwyczał się, że krwawiłam podczas gwałtów, więc nic nie zauważył. Jednak gdy zrozumiał, co się dzieje, nie wykorzystywał mnie w trakcie okresu, bo byłam dla niego zbyt „nieczysta”. Moje koleżanki ciągle narzekały na miesiączki i ból, który powodowały. Jednakja traktowałam to jak błogosławieństwo.

Kiedy byłam w pierwszej klasie, tata wykorzystywał mnie równie często, co wcześniej - przynajmniej raz w miesiącu zaciągał do piwnicy i gwałcił. W końcu koleżanki zaczęły zauważać moje siniaki. Oczywiście było, że coś nie gra, zwłaszcza kiedy przebierałyśmy się przed WF-em. Miałam siniaki w okolicach piersi, za które mnie chwytał, i na udach. Na szczęście nikt o to nie pytał, a sama nie kwapiłam się do wyjaśnień.

Przemoc nie ustawała, a ja zaczęłam myśleć, w jaki sposób mogę się od tego uwolnić. Jedynym rozwiązaniem, które widziałam, było udanie się do collegeu, na uniwersytet albo samobójstwo. Zastanawiałam się nad ucieczką z domu, ale wszyscy moi znajomi z miasteczka byli muzułmanami, więc oddaliby mnie z powrotem ojcu. Nie mogłam też opowiedzieć im, co się ze mną dzieje, bo nikt by mi nie uwierzył.

Cały czas towarzyszył mi wstyd. Czułam, że jestem odrażająca i brudna, jakby część mnie była zła i zasługiwała na to, co robi ojciec. Tata zafundował mi pranie mózgu, przez co wierzyłam w to, co mówi. Myślałam, że na to zasługuję, bo on tak twierdził. Zasługiwałam, bo nie byłam godna jego Boga. Zamknął mnie w błędnym kręgu przemocy fizycznej i psychicznej. Gdyby robił to samo moim siostram, wiedziałabym, że to złe, ale nie myślałam tak, gdy chodziło o mnie.

Żyłam myślą o ucieczce. Dodawała mi ona sił do nauki. Dobre oceny mogły zapewnić mi miejsce w collegeu lub na uniwersytecie. Znałam dziewczyny z naszej społeczności, które opuściły dom, by kontynuować edukację. Wiedziałam, że to jedyny sposób, by uwolnić się od ojca.

Jednak nie miałam pojęcia, czy rodzice pozwoliliby mi na to. Zresztą, na razie były to odległe plany - jako jedenastolatkę od collegeu dzieliło mnie jeszcze sześć lat.

Tego lata cieszyłam się, ponieważ tata zdecydował się odwiedzić rodzinną wioskę w Pakistanie. Oznaczało to dla mnie kilka tygodni błogosławionego spokoju. Jednak dla mojego szesnastoletniego brata, Raza, miało to zgoła inne znaczenie. Tata postanowił zabrać go na „wakacje” do Pakistanu. Myślałam, że kiedy wróci, pójdzie do collegeu.

Jednak ojciec wrócił sam. Spytałam Billygo, gdzie jest Raz. Okazało się, że uczęszczał do medresy i miał zostać hafizem - czyli kimś, kto zna Koran na pamięć. Po trzech latach powinien umieć zacytować dowolny werset po arabsku.

Nie wiedziałam, jak może wyglądać pakistańska medresa. Wydawało mi się jednak, że tata zmusił Raza, by tam został. Nie wspominał o tym przed wyjazdem, nie mieliśmy też okazji, by należycie się pożegnać. Jak wiele rzeczy w domu, wszystko podlegało woli ojca.

Ludzie uważali, że Raz jest rodzinnym głupkiem. W przypadku dziewczyn nie komentowano ich inteligencji - tylko „honor” i wygląd. Jednak ja zawsze uważałam go za delikatnego, wrażliwego człowieka. Było mi smutno, że wyjechał, i martwiłam się o niego. Zastanawiałam się, jak radzi sobie w odległym kraju, do którego wysłał go ojciec.

Sama nie znosiłam nauki Koranu, więc nie wyobrażałam sobie, że musiałabym uczyć się go na pamięć. Wspominając lania otrzymane w meczecie, nie sądziłam, by medresa była miłym miejscem sprzyjającym nauce - wręcz przeciwnie - kojarzyła mi się z brutalnością i przemocą. Miałam nadzieję, że wrażliwy Raz sobie tam poradzi.

W naszej społeczności było kilku hafizów. To oni recytowali Koran na specjalne okazje, na przykład w trakcie Ramadanu. Nie musieli mieć nawet książki przed oczami. Było to oznaką wysokiego statusu społecznego, którego ojciec jako imam z pewnością pożądał, i zamierzał go uzyskać, wykorzystując do tego biednego Raza.

Miałam nie zobaczyć go przez trzy lata.

W pierwszej klasie szkoły średniej dołączyłam do drużyny netballu, hokeja i zespołu lekkoatletycznego. Okoliczne szkoły organizowały ligi każdego z tych sportów. Bermford Comp nie

błyszcząca w rankingach naukowych, ale jej uczniowie świetnie radzili sobie w sporcie. Najbardziej lubiłam grać w hokeja - nasza szkoła przez dwa lata znajdowała się na szczycie tabeli.

Najczęściej grałam jako lewy obrońca albo bramkarz. Byłam niewielka, ale nieustraszona. Uwielbiałam mocno uderzać w krążek i zmiatać z drogi przeciwniczki. Hokej stanowił ujście dla nagromadzonej we mnie agresji i kumulowanego bólu. Ponieważ wielokrotnie stawiałam czoła przemocy ojca, w trakcie meczu nic mnie nie przerażało.

Uwielbiałam należeć do drużyny, zwłaszcza że Lara grała ze mną. Wszystkie musiałyśmy współpracować, by wygrać. Ponieważ dobrze nam szło, wiązało się z tym mnóstwo radości i okazji do świętowania. Świetnie się czułam, należąc do drużyny, i wówczas, kiedy dobrze grałam. W trakcie meczów byłam sobą.

Jednak pewnego dnia po rozgrywce stało się nieuniknione - Lara zauważyła, że moja klatka piersiowa pokryta jest siniakami. Wyciągnęła odruchowo rękę, a potem cofnęła ją do ust z przerażeniem. Spojrzała mi w oczy ze zmartwieniem i wskazała na czarno-błękitne siniaki.

- Co ci się stało? - spytała. - To przecież nie od hokeja...

Potrząsnęłam głową. Byłyśmy trochę poobijane, ale głównie w okolicy goleni.

- Więc jak... czy ktoś... kto ci to zrobił?

- Przewróciłam się - skłamałam i sięgnęłam po mydło, kryjąc wzrok przed Larą. - To nic takiego.

- I uderzyłaś się tylko w piersi? - dopytywała Lara.

Była mną wyraźnie zaniepokojona. Ja natomiast wzruszyłam ramionami i rzuciłam:

- Nie wiem. Spadłam tylko ze schodów.

Przez chwile Lara gapiła się na mnie, po czym postanowiła odpuścić. Czułam się brudna. Szorowałam skórę mydłem i wydawało mi się, że otacza mnie zapach ojca. Nieważne, jak mocno to robiłam, nadal nie czułam się czysta. Okłamałam moją przyjaciółkę. Nie mogłam jej powiedzieć, że siniaki powstały, kiedy ojciec macał moje piersi.

Opowiadając to kłamstwo i widząc niedowierzanie w oczach Lary, czułam się, jakbym ją oszukała i zdradziła. Wtedy zrozumiałam, że moje ciało i życie nie należały do mnie. Należały do ojca. Mógł ze mną zrobić, co mu się żywnie podoba. Ja tego nie kontrolowałam. Byłam tylko czymś, czego używał.

Większość moich znajomych ze szkoły była biała - zaledwie mała grupka pochodziła z Azji. Zazdrościłam im wielu aspektów życia. Tego, jak hołubili ich rodzice. Przygód, które przeżywali jako rodzina. Wolności, którą się cieszyli.

Dla odmiany moje życie było piekłem pełnym brudu, wstydu i mroku. Dzieciństwo zrujnował mi ojciec. Jakaś część mnie wierzyła, że zasługuję na karę, chociaż nie wiedziałam, co zrobiłam nie tak, i zgadzała się z nim, kiedy mówił, że trafię prosto do piekła.

Nękana odrazą do samej siebie stawałam się coraz bardziej zgorzkniała i introwertyczna. Nie chciałam jednak, by tak wyglądało moje życie. Nie dziwne więc, że prawdziwe kłopoty miały dopiero się zacząć.

Dojrzewanie do buntu

Nadal często przed snem czytałam Koran. Nie rozumiałam arabskich słów, ale wielokrotnie powtarzano mi, że samo wypowiedanie ich jest cnotliwe. W pewnym stopniu wciąż chciałam być „dobra” i wkraść się w łaski ojca. Ten jednak w dalszym ciągu wykorzystywał religię do uzasadnienia swojego postępowania. Wciąż byłam „zła” i zasługiwałam na „karę”, która miała mnie „uzdrowić”.

Czytając Koran, modliłam się, by moje życie się poprawiło, ale nic to nie dało. Zaczęłam więc prosić o to, by tata umarł. Wiedziałam, że to „grzeszne”, ale nie mogłam nic na to poradzić. Gdyby tak się stało, nie mógłby mi nic zrobić. Rodzina, za jego przykładem, traktowała mnie po części jak niewolnicę. Cały ból w moim życiu wywodził się od niego. Gdyby nie żył, na pewno byłoby lepiej.

Modliłam się więc do Allaha o to, by odebrał mu życie. Nie sądziłam, że naprawę tak się stanie, ale pomagało mi to poradzić sobie z gniewem. Tak jak przypuszczałam, moje modlitwy

nie zostały wysłuchane. W końcu zaczęłam myśleć, że Bóg, Bóg mojego ojca, nie słucha. Uznałam, że jest okrutny i mściwy, a w jego sercu nie ma miejsca na miłość ani szczęście. Coraz bardziej zaczęłam widzieć w nim ojca.

W mojej wizji Bóg z łatwością potępiał ludzi i szydził z ich niepowodzeń. Z pewnością nie zrobił nic, by mi ulżyć. Wtrącał ich w otchłań piekła i wieszał za włosy, a przynajmniej tak twierdził mój ojciec. Uważałam, że to miejsce wiecznego ognia, nieustannie wypełniające się grzesznikami - złymi ludźmi takimi jak ja. Obawiałam się Boga, mamy i taty.

Dla odmiany, kiedy odwiedzałam moje koleżanki, zaskakiwało mnie, że ich rozmowa z rodzicami może być tak swobodna. Zwierzały się, jacy chłopcy im się podobają i kto z kim chodzi. Wspólnie poruszali różne tematy, na przykład, jak spędzili miniony weekend, opowiadali o spotkaniach ze znajomymi i wspólnych zakupach. Ja, jeśli miałam szczęście, spędzałam weekend, zmywając naczynia albo piorąc ręcznie i prasując ubrania dla ośmioosobowej rodziny.

A jeśli los mi nie sprzyjał, trafiałam do piwnicy i odbywałam swą karę.

Miałam dwanaście lat, kiedy zaprzyjaźniłam się z dziewczyną z naszej ulicy. Wszyscy mówili na nią „Skip”. Była starszą ode mnie o pięć lat pakistańską muzulmanką. Podziwiałam ją za odwagę, szczerość i pewność siebie. Poza tym zachowywała się jak chłopczyca.

Skip była urodzoną buntowniczką. Spędzałyśmy czas, grając w piłkę na jej podwórku. Jednak jeśli tata to widział, wpadał

w szaf. Twierdził, że gra w piłkę przynosi „wstyd” dobrym muzył-mankom. Jego zdaniem powinniśmy gotować i usługiwać mężczyznom. Kiedy znikał z pola widzenia, Skip przewracała oczami i śmiała się. Stanowił dla niej relikw mrocznej przeszłości.

Była zaledwie siedemnastolatką, ale potrafiła o siebie zadbać. Ja natomiast czułam, jakbym miała rozdwojenie jaźni. W szkole byłam zupełnie inną osobą niż w domu. Nigdy, przenigdy nie rozmawiałam z koleżankami o mojej rodzinnej sytuacji. Jednak kiedy poznałam Skip, zrozumiałam, że nie tylko ja mam takie problemy. Ojciec z pewnością jej nie molestował, ale miałyśmy mnóstwo wspólnych zmartwień.

Najbardziej martwiła się, że tata zmusi ją do ślubu. Był raczej biznesmenem niż człowiekiem religijnym, co nie znaczy, że nie chciał zaaranżować małżeństwa córki. Nie wynikało to z religii, lecz z kultury, tradycji oraz z dbałości o „honor”.

Rozmawiałyśmy ze Skip o ślubach, do których zmuszano inne dziewczyny z ulicy. Jej nie dałoby się do czegośkolwiek zmusić. Chciała się zakochać i wyjść za mąż z miłości. Fantazjowałyśmy na temat idealnego mężczyzny i ślubu. Dzieliłyśmy marzenie o zdobyciu wykształcenia - ona chciała wyrwać się spod kontroli „społeczności”, ja - z mroku domu. Pragnęłyśmy też znaleźć miłość.

Skip była prawdziwym wolnym duchem, jedyną dziewczyną z naszej ulicy podobną do mnie. Po niecałym roku przyjaźni powiedziała, że jedzie z rodzicami na wakacje do Pakistanu. Nie martwiła się. Odwiedzała rodzinną wioskę już kilkakrotnie. Nie zauważyła żadnych sygnałów, które wskazywałyby na to, że może chodzić o małżeństwo. Jej ojciec był zbyt cywilizowany, by zaskoczyć ją takim pomysłem.

Dwa dni po tym jak wyleciała, w moim domu rozległ się dźwięk telefonu. Odebrała mama - okazało się, że to Skip. Dzwoniła do mnie czasem, ale nie z Pakistanu. Przeczuwałam kłopoty.

Wzięłam od mamy słuchawkę.

- Cześć, Skip, jak się...

- Hannan? Dzięki Bogu, że to ty - przerwała mi głosem pełnym napięcia i strachu. - Potrzebuję twojej pomocy. Muszę się spieszyć. Jeśli złapią mnie przy telefonie...

Zaczęła opowiadać, że zabrano ją do dalekich krewnych na północnym wschodzie Pakistanu. Po dotarciu do wioski poznano ją z mężczyzną, kuzynem, którego nigdy wcześniej nie widziała, i powiedziano jej, że ma za niego wyjść.

Zamknięto ją w ciemnym pokoju, nie dając jedzenia ani wody, dopóki nie „zgodzi się” na małżeństwo. Zrobiła to, bojąc się, że umrze z głodu lub pragnienia. Cudem udało jej się zadzwonić. Była zdesperowana, słyszałam to w jej głosie. Chciała uciec. Poprosiła mnie, bym porozmawiała z jej starszą siostrą, Sairą. Najbardziej potrzebowała jednak biletu na samolot, by wyostać się z Pakistanu.

Współczułam Skip, ale po części nie byłam zaskoczona. Ilu dziewczynom, które znałyśmy, przydarzyło się coś takiego? Bardzo wielu. Bałam się, że podobny los może czekać i mnie.

Gdy tylko mogłam, pobiegłam do domu Sairy. Jeśli ojciec dowiedziałyby się, że pomagam Skip uniknąć zaaranżowanego małżeństwa, czekałaby mnie straszliwa kara. Był to bunt przeciwko wszystkiemu, co reprezentował. Nie dbałam o to jednak. Musiałam ratować przyjaciółkę. Zresztą, co gorszego mógł mi zrobić? Co najwyżej mnie zabić.

Saira była ulepiona z tej samej gliny co Skip. Sama ledwo uniknęła aranżowanego małżeństwa. Przeraziła ją wieść o losie siostry. Od razu zgodziła się pomóc. Jeszcze tego samego dnia zdobyła bilet powrotny na nazwisko Skip. Nakłoniła też znajomego, który miał odwiedzić krewnych, by przewiózł go do Pakistanu.

Trzy dni później zadzwoniła do mnie Saira. Skip udało się uciec! Była z powrotem w Anglii. Odsypiała teraz swoje przeżycia u siostry. Kiedy poszłam ją odwiedzić, zdałam sobie sprawę, jakie miała szczęście. Co ciekawe, jej „narzeczony” rozumiał jej sytuację. Oddał jej paszport i odwiózł na lotnisko, by mogła uciec. Gdyby nie on, nie wiadomo, jak by się to skończyło.

Skip była wstrząśnięta i zszokowana, że jej rodzice chcieli zmusić ją do małżeństwa. Poprzysięgła sobie, że już nigdy się do nich nie odezwie. Zaczęła pracować, wynajęła mieszkanie i odcięła się od nich. Jednak w oczach rodziców jej postawa „zhańbiła” rodzinę, więc i oni nie szukali z nią kontaktu.

Przypadek Skip nie był odosobniony. Wyjątkowe było natomiast to, że udało jej się uciec. Często pułapka zaaranżowanego małżeństwa przeradzała się w wyrok dożywocia. Oczywiście wszyscy na ulicy wiedzieli, co zrobiła Skip. Popadła w powszechną niełaskę. Zhańbiła swoją rodzinę.

Najbardziej stanowczo jej zachowanie potępił mój ojciec. Miotała nim furia. Jak dziewczyna z jego ulicy, z jego „stada” mogła się sprzeciwić woli rodziców? W jego oczach „hańba” spadła na całą społeczność, a zwłaszcza na niego, gdyż jako imam był jej przewodnikiem duchowym.

Nie wiem, czy rodzice Skip rozmawiali z nim o zaaranżowaniu tego małżeństwa, ale to bardzo prawdopodobne. Nie

wspominałam o tym, że jej pomogłam, ani o tym, że utrzymuję z nią kontakt. Podziwiałam ją jeszcze bardziej. Była moją bohaterką.

Skip uwielbiała poezję, książki i podróże. Ciężko pracowała przez kilka miesięcy, zbierając oszczędności, a potem ruszała w świat. Co jakiś czas telefonowała z Egiptu, Izraela czy innego egzotycznego miejsca. Zawsze świetnie się bawiła. To, że do mnie dzwoniła, nie było niebezpieczne. Wystarczyło, że zaczęła mówić po angielsku. Mama oddawała mi wtedy słuchawkę.

- Jakaś mówiąca po angielsku dziewczyna - mamrotała po pendżabsku.

Wyczyn Skip wzmacniał moją buntowniczą naturę, chociaż w wieku dwunastu lat nie podejmowałam tak drastycznych kroków. Miałam długie proste włosy. Codziennie zaplatałam je w gruby warkocz. Kilka dziewczyn z ulicy nosiło grzywki, co bardzo mi się podobało. Jednak mama twierdziła, że to zło i Allah je ukarze. Grzywki były *haram*.

Nigdy nie widziałam, żeby w Koranie napisano, że obcinanie włosów jest grzechem. Według mamy i taty wszystko było *haram*. Dziwne, że pozwalali nam oddychać! Zdecydowałam, że chcę mieć grzywkę. Nie obchodziło mnie, czy to zabronione. Mogłam utrzymać to w tajemnicy. Zawsze nosiłam hidżab, nawet w domu, więc wystarczyło się upewnić, że grzywka nie będzie wystawać.

Pewnego wieczoru po szkole weszłam do łazienki i zamknęłam drzwi. Wielu muzułmanów nie lubi spędzać dużo czasu w kąpieli, gdyż uważa to za „nieczyste”, ponieważ leży się w wodzie, którą

się zabrudziło. Ale mycie się na stojąco też jest złe, więc prysznic odpada. Mieliśmy żółte plastikowe wiadro i taki sam dzbanek. Kucaliśmy w wannie i oblewaliśmy się wodą z dzbanka.

Podniosłam wiadro, by zebrać w nie włosy. Przejrzałam się w lustrze wiszącym nad zlewem. Wzięłam różowe nożyczki, które trzymałam w piórniku, i złapałam kosmyk włosów. Ciach! Włosy zostały mi w ręku - patrzyłam na nie przez chwilę. To było takie proste. Tak łatwo było je ściąć. Wrzuciłam je do wiadra. Wylądowały bezgłośnie. Czerpałam niezwykłą radość z buntu!

Kontynuowałam cięcie. Gdy skończyłam, podniosłam wiadro, wyrzuciłam zawartość do toalety i splukałam dowody. Dopiero teraz zaczęłam się denerwować. Czy mama coś zauważy? Poprawiłam hidżab, zasłaniając bardziej czoło, i wyszłam z łazienki.

Udałam się do mamy do kuchni. Ta nawet na mnie nie spojrzała. Bo niby czemu? Moja zakazana grzywka była schowana, wyglądałam dokładnie tak samo jak dotąd. Cóż za ulga.

Kilka tygodni później zdejmowałam hidżab przed położeniem się spać, kiedy weszła mama. Starałam się odwrócić, ale nic to nie dało - zdążyła zauważyć moją grzywkę.

- Ty głupia dziewczyno! - krzyknęła. - Co ty zrobiłaś? Głupia dziewczyna! Bezwartościowa i głupia!

Podeszła do mnie i uderzyła w twarz.

- Nie wiesz, że powieszą cię za to za włosy w piekle? - krzyknęła. - Spłoniesz w czeluściach piekieł!

Nic nie odpowiedziałam. Doznałam takiego szoku, że onie miałam. Mama nigdy wcześniej mnie nie uderzyła. Wiedziałam,

że ścięcie włosów było „złe”, ale nie spodziewałam się aż takiej reakcji. Kiedy mówiła, że powieszą mnie za włosy w piekle, zaczęłam się tego bać. Jednocześnie zastanawiałam się, jak proste ścięcie włosów można uznawać za wielki grzech. Co w tym złego? Jak mogło to obrazić jakiegokolwiek boga?

Za sprawą rodziców uwierzyłam, że pójdę do piekła. Dobry muzułmanin, aby trafić do raju, musi przestrzegać pięciu filarów islamu. Jednym z nich jest modlitwa pięć razy dziennie o określonych porach. Nie przestrzegałam tego, oglądając po kryjomu telewizję. Wyglądało na to, że nie ma dla mnie nadziei i zostanie potępiona.

Na szczęście mama nie gniewała się zbyt długo. Nie powiedziała też tacie o tym, że ścięłam włosy.

Biedny Raz wciąż przebywał w medresie i nie kontaktował się z nami. Jednak Billy i Zakir byli już nastolatkami i sami zaczęli się buntować.

Jedna z pięciu modlitw przypadała na czas emisji naszej ulubionej opery mydlanej *Sąsiedzi*.

Kiedy nadchodziła ta pora, udawaliśmy się na górę, jakbyśmy szli się modlić. Tak naprawdę jednak chowaliśmy się w pokoju Zakira i włączaliśmy telewizję. Jako najstarszy syn miał w pokoju telewizor, jednak musiał kupić go sam za pieniądze zarobione w weekendy. Jeśli któryś z braci narzekał, że siedzę z nimi, groziłam, że powiem mamie, że oglądają serial zamiast się modlić. Razem dochowywaliśmy tajemnicy.

Z początku oglądałam *Sąsiadów* tylko dlatego, że było to ciekawsze niż modlitwa. Z czasem w szkole średniej poznałam

inne religie na tyle, że zaczęłam kwestionować tę wyznawaną przeze mnie. Zastanawiałam się, czy chcę być muzulmanką. Jednak od urodzenia tkwiłam w tym religijnym getcie.

Tata poznawał kulturę Wielkiej Brytanii z telewizji, czyli przeważnie z oper mydlanych. Kiedy pokazywano, jak ludzie piją w pubie i flirtują, stwierdzał:

- Typowi gora! Anglicy ciągle tylko piją alkohol i sypiają ze sobą!

Ponieważ nie miał osobistej styczności z angielską kulturą, wierzył, że programy w telewizji mówią prawdę. Uznawał, że wszyscy *gora* tak się zachowują, bez względu na to, co wyznają i czy w ogóle są religijni. Kiedy pokazywano dzieci odszczekujące się starszym, stwierdzał: „Patrzcie! Pozwalają dzieciom robić, co im się podoba! W tym społeczeństwie nie ma szacunku!”.

Tata bardzo się cieszył, kiedy coś potwierdzało jego uprzedzenia i było dowodem na to, że miał „rację”. Zwracał szczególną uwagę na programy o przestępczości i alkoholizmie wśród młodzieży.

Jednak najbardziej denerwowały go „skapo odziane” kobiety w telewizji. Gdy była scena, w której ludzie się całowali lub leżeli razem w łóżku, wpadał w szał. Krzyczał, byśmy natychmiast zmienili kanał. Jeśli następowała choć chwila zwłoki, wrzeszczał:

- Zmień program! Już!

Nikt nie śnił nawet o tym, by mu się sprzeciwić. Wiedzieliśmy, jak by zareagował.

Było to jednak denerwujące i frustrujące. Myślałam wtedy: „Ale przecież nie wiemy, co się teraz stanie. Dopiero się zesłi. To ważny element fabuły. Od dawna do tego dojrzewała”.

Nawet jeśli pozwalał wrócić na ten kanał, kiedy skończyło się już przytulanie i całowanie, wiele traciliśmy. Przywykłam

do wypełniania tych luk w wyobraźni. Na szczęście dobrze wymyślałam historie.

Im bardziej ojciec okazywał swą dezaprobatę, tym chętniej oglądaliśmy z braćmi opery mydlane. Było to okno na zupełnie inny świat: typową północną społeczność, skupioną wokół pubu w przypadku *Coronation Street*; problemy twardzieli z policją w *EastEnders*; wolną i łatwą miłość studentów w *Hollyoaks*. To był eskapizm. Pół godziny myślenia i odczuwania jak ludzie wolni od duszących zakazów, które na co dzień wypełniały nasze życie.

Jednak pomimo obaw taty wcale nie chcieliśmy być jak postaci z tych oper. Oglądałam je, bo pragnęłam należeć do świata moich znajomych. Stanowiły one pomost między ich a moją rzeczywistością. Nie mogłam z nimi rozmawiać o wczesach, chłopakach, ubraniach, fryzurach czy makijażu. Z pewnością nie miałam też zamiaru omawiać mrocznych sekretów mojego życia. Opery mydlane były wspólnym mianownikiem.

Ilekróć tata kazał nam się odwrócić w trakcie ważnej sceny, wiedziałam, że tracę coś, co moi znajomi obejrzą - i to pewnie najlepsze momenty. Następnego dnia w szkole wszyscy o tym rozmawiali, a ja stałam z boku.

- Oglądaliście wczoraj *EastEnders*? - pytała Lara. - Rety! Kto by pomyślał, że to właśnie oni mają romans!

- Nieźle, nie? - Karen wybuchała śmiechem.

- Kto ma romans? - pytałam, chcąc dowiedzieć się, co przegapiłam.

- Nie oglądałaś? - dziwiła się Karen.

- Oglądałam, ale nie ten fragment.

- Dlaczego zawsze omijają cię najlepsze momenty? - dopytywała zdziwiona Karen.

- Nie wolno mi ich oglądać - odpierałam ze złością. - Tata mi nie pozwala.

- Ale dlaczego? - pytała Lara.

- Chodzi o religię - mamrotałam, przyznając się ze wstydem. - Mówi, że to nieislamskie.

- Ale to tylko całowanie - wtrącała Karen. - Przecież tak naprawdę nic złego nie robią...

Ponieważ wraz z braćmi chodziłam do angielskiej szkoły, z angielskimi uczniami i nauczycielami, rozumieliśmy tutejszą kulturę w o wiele większym stopniu niż nasi rodzice. Jednak nie czuliśmy się jej częścią. Gdy byliśmy w szkole, czuliśmy, że jesteśmy w Anglii, jednak po południu wracaliśmy do pakistańskiej wioski.

W szkole ganiono nas za jedzenie rękoma. W domu zaś nie używaliśmy sztucców. Rozmawialiśmy w urdu lub po pendżabsku, a tata gniewał się, kiedy mówiłam do braci po angielsku, w języku przeklętych *gora*. W domu używałam nawet innego słownictwa niż w szkole.

Szukając innych wspólnych tematów z koleżankami, zaczęłam interesować się muzyką pop. Była to kolejna rzecz, o której mogłam rozmawiać w szkole. Oczywiście powodowało to problemy w domu. Ojciec nienawidził listy przebojów *Top of the Pops*. Nie znosił muzyki, słów, tego, jak się tam ubierano i że tańczono „prowokująco”. Twierdził, że to „brudny taniec”.

Ja jednak zadawałam sobie pytanie: „Dlaczego to takie grzeszne?” Czemu tata może molestować mnie w piwnicy,

podczas gdy niewinny program jest przeklęty? To nie miało sensu. Kompas moralny ojca był wypaczony. Wiedziałam tylko, że kiedy czegoś nie znosił, sprzeciwianie mu się groziło „karą”. Jednak uwielbiałam *Top of the Pops* i oglądałam go, zwłaszcza kiedy ojca nie było.

Próbowałam nauczyć się słów tych piosenek, by śpiewać je ze znajomymi. Były głównie o miłości. Idea romantycznego uczucia jawiła mi się jako coś niesamowitego i tajemniczego. Była tak dzika i wolna w porównaniu z pełnym przemocy współżyciem moich rodziców. Nigdy nie widziałam, by ojciec traktował matkę choć z odrobiną uczucia. W jego oczach była zaledwie wielofunkcyjnym robotem domowym.

Patrząc na nich, nie widziało się oznak miłości - nawet wypowiedzianego od czasu do czasu czułego słowa. Tata rozkazywał mamie i traktował ją jak niewolnicę, a nie kogoś równego sobie, kogo kocha. Instynktownie czułam, że to złe. Wiedziałam, że powinien ją wielbić. Była jego żoną, partnerką życiową, matką jego dzieci. Jednak mogła liczyć z jego strony tylko na obojętność i przemoc.

Mówiłam sobie, że nie chcę skończyć jak mama, ale patrzyłam, jak kuzynki i znajome zmuszono do równie mrocznych i nieczułych związków. Nie były one zakochane, nie wspominając już o szczęściu. W całej naszej społeczności mężczyźni i kobiety nie okazywali sobie miłości. Nie widziałam co prawda tego, co dzieje się w ich domach, ale publicznie nie wolno było nawet się dotykać.

Miłość kreowana w popowych przebojach stanowiła część kultury moich białych znajomych. Pragnęłam jej. Nie pasowała

do społeczności, w której żyłam, a według moich rodziców nie była mi *przeznaczona*.

Kiedy stawałam się nastolatką, czułam się uwięziona między dwoma światami. Nie pasowałam do mojej kultury, gdyż pociągała mnie ta, do której należeli moi angielscy znajomi. Od tej z kolei odstawałam, bo byłam ciemnoskórą pakistańską muzulmanką. Zaczęłam szczerze nie lubić swojego pochodzenia. Ale co mogłam zrobić?

Nie pomagał mi fakt, że ciągle musiałam nosić *salwar kamiz*. Na mojej ulicy wszyscy byli tak ubrani, ale nie cierpiałam go zakładać, kiedy ją opuszczałam. Co miesiąc w szkole wypadał dzień, w którym nie musieliśmy nosić mundurków. Oczywiście dziewczyny zakładały wtedy modne ubrania, biżuterię i malowały się. Ja mogłam jedynie ubrać żółty *salwar kamiz* - o makijażu i ozdobach nie było mowy. Czułam się wtedy jeszcze większą outsiderką.

Tata wymagał, byśmy ubierali się skromnie. Oznaczało to, że nie mogłyśmy pokazywać nawet kostek. Odsłonięcie ciała lub założenie ubrania, które podkreślało kobiece kształty, było ogromnym grzechem. Nigdy tego nie kwestionowałam. Tata uznałby, że wstydę się naszej kultury i buntuję przeciw niemu.

Ojciec twierdził, że jeśli kobieta ubiera się inaczej, jest to obrazą Boga i obyczajów. Wówczas nie wiedziałam, że zakazy te nie wynikają z islamu. Nie znałam dokładnie zasad własnej wiary, a tata był przecież imamem. Z pewnością wiedział, co wolno, a czego nie.

Opór, słodki opór

W niedzielne popołudnia słuchałam listy przebojów *Radio One* i dowiadywałam się, jaka piosenka była w danym tygodniu hitem. Przeważnie prasowałam w sypialni, więc mogłam włączyć radio, jeśli było cicho. Musiałam nasłuchiwać, czy nie idzie tata - gdyby mnie przyłapał, wpadłabym w tarapaty. Wyłączałam odbiornik, jeśli słyszałam jakikolwiek szmer.

Jedną z reguł w domu było to, że nie mogliśmy słuchać muzyki. Według taty muzyka jest *haram*, czyli zakazana. Nie wyjaśniał jednak, czemu miałyby być bezbożna. Mama słuchała kaset z nagraniami z Bollywood, a tata - pakistańskich śpiewaków *qawalli* (to muzyka podobna do tej, do której wirują derwisze, popularna w *ojczyźnie* ojca). Ich piosenki nie były *haram*, a nasze tak.

Zakir i Billy stali się zagorzałymi fanami The Smiths i Morrissey'a. Słuchali ich nocą lub kiedy tata wychodził do meczetu. Uwielbiali też zachodnie filmy jak *Buntownik bez powodu*. Chłonęli kulturę Zachodu. Zakir zawsze pachniał

wodą po goleniu Fahrenheit, która nie była *halal*. Uwielbiał piłkę nożną, był fanem Manchesteru United. Nigdy nie przegapił żadnego meczu w telewizji.

Ja nie przepadałam za muzyką w stylu Morriseya i The Smiths. Był to zbyt „dorosły” i wyrafinowany rock and roli. Ale i tak uważałam, że jest niezły. Zakir i Billy mieli na szafach naklejki z Morrisseyem i Jamesem Deanem w buntowniczych pozach. Pewnego dnia zdecydowali się użyć żelu do włosów jak ich idole. Kiedy pierwszy raz zeszli na dół z lokami, tata popatrzył na nich dziwnie, ale nic nie powiedział. Jednak wciąż nosili taką fryzurę, więc w końcu nie mógł tego ignorować. Nie wiedział, co się dzieje, jednak czuł, że jego dzieci „zatruli” kultura Zachodu. Musiał stawić temu czoła.

- Co to jest? - wybuchnął, wskazując palcem lok Zakira.
- Długie włosy jak u dziewczyny! Głupio wyglądasz. Po co to?
- To nic takiego - odparł Zakir. - Po prostu mi się podoba.
- Wygląda głupio - skomentował tata. - Fryzury *gora*. Co za bzdury.

Według taty loki były niebezpieczną prowokacją. Mężczyźni powinni nosić krótko ostrzyżone włosy, zgodnie z tradycją. Wielkie brody były dopuszczalne, ale długim włosom mówił „nie”. Bracia nie mogli wyznać mu, że wzorowali się na swoich idolach - Jamesie Deanie i Morrisseyu. Oznaczałoby to dla nich kłopoty. Wszyscy w domu stąpaliśmy po cienkim lodzie.

Morrissey był wegetarianinem, miał nawet na koncie piosenkę *Meat is Murder**, którą moi bracia bardzo lubili. Następnym krokiem w naśladowaniu idola było to, że

* *Mięso to morderstwo (przyp. tłum.)*

przestali jeść mięso. Pewnego dnia powiedzieli mamie, że zostali wegetarianami. *Zaczęła*, robić dla nich osobne obiady lub podawać tylko warzywa. Tata zorientował się dopiero po kilku tygodniach. Wówczas, podobnie jak w przypadku loków, musiał zainterweniować.

- Czemu niejecie mięsa? - prychnął. - Nie urosńcie i nie nabierzecie mięśni. Jak chcecie stać się mężczyznami?

- Co cię to obchodzi? - odparł bez namysłu Billy. - Po prostu nie chcemy go jeść.

Tata wpadł w furję. Rozpętała się kłótnia. Nie mógł zmusić synów do jedzenia mięsa, ale nie potrafił zrozumieć, czemu chcą zostać wegetarianami. Stało się to kolejnym źródłem nieporozumień między nim a synami.

Bawił mnie ich wegetarianizm. W szkole miałam koleżankę, która była hinduską, więc nie jadła mięsa z powodu wiary. W hinduizmie krowy są święte, a jej rodzina porzuciła po prostu inne rodzaje mięsa. To miało dla mnie sens, ale uważałam, że bracia chcą być po prostu modni. Słyszałam, jak w kółko słuchają *Meat is Murder*. Widziałam też, jak oglądali nagranie, na którym Morrissey mówił o wyrzekaniu się mięsa oraz o tym, że kurczaki trzyma się w małych klatkach.

Ponieważ potępił chów klatkowy, bracia uznali, że nie będą jeść jajek z niego pochodzących. Mama zrobiłaby dla synów wszystko, więc zaczęła kupować produkty ekologiczne. Reszta z nas naśmiewała się z Billyego i Zakira. Siedzieliśmy przy stole i wyławialiśmy najlepsze kawałki kurczaka z potrawy. Moja młodsza siostra była najgorsza - podtykała im mięso pod nos, mówiąc:

- Prawda, że ślicznie pachnie?

Jagnięcy *saag* mamy (mięso i curry ze szpinakiem) zawsze był ulubioną potrawą Zakira. Najbardziej lubił jeść go w kanapce, dzień po ugotowaniu, kiedy jedzenie zdążyło się przegryźć. Zaczęliśmy więc jadać je przy nim, żeby go zdenerwować.

- Jest tak miękkie! A te przyprawy - idealne!

Oczywiście tata nie widział w tym nic śmiesznego. Jadł w milczeniu. Nie wiedział, że wegetarianizm synów był naśladownictwem buntowniczej, białej gwiazdy rocka. Gdyby to zrozumiał, wściekłby się jeszcze bardziej. Chwilowo znosił „aberracje” synów w cichym gniewie.

Nie mogłam buntować się otwarcie jak bracia. Zawsze wisiało nade mną widmo „kary”. Nigdy nie próbowałam przejść na wegetarianizm, a swoje kasety z muzyką trzymałam w ukryciu. Moje siostry często niszczyły mi rzeczy. Aliya rysowała po moich zeszytach. Najlepsza kryjówka była na szafie, gdzie nie sięgała. Rodzice też tam nie zaglądali.

Sypiałyśmy w sypialni we cztery - mama, Sabina, Aliya i ja. Każda z nas miała jedną półkę na ubrania w szafie. Na ścianach nie było obrazów ani plakatów, tylko kwiecista tapeta, jak w salonie. Pewnej nocy zaczęłam rozmawiać z Sabiną po zaśnięciu mamy. Uwielbiała muzykę z Bollywood, podobnie jak mama, ale trzymała kasety w ukryciu. Wiedząc, że mówi przez sen, zdecydowałam się zrobić jej psikusa.

- Gdzie schowałaś kasety? - spytałam.

- W pudełku pod łóżkiem - odparła zmienionym głosem.

Następnego ranka powiedziałam jej, że wiem, gdzie są jej cenne hollywoodzkie kasety. Stwierdziłam, że mówiła przez sen,

dzięki czemu je znalazłam. Sabina była zdenerwowana. Choć raz miałam przewagę nad idealną córeczką rodziców! Pobiegła na górę sprawdzić, czy są na swoim miejscu, a ja cieszyłam się, że ją wykiwałam. Potem musiała zmienić kryjówkę.

Nie tylko przed rodzicami musiałam ukrywać nawet najmniejsze oznaki buntu. Jeśli Sabina się czegoś dowiedziała, natychmiast na mnie donosiła. Żyłyśmy ze sobą jak pies z kotem. Była idealną córeczką tatusia, a ja przeklętą buntowniczką, na której wyładowywał gniew.

Miałam piórnik, na którym napisałam imiona znajomych ze szkoły. W środku ukryłam naklejki z gwiazdami i aktorami z magazynu „Smash Hits”. Najbardziej lubiłam zespoły Bros, New Kids on the Block i aktorów z serialu *Beverly Hills 90210*. Kochałam się w jednym z nich - Lukeu Perrym.

Rodzice nigdy nie przeglądali moich przyborów, więc naklejki były tam bezpieczne. Właściwie w ogóle nie wykazywali zainteresowania tym, jak idzie mi w szkole. Jednak pewnego razu odkryła je moja siostra i zaczęła siać zniszczenie. Porwała naklejki i bazgrała po moich plakatach. W końcu mama przyłapała ją, jak pisze po ścianie. Aliya była za młoda, by wiedzieć, że przedmioty te są *haram*. Mimo to zdenerwowałam się. Mój plecak stanowił namiastkę prywatności i musiałam go bronić.

Innym razem Zakir i Billy szperali w moim piórniku. Bardzo ich to rozbawiło. Uważali Bros za tanią kapelę popową dla dziewczynek i stwierdzili, że to żałosne, że ich słucham. Wyśmiali mnie za to, że próbowałam to ukryć, i kazali mi przestać być taką dziewczynką. A z zauroczenia Lukiem Perrym śmiali się tygodniami.

Byłam na nich zła.

- Co oglądacie? To tajemnica! Kto wam pozwolił zaglądać do mojej torby?

Im bardziej się na nich złościłam, tym bardziej się ze mnie śmiali. Wiedziałam jednak, że nie powiedzą tacie. Wszyscy mieliśmy sekrety i w pewien sposób wspieraliśmy się nawzajem. Wiedziałam o nich rzeczy, które ukryli przed ojcem. Chodzili na koncerty popowe, mówiąc, że odwiedzają znajomych z ulicy. Mieli nawet w pokoju egzemplarze pisma „New Musical Express”. Gdyby na mnie donieśli, sami mieliby problemy.

Kiedy mój starszy brat, Zakir, skończył osiemnaście lat, zaczął pracować na pełny etat i kupił sobie samochód. Była to używana fioletowa skoda, ale był z niej dumny. Ciągłe zmuszał mnie i siostry, byśmy myły ją i polerowały. Kiedy odmawialiśmy, mówił, że w takim razie nie będzie nas woził. Zabierał nas tylko na zakupy do sklepu, ale przynajmniej nie musiałyśmy wtedy nosić ciężkich toreb.

Było to lepsze od wózka mamy. Rodzice nigdy nie mieli samochodu. Nie był im potrzebny, gdyż chodzili tylko po naszej ulicy i do meczetu. Nie nauczyli się prowadzić. W Pakistanie, do którego latali co rok, korzystali z wozów i koni. W Anglii tata chodził wszędzie na piechotę.

Pewnej zimy padał straszny śnieg, a tata wrócił do domu z obolałym kolaniem. Nikomu nie mówił, co mu się stało, bo wstydził się przyznać, że poślizgnął się na śniegu. Chodził jak gdyby nigdy nic, dopóki nie mógł już wytrzymać bólu. Dopiero wtedy zgodził się pójść do szpitala. Po prześwietleniu i innych badaniach lekarze stwierdzili, że to zwichnięcie. Owinięto

kolano bandażem, a *Zakir zacchai* wozić tatę do meczetu. Nic nie mogło przeszkodzić mu w pełnieniu obowiązków imama.

Oczywiście skoda nie była zbyt eleganckim samochodem, ale dla Zakira stanowiła symbol wyższego statusu. Mnie aż tak nie imponowała. Bracia moich koleżanek ze szkoły jeździli peugeotami czy volkswagenami - szybko zrozumiałam, że wszystko jest lepsze od skody.

- Możesz zawozić mnie wszędzie - powiedziałam Zakirowi.
- Tylko nie do szkoły!

Zakir uznał, że to zabawne. Pewnego dnia wyszłam ze szkoły i usłyszałam klakson. Zobaczyłam go w jego fioletowym wozie, uśmiechniętego od ucha do ucha. Moi znajomi zaczęli się śmiać. Udawałam, że go nie znam, jednak Sabina od razu wiedziała, jak się na mnie odegrać. Niedawno zaczęła chodzić do szkoły średniej. Chwyciła moją rękę i zaciągnęła mnie do samochodu. W takiej sytuacji nie mogłam już nic zrobić.

Wcześniej tego roku pojechałam na wycieczkę szkolną, żeby zobaczyć iluminację Blackpool. Nigdy nie byłam tak daleko od domu, nie licząc wizyty w Pakistanie. Praktycznie nie ruszałam się z rodzinnego miasteczka. Pierwszy raz widziałam też morze. Przejechaliśmy plażą i przez miasto, oglądając światła. Co do morza, zobaczyłam tylko odbicie światła na ciemnej powierzchni.

Na Wielkanoc spytałam Zakira, czy zawiezie mnie i siostry do Blackpool, żebyśmy mogły zobaczyć morze. Z jakiegoś powodu marzyłam o nim - o ogromnej przestrzeni wody, która była wręcz niewyobrażalna. Przyciągało mnie, jak gdyby morska toń mogła uspokoić moje wzburzone życie.

Jednak Zakir odmówił. Zachowywał się, jak gdyby nie chciał jechać, ale wiedziałam, że boi się, co powie tata, który mógł uznać taką podróż za *haram*. Kto wie, jakie nakazy religijne gotów był *jeszcze* wymyślić, by uniemożliwić nam spełnienie marzeń.

Oznaczało to, że ferie miały upłynąć pod znakiem nudy i stresu. Starałam się więc jak najdłużej przebywać poza domem. Pewnego popołudnia wracałam od wuja Kramata i ciotki Sakiny. Byłam już spóźniona na modły w domu, więc biegłam ulicą. Na podwórku poślizgnęłam się i uderzyłam w bramę, przewracając się.

Po chwili wstałam i zobaczyłam, że z rozcięcia na czole leci mi krew. W drzwiach domu stała córka cioci Sakiny, plotkując z mamą. Kiedy mnie zobaczyły, wiedziały, że trzeba jechać ze mną do szpitala. Syn cioci, Ahmed, zawiózł mnie tam samochodem. Na ostrym dyżurze założono mi szwy i pozwolono wrócić do domu. Mama nie komentowała tego wydarzenia. Poszłam spać, zmęczona i osłabiona z powodu utraty krwi.

Kiedy następnego dnia zeszłam na dół, mina taty mówiła wszystko. Nie okazywał nawet cienia sympatii czy żartownienia. Spojrzał na mnie, jakbym była najgłupszą istotą na ziemi. Jego pogarda, czy wręcz obrzydzenie, które czuł do córki, nie miały zniknąć z powodu uderzenia w głowę.

Była to dla niego tylko kolejna okazja, by dać mi do zrozumienia, co o mnie myśli.

Buntowniczką z powodem

Nie wiem, czy znajomość ze Skip miała z tym coś wspólnego, ale w wieku trzynastu lat zaczęłam zastanawiać się, dlaczego mój świat jest taki, jaki jest. Czemu moje życie było tak mroczne i pełne przemocy? Dlaczego musiałam tak harować? Zaczęłam wszystko kwestionować: moją kulturę, rodzinę, ojca, religię i oczywiście przemoc, której doświadczałam.

Wraz z dorastaniem, zmiany w moim ciele jeszcze bardziej rozpałały perwersyjne żądze ojca. Unikać go mogłam, tylko będąc w szkole lub poza domem. Jednak zazwyczaj zdarzało się tak, że przyłapywał mnie w mieszkaniu z gotową wymówką, by mnie „ukarać”.

Kazał mi zdejmować ubranie, przyglądając się w półmroku piwnicy, jak to robię. Kiedy kończyłam, zazwyczaj dyszał już ciężko. Jego oczy przepełniało znane mi, okropne, zwierzęce pożądanie. Podnosił szatę i zmuszał, bym go dotykała. Nie miałam wyboru - kiedy odmawiałam, bił mnie i ciskał na podłogę. A kiedy go dotykałam, mruczał po pendzabsku,

że jestem bezwartościową, brudną dziewczyną oraz złą kusielką i dziwką.

Kiedy się zmęczył, kazał matce mnie wypuścić, otwierając drzwi. Po „ukaraniu” nie mógł nawet na mnie spojrzeć. Nie chciał, bym była w pobliżu, bo przypominałam mu, jak bardzo jest zły. Z pewnością wołał wtedy, bym nie żyła, gdyż żywa byłam świadectwem jego grzechu. Ilekroć musiał na mnie patrzeć, odwracał się i uderzał mnie, bez względu na to, czy byliśmy sami, czy w towarzystwie mamy bądź siostr.

- Nigdy nie znajdziesz męża! - prychnął. - Jesteś głupia i brzydka! Kto by cię chciał?! Nie jesteś dość dobra dla nikogo!

Patrzyłam na podłogę w milczeniu.

- Spójrz - syczał na Sabinę. - Daj jej nauczkę za to, że jest brudna i głupia. Ale ty na pewno nie pójdziesz w jej ślady.

Nie wiedziałam, skąd wzięła się dysfunkcyjność mojej rodziny. Nie istniała naturalna miłość dziecka do rodziców i vice versa. Nie rozumiałam, jak mama może tolerować zachowanie taty. Czemu na nie pozwalała? Było to dla mnie nie do pojęcia.

Co do taty, zaczęłam rozumieć, jak bardzo nienawidzę go i nim gardzę. Nie miałam już nadziei, że się zmieni. Nie liczyłam na dzień, w którym mi „przebaczy” i pokocha mnie jak córkę. Wiedziałam, że on nie nadejdzie. Zrozumiałam też, że to nie ja jestem zła.

Im starsza byłam, tym mniej wierzyłam w to, co moja rodzina. Jednak nie wiedziałam, w co wierzyć. Nie byłam taka jak oni. Spędzałam dużo czasu sama, pisząc w pamiętniku. Coraz mniej rozmawiałam z rodziną. O 17.30 któryś z braci szedł z ojcem do meczetu, by nawoływać do modlitwy. Jednak ja wolałam oglądać

Sąsiadów. Czasem mama zaglądała do mnie, zobaczyć, czy się modłę, jednak nauczyłam się jej kłamać.

- Tak, mamó, modliłam się już - wzdychałam, słysząc nieuniknione pytanie.

W rzeczywistości jednak oglądałam ślub Scotta z Charlene.

W szkole uczyliśmy się o innych religiach. Do tej pory niewiele wiedziałam o judaizmie, buddyzmie czy hinduizmie. Mogłam teraz poznać różne szkoły myśli religijnej oraz systemy wiary. Zajęcia prowadziła pani po pięćdziesiątce. O każdej z religii mówiła z szacunkiem, jak gdyby żadnej nie przekładała nad inną, jakby każdy mógł dobrać sobie religię niczym danie z menu.

Wielu kolegów ze szkoły było niewierzących - a przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Nie dziwiło mnie to i nie przeszkadzało w relacjach z nimi. Tak po prostu myśleli. Nieważne, w co wierzyli, byli dla mnie mili.

Tata gardził ateizmem i religiami innymi niż islam. W jego oczach była to jedyna prawdziwa wiara. Mnie jednak intrygowały inne religie i ich idee. Uwielbiałam słuchać, jak się o nich rozmawia. Zostałam wychowana przez ksenofobicznych, nietolerancyjnych rodziców, żyjących w zamkniętej społeczności, a jednak nie zatruło to mojego spojrzenia na świat. Coś we mnie sprawiło, że miałam otwarty umysł i byłam ciekawa świata.

Na religii uczono nas o ludziach, którzy nawrócili się z jednej religii na drugą. Był to dla mnie rewolucyjny pomysł. Dotąd myślałam, że kiedy ktoś wyznawał jakąś religię od urodzenia, robił to już do śmierci. W mojej społeczności nie do pomyslenia było odwrócić się od islamu. Na ulicy opowiadano o kimś, kto

to zrobił. Była to przestroga. Twierdzono, że ci, którzy odwracają się od prawdziwej wiary, zasługują na śmierć.

Zaczęłam kwestionować to, czemu modłę się po arabsku. W bibliotece szkolnej dojrzałam angielskie tłumaczenie Koranu, ale wiedziałam, że tata nie pozwoli mi go przeczytać. Upierał się, że arabska wersja to dokładny zapis słów Allaha. Tłumaczenie wypaczało słowo boże, a w innych językach Koran nie zawierał „prawd duchowych”. Fakt, że nikt z nas - w tym tata, imam - nie rozumie arabskiego, nie martwił nikogo.

Jak wszyscy z naszej ulicy, nie orientowałam się więc zbyt dobrze, co napisane jest w księdze. Wiedziałam tylko tyle, ile usłyszałam od ojca czy innych przywódców religijnych. W szkole miałam dostęp do Biblii po angielsku, a pani od religii, wyczuwając moje zainteresowanie, zaczęła pokazywać mi inne teksty: Szlachetną Ośmioraką Ścieżkę buddyzmu; *Bkagawadgitę* hinduizmu czy żydowską Torę.

Po latach uczenia się Koranu nareszcie czytałam teksty, które miały dla mnie sens. Przemawiały do mnie. Tak jak niektóre nauki. Uwielbiałam przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. Kontrast z moją wiarą, której nie rozumiałam, był ogromny.

Zainteresowało mnie, co głoszą inne religie i jaki jest w nich stosunek wiernych do Boga. Moje wychowanie w islamie polegało na ślepym poddaniu, lecz inne wiary zdawały się oferować oświecenie. Wierni szukali indywidualnego kontaktu z Bogiem, opartego na zrozumieniu jego świętych słów.

Byłam zakłopotana. Czemu muzułmanie modlą się pięć razy dziennie po arabsku, jeśli nawet nie rozumieją wypowiedzianych słów? Czemu mamrotaliśmy niezrozumiałe wyrazy?

Słyszałam, jak niektórzy muzułmanie twierdzili, że kiedy modlą się po arabsku, czują wewnętrzny spokój. Ale ja nigdy nie dzieliłam tego poczucia. Nigdy nie wyjawiałam na głos swoich zastrzeżeń co do wiary, ale nauczycielka je wyczuwała. Zauważyła także, że interesują mnie inne wyznania. Doceniała mój głód wiedzy.

Nie dzieliłam się tymi wrażeniami w domu. Tata zabronił nawet wymawiać imię Jezusa. Uważałam, że inne wyznania także ślepo potępi.

Pewnego dnia wracając ze szkoły, usłyszałam straszny hałas dobiegający zza domu Jacka Russella. Brzmiało to jak czyjś krzyk. Zobaczyłam, że w domu właścicielki psa stoi biały człowiek trzymający nóż. Nie rozpoznałam go, ale dziko wrzeszczał i wyglądał na niezrównoważonego.

W panice uciekałam do domu. Bez namysłu zadzwoniłam na policję. Spytali o adres zajścia i o różne szczegóły. Wystraszyłam się i odłożyłam słuchawkę.

Nikt w naszej społeczności nie miał częstego kontaktu z policją. Na sąsiedniej ulicy mieszkał policjant, pakistański muzułmanin, któremu wszyscy ufaliśmy i szanowaliśmy go.

Jak większość ludzi w okolicy, rodzice najbardziej obawiali się, że pojawią się „obcy”, którzy będą zakłócać ich spokój. Funkcjonariuszy policji uważano za obcych, a nie za kogoś, kto ma nas bronić przed kłopotami. W Pakistanie znani byli ze skorpumpowania i starano się ich unikać. Podobnie traktowano brytyjskich policjantów.

Tuż po tym jak wykonałam telefon, pod nasz dom podjechał radiowóz. Do drzwi podeszło dwóch funkcjonariuszy.

Otworzyła im mama, a oni za moim pośrednictwem wyjaśnili, co się stało. Namierzyli nasz telefon. Widziałam szok na twarzy mamy. Policjanci myśleli pewnie, że się wystraszyła, ale ja wiedziałam, że domyśla się, że to ja zadzwoniłam, i jest na mnie zła.

Nie było sensu nic ukrywać, więc powiedziałam im, co się stało. Nie gniewali się. Pouczyli tylko, że następnym razem powinnam podać swoje dane osobowe oraz adres zamieszkania. Takie informacje o potencjalnym świadku były dla nich bardzo ważne. Następnie udali się zbadać sytuację. Nie obawiałam się już policji, lecz reakcji rodziców.

Kiedy funkcjonariusze sobie poszli, mama zaczęła na mnie krzyczeć. Jednak o wiele gorzej było, kiedy powiedziała ojcu, co się stało. Ten pytał, czemu zadzwoniłam po „policję *gora*” i czemu się mieszam w sprawy innych. Właścicielka psa jest *goń*, a niejedna z nas. Powinnam była zostawić ją w spokoju.

Nieważne, że mieszkała na naszej ulicy, liczyło się tylko to, że jest białą Angielką. Obcą. Jeśli ktoś zaatakował ją nożem, był to jej problem. Nie stanowił zagrożenia dla nas. Niech sama się tym zajmie. Wiedziałam, że postąpiłam słusznie, ale rodzice zabronili mi dzwonić na policję.

Kiedy tak mówili, chcieli, by ich uprzedzenia i ślepy strach do mnie dotarły. Powiedzieli, że policjanci to niebezpieczni obcy oraz że są skorumpowani i troszczą się tylko o siebie. Zarzuty i uprzedzenia sączyły się z ich ust, aż zaczęłam żałować, że wykonałam ten telefon. Byłam pewna, że już nigdy tego nie zrobię.

Myślałam potem o tym, co się stało. Z jednej strony wiedziałam, że zrobiłam dobrze - być może ocaliłam życie właścicielki psa - a z drugiej strony rodzice mówili, że policja jest przeciwko

nam i sprawy innych nie powinny nas obchodzić, jeśli to nie pakistańscy muzułmanie.

Znowu byłam zagubiona. Zaczęłam kwestionować moralność mojej społeczności, która pozwoliłaby, żeby ktoś został zadźgany nożem, bo nie jest „jednym z nas”. Kto tak robi? Dotąd nie łączyłam mojej społeczności z religią. Właścicielka psa nie była po prostu *goń*. Nie była tylko Angielką. Ona *przede* wszystkim nie była muzułmanką.

Po raz pierwszy zaczęłam na poważnie rozważać możliwość ucieczki. Miałam dość molestowania i traktowania jak niewolnicę przez dysfunkcyjną rodzinę. Zaczęłam tracić wiarę w moją społeczność i religię. Ale dokąd mogłam uciec? Nigdzie nie znalazłabym azylu. Poza rodziną i sąsiadami nie miałam ani jednego znajomego czy krewnego, do którego mogłabym zwrócić się o pomoc. Wiedziałam, że gdyby mnie złapano, konsekwencje byłyby nie do opisania. Dziewczynki z naszej społeczności, które usiłowały zdobyć wolność, „odsyłano” do Pakistanu i zmuszano do małżeństwa. Nigdy stamtąd nie wracały.

Zaczęłam rozważać najbardziej drastyczną możliwość - skończenia ze sobą. Co sobotę oglądaliśmy serial *Na sygnale*, który podsunął mi pomysł popełnienia samobójstwa oraz dał wskazówki, jak to zrobić.

Chociaż tata nie bił mamy od lat - przestał to robić, kiedy zaczął stosować przemoc wobec mnie - wciąż cierpiała na chroniczne bóle głowy. To na mnie skupiał się jego gniew, lecz ona wciąż cierpiała z powodu stresu. Czuła się jak w potrząsku i obawiała się złości ojca. Strasznie przejmowała się też, gdy ojciec wykorzystywał mnie i bił. Starła się to ukrywać, ale

doskonale wiedziała, co dzieje się w piwnicy. Nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Ilekcroć tata zaspokajał ze mną swoje chore *żądze*, mama dostawała okropnego bólu głowy. Aby go złagodzić, brała mnóstwo paracetamolu. W kuchni zawsze znajdowały się zapasy tego leku. Nam też wolno było go brać, jeśli źle się poczuliśmy.

Ze śmietnika wydobryłam małe plastikowe pudełko i zaczęłam przechowywać w nim paracetamol. Robiłam to po kryjomu, pigułka po pigułce. W ten sposób upewniałam się, że mama się nie zorientuje. W ośmioosobowej rodzinie ciężko byłoby dowieść, że to właśnie moja sprawa. W końcu zgromadziłam zapas małych białych tabletek. Ukryłam je między ubraniami na półce w szafie.

Nie zdecydowałam się odebrać sobie życia, ale byłam coraz bardziej zdesperowana. Nie widziałam innego wyjścia. Mój zapas paracetamolu był ostatecznością - gdybym nie mogła już tego wszystkiego dłużej wytrzymać. Gwarantował wytchnienie od napaści ojca.

Zbliżałam się do czternastego roku życia. Gdyby powiedziano mi wtedy, żejadę do Pakistanu wziąć tam ślub, bez wątpienia połknęłabym te pigułki. Były moim ubezpieczeniem. Świadomość, że je mam, przynosiła mi swoistą ulgę.

Im starsza byłam, tym większy problem miałam w szkole z dniami bez mundurka. Panowała wtedy moda na nylonowe, kolorowe, świecące dresy. Dziewczyny nosiły do nich ogromne kolczyki, a włosy spinały w kucyk. Dosyć mocno się też malowały. Nie znosiłam tych dni. Mnie wolno było nosić tylko durny,

żółty *salwar-kamiz* i szal. Musiałam w nim chodzić, mimo że inni mogli ubierać się, jak chcieli. Wydawało mi się, że wyglądam dokładnie tak, jak się czuję - jak ptak na uwięzi.

Moi znajomi wiedzieli, że tego nie znoszę, więc udawali, że nie zwracają uwagi na mój strój. Jednak nieznajomi nie byli już tak mili. Czasem uczniowie innych klas wyzywali mnie. I tak byłam nieśmiała, a to, że wołano za mną na korytarzu: „*pakil*” nie pomagało mi. Chciałam tylko się dopasować.

Marzyłam o dresie, o tym, by móc założyć turkusowe ubranie, nałożyć różową szminek i niebieski cień do powiek. Wiedziałam, że wyglądałabym świetnie.

Ponieważ Skip wyniosła się z naszej ulicy, zaprzyjaźniłam się z Sonią - drobną, śliczną dziewczyną o ciemnych włosach i piwnych oczach. Była o trzy lata młodsza i chodziła z moją siostrą, Sabina, do klasy. Jednak w niczym nie przypominała mojej siostry konformistki. Tak jak Skip była buntowniczką, co zbliżyło nas do siebie.

Dom Sonii przypominał nasz. Znajdował się w połowie drogi do przystanku autobusu szkolnego. Jej rodzice pochodzili z Indii, a w Brytanii mieszkali tak długo jak moi. Jednak mówili po angielsku. Oboje pracowali poza naszą społecznością - jej tata w biurze, a mama jako pielęgniarka. Chcieli współtworzyć kulturę kraju, w którym żyli, w przeciwieństwie do moich rodziców.

Zarówno Sonii, jak i mi zdarzyło się, że ktoś nazwał nas *paki*. Jednak między jej rodziną, wykształconymi, należącymi do klasy średniej hindusami pochodzącymi z miasta, a moją były ogromne różnice. Ich podejście do kobiet także odbiegało od

naszego. Jej babcia pracowała jako lekarka w Indiach, gdzie normalne było, że kobieta jest wykształcona i *niezależna*.

Sonii żyło się lepiej niż mnie. Mogła chodzić do miasta i spotykać się ze znajomymi. Zawsze ubierała się w zachodnie ubrania. Nie zmuszano jej do chodzenia w *sari* albo *salwar kamiz*. Jako od jedynaczki rodzice wymagali od niej dobrych ocen. Jednak przynajmniej pomagali jej w nauce i wspierali ją. Jej mama ciągle opowiadała, że Sonia ma za duży nos, wspomniano nawet o operacji plastycznej.

Kiedy się lepiej poznałyśmy, Sonia zwierzyła mi się ze swoich „problemów”. Niemal zaczęła wierzyć, że jej nos faktycznie jest za duży i że wygląda przez to brzydko. Stresowały ją też egzaminy, bo bała się zawieść rodziców. Próbowałam ją wspierać, ale według mnie nie miała się czym przejmować. Ja z kolei opowiadałam jej o swoich kłopotach - o tym, że nienawidzę nosić *salwar kamiz* i nie mogę spotykać się ze znajomymi.

Jednak nie opowiadałam o prawdziwie mrocznych sprawach. Nie mogłam zmusić się, by mówić o tym, jak tata bił i wykorzystywał mnie od ośmiu lat. Było to zbyt brudne i wstydziałam się tego. Nie zdołałabym na tyle się przed kimś otworzyć. Czułabym się wtedy zbyt bezbronna. Bałam się też utracić przyjaciółkę przez to, że odkryłaby, jak chory jest mój dom.

Zamiast tego narzekałam więc, że nie mam co nosić w dzień wolny od mundurków.

- To da się obejść - stwierdziła Sonia z diabelskim uśmiechem. - Jutro mamy dzień bez mundurka. Zajrzyj do mnie w drodze do szkoły. Rodzice będą już w pracy. Jesteśmy podobnych rozmiarów, więc założysz moje ubrania. Przebierzemy się razem!

Byłam podekscytowana. Nie myślałam nawet o ryzyku. Chciałam choć raz pójść do szkoły w czymś innym niż zwykle. Następnego ranka wyszłam piętnaście minut wcześniej. Szybko udałam się do Sonii i zapukałam do drzwi.

- Gotowa? Chodź! - przywitała mnie Sonia, wciągając do swojego domu.

Dom był przepiękny. Minęłyśmy współczesną kuchnię z sosnowymi meblami, zdominowaną przez duży stół i krzesła. Następnie przeszłyśmy do salonu w pastelowych kolorach. Zauważyłam zdjęcie Tadż Mahal, pięknego budynku w Indiach, którego białe wieże i fasady odbijają się w zbiorniku wodnym. Rozpoznałam go z lekcji religii, na których uczono nas, że to miejsce ważne zarówno dla hindusów, jak i muzułmanów.

Pokój Sonii znajdował się na górze. W porównaniu z moim był czysty i schludny. Wisiały w nim plakaty, które rozpoznałam - przedstawiały aktorów z *Beverly Hills 90210*. Serial ten opowiada o życiu bogatych licealistów w Ameryce. O przyjaźni, romansach i dramatach. Wszystkie moje znajome go oglądały. Rozmawiałyśmy potem o fabule lub o tym, którzy chłopcy nam się podobają.

Powiedziałam Sonii, że chciałabym wyjść za Lukea Perryego - gwiazdę serialu. Nosiłam jego zdjęcie w piórniku. Ona odparła, że kocha się w Jasonie Priestleyu. Ucieszyłyśmy się, że nie będziemy kłócić się o chłopaka! Zresztą to i tak nie miałyby sensu - Sonia była o wiele ładniejsza niż ja.

Jak najszybciej przejrzałyśmy ubrania. Były zachodnie i modne, więc wydawały mi się śliczne i egzotyczne. Ubrałam się w T-shirt i džinsy. Zakładając je, poczułam się podekscytowana.

Po raz pierwszy w życiu miałam na sobie spodnie i czułam dżins na skórze. Ponadto od wielu lat nie wychodziłam na dwór bez islamskiego nakrycia głowy.

Wepchnęłam mój *salwar kamiz* i hidżab do torby. Zdążyłam jeszcze nałożyć makijaż - zrobiłam sobie kreskę na powiece, pomalowałam rzęsy i usta. Mama umalowała mnie raz czy dwa, kiedy szłyśmy na ślub do meczetu, więc miałam o tym jako takie pojęcie. Sonia zresztą mi pomogła. Potem mnie uczesała. Przejrzałyśmy się w lustrze i uznałyśmy, że wyglądamy świetnie.

Wychodząc, Sonia pokazała mi pokój gościnny. W rogu znajdowała się kapliczka, a w niej posążek mężczyzny z głową słonia, otoczony świeczkami i kadzidłami.

- To hinduski bóg, prawda? - spytałam. Rozpoznałam go z religii, ale nie pamiętałam imienia.

-Tak, to Ganeśa - odparła Sonia. - Tutaj modlą się rodzice. Do tego naczynka składają dary zjedzenia i pieniędzy.

Zauważyłam, że powiedziała: „modlą się rodzice”, jak gdyby jej to nie dotyczyło. Nie dopytywałam, bo nie chciałam być wścibska, ale uznałam, że ich religia jest mniej surowa niż moja.

Kiedy miałyśmy wyjść, ogarnął mnie strach. Zastanawiałam się, czy mogę to zrobić. Przez chwilę stanęłam w drzwiach.

- Soniu, a co jeśli ktoś mnie zobaczy?

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Daj spokój, wyglądasz świetnie. Nikt nie zauważy... Musimy już iść, bo się spóźnimy!

Byłam pewna, że ktoś z mojej społeczności mnie zauważy. Jednak kiedy szłyśmy w stronę przystanku, nikt nie zwracał na

nas uwagi. Na miejscu spotkałyśmy Aminę i Ruhamę, dziewczyny z mojej szkoły. Były zaskoczone.

- Rety, Hannan, to ty? - spytała Amina.
- Skąd masz takie ubrania? - dodała Ruhama.
- Nie wasz interes - odparłam groźnie.

Nie chciałam, by ktoś robił z tego sensację. Po pierwsze, wolałam, by nie wydało się, że poszłam do szkoły ubrana jak *gora*. Amina i Ruhama mogły, ale ja nie i wszyscy o tym wiedzieli. Im mniej się tym interesowały, tym lepiej. Czułam się zażenowana, że pożyczam ubranie. Nie chciałam, by o tym wiedziano. Gdyby wszyscy w autobusie usłyszeli, wkrótce wiedziałyby cała szkoła.

Obawiałam się, że Amina i Ruhama powiedzą rodzicom, że widziały mnie, córkę imama, ubraną jak *goru*. Wieść o tym, że udałam się do szkoły umalowana i bez hidżabu, obiegłaby całą naszą ulicę. Co za skandal! Zanim dotarłam do szkoły, czułam już strach, że wieść ta dotrze do ojca. Jednak nie mogłam już zawrócić. Choć przez jeden dzień chciałam poczuć się normalnie, bez względu na konsekwencje.

Dotarłyśmy do szkoły i pierwszy raz w życiu nie czułam się źle ze swoim ubraniem. Sama chciałam je założyć. Czułam się radosna i wolna.

Moi przyjaciele nie robili z tego afery. Akceptowali mnie zarówno w *salwar kamiz*, jak i w dżinsach. Powiedzieli tylko, że dobrze wyglądam. A nauczyciele, jeśli zauważyli zmianę, to jej nie komentowali. Jednak znalazła się osoba, która musiała mi dogryźć — moja młodsza siostra, Sabina.

- Dlaczego się tak ubrałaś? - spytała z szyderczym uśmiechem na ustach. - Skąd masz te ubrania *gorii*

Sabina mówiła po pendżabsku, żeby nikt jej nie zrozumiał.

- To Sonii - odparłam po angielsku. - Masz z tym jakiś problem?

- Jest hinduską - odpowiedziała Sabina, zadzierając nosa.

- Czemu nosisz ubrania hinduski?

- A co za różnica? Podobają mi się te ubrania i będę je nosić.

Liczyłam, że Sabina nie wyda mnie przed rodzicami. Gdyby to zrobiła, powiedziałabym o tym jej znajomym. Była donosicielką, a w szkole nikt nie lubił takich osób. Dlatego odpowiedziałam jej po angielsku. To była zawołowana groźba: „Jeśli doniesiesz na mnie w domu, ja rozpowiem o tym w szkole”.

Cały dzień świetnie się czułam, jak jedna z dziewczyn. Opracowałyśmy z Sonią plan, na wypadek gdyby Zakir albo mama przyszli odebrać mnie ze szkoły. Miała sprawdzić, czy czekają. Jeśli zobaczyłaby mojego brata, mogłam przebrać się w *salwar kamiz* w toalecie. W przypadku, gdyby przyszła mama, liczyłyśmy na to, że uda mi się przekraść obok niej.

Sonia powiedziała, że jest czysto. Wróciliśmy autobusem i udałyśmy się do niej, gdzie zdjęłam dżinsy, T-shirt i zmyłam makijaż. Zaplotłam znowu włosy. Założyłam *salwar kamiz* i hidżab. Wróciłam na ulicę tak, jak z niej zniknęłam. Nie wyczułam, żeby ktoś wiedział o moim podstępie.

Ta forma buntu była najprzyjemniejsza i najbardziej ekscytująca ze wszystkich, których do tej pory doświadczyłam, ale jednocześnie ogromnie mnie przerażała. Od tej chwili, ilekroć nadchodził dzień bez mundurka, przebierałam się u Sonii. Ta stała się moją współniczką w zbrodni. Nie miała sióstr, więc cieszyła się, że możemy się przebierać. Czuła też, że robi

coś „zabronionego” - przynajmniej dla mnie. Nie martwiła się, że ktoś się dowie. Wiedziała, że to ja będę mieć kłopoty, a nie ona.

Wolałam nie myśleć, co zrobiliby moi rodzice, gdyby się dowiedzieli. Gniew ojca byłby bezbrzeżny. Groziło mi pobicie albo coś gorszego. Jednak gotowa byłam podjąć to ryzyko. Nagrodą było tak ważne dla mnie poczucie swobody. W moim życiu nie miałam wpływu praktycznie na nic - ani na religię, ani na to, jak traktuje mnie moja rodzina i jaką rolę w niej odgrywam. Nawet moje ciało było przez innych wykorzystywane.

W końcu udało mi się zrobić coś, co wynikało z mojego wyboru, coś, co kontrolowałam.

Nie miałam zamiaru na tym poprzestać.

Outsiderka

Wkrótce po moich czternastych urodzinach wrócił do nas mój brat, Raz. Nie było go przez trzy lata, a jego powrót nastąpił niespodziewanie. Gdy mama przytuliła go na powitanie, wybuchł płaczem. Łkał przez długi czas, a ona starała się go pocieszyć i uspokoić. Zszokował mnie jego wygląd i to, jak nieszczęśliwym człowiekiem się stał.

Pobył w medresie zmienił go - bardzo schudł i wyglądał na starszego niż był w rzeczywistości. Jednak co gorsza, wydawało się, że stracił pewność siebie i radość z życia. Z jego oczu zniknął dawny blask. Biedny Raz. Zastanawiałam się, co z nim zrobili.

W następnych dniach starałam się rozbawić go rzeczami, które zawsze uważał za zabawne - mamą usiłującą naśladować akcent cockney podczas oglądania *EastEnders* lub wegetarianizmem Billy'ego i Zakira. Jednak on nawet się nie uśmiechnął. Nie powiedział ani słowa o tym, co działo się z nim przez trzy lata. Odmawiał rozmów na ten temat.

Jednak pewnego dnia usłyszeliśmy, że jego znajomy ma zostać wysłany do medresy.

- Nie może tam trafić! - wykrztusił Raz. - Nie pozwólcie na to. Znienawidzi to miejsce. To go zabije.

Mama nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ale dlaczego ma je znienawidzić? - spytałam. - Co w nim takiego strasznego?

Raz spuścił głowę i wymamrotał:

- Bili mnie tam. Biją cię, jeśli się pomylisz. I to nie kijem jak w meczecie. Przewracają cię, po czym godzinami biją i kopią. To tortury. Właśnie tak. Torturują tam uczniów...

W przerażeniu słuchałam jego opowieści.

- Pewnego dnia nie potrafiłem poprawnie wyrecytować jednej z sur. Starałem się, ale mi nie wychodziło. Wtedy pobili mnie i zamknęli w ciemnym pomieszczeniu na kilka dni. Powiedzieli:

„Będziesz tu siedział, dopóki nie nauczysz się recytować jej poprawnie. Albo tu umrzesz.” A to nie wszystko...

Raz zawiesił głos. Te wspomnienia go dręczyły. Widać było strach w jego oczach. Nie chciał mówić już nic więcej.

- Nigdy nie chcę tam wrócić - dodał w końcu. - Jeśli spróbujecie mnie tam odesłać, zabiję się...

Zniknął dawny radosny Raz. Miejsce, do którego odesłał go ojciec, zniszczyło go i złamało. Zamiast niego pojawił się zamknięty w sobie i zraniony chłopak, któremu odebrano radość z życia. Pomyślałam: „Brawo, tato”. Usiłował zrobić z Raza kogoś podobnego do siebie. Kiedy mój brat dorósł, miał problemy psychiczne. Nie wiem, czy to z powodu pobytu

w medresie, ale z pewnością okres, który tam spędził, odcisnął swe piętno na jego dalszym życiu.

To, co spotkało mojego brata, przytrafia się wielu chłopcom z pakistańskich medres, w których przygotowuje się ich na dżihad przeciwko Zachodowi. Odbiera się ich rodzinom, kiedy są jeszcze młodzi i wrażliwi, by ich złamać. Następnie zaszczerpia się w nich nienawiść i wysyła jako mięso armatnie. Razowi przynajmniej tego udało się uniknąć, ale został popchnięty na tę samotną, mroczną i brutalną drogę.

Po moim radosnym bracie został jedynie ponury cień. Podczas rozmowy z Razem zdałam sobie sprawę, że ojciec też uczęszczał kiedyś do medresy. Może wyjaśniało to po części, dlaczego uległ takiemu skrzywieniu, lecz nie było żadnym usprawiedliwieniem.

Tuż po powrocie Raza zaogniły się konflikty na Bliskim Wschodzie. Irak napadł na Kuwejt, rozpoczynając wojnę w Zatoce Perskiej. Był to dla nas ciężki okres.

Na końcu ulicy powstał nowy college dla osób, które mają problemy z nauką lub ze znalezieniem pracy.

Nasza społeczność nie okazywała radości z tego powodu i narzekała na obecność studentów, których określała mianem opóźnionych albo sępów. Unikała kontaktu z nimi. Uważała, że to wyrzutki angielskiego społeczeństwa.

W oczach wielu osób z pokolenia moich rodziców niepełnosprawne dziecko było karą za grzechy, zesłaną przez Allaha, wstydem dla całej rodziny. W wiejskich rejonach Pakistanu takich dzieci często „pozbywano się” a jeśli przeżyły, ukrywano je w domu, czasem przez całe życie.

Tak więc ze strony mojej rodziny nie można było liczyć na jakiegokolwiek współczucie w stosunku do osób niepełnosprawnych lub oznaki sympatii czy zrozumienia.

Najstarsza siostra Skip, Zaria, miała niepełnosprawną córeczkę. Nogi dziewczynki były zbyt słabe, by podtrzymać ciężar ciała. Widziałam, jak społeczność ją traktuje. Kiedy przychodzili goście, rodzina zamykała dziecko w sypialni. Jak gdyby nie istniało. Kochali ją, ale nie potrafili wyswobodzić się spod wpływu religii i tradycji.

Czasem, kiedy bywałam u Skip, trafiałam na jej niepełnosprawną siostrzenicę. Bawiłyśmy się z nią. Dzięki temu zrozumiałam, że podejście mojej społeczności do niepełnosprawnych jest złe. Od tego momentu, ilekroć widziałam dzieci na wózkach, nie myślałam o nich jak o trędowatych.

W dni zjazdów, gdy pojawiali się studenci, na naszej ulicy panowało napięcie. Kiedy znikali, wszystko wracało do normy. Niepełnosprawni byli powodem do wstydu, a osoby pobierające zasiłek stanowiły margines społeczny. Czysta hipokryzja. Wiele osób z naszej ulicy, w tym ojciec, dostawało zasiłek. Jednak rzekomo było to co innego.

Mój tata był imamem, co sprawiało, że mógł pobierać zasiłek. Z początku otrzymywał go bez problemu. Jednak państwo zaczęło wymagać, by przebywający na zasiłku odbywali programy szkoleniowe. Należało aktywnie szukać pracy, a nie bezczynnie tkwić na bezrobociu. Jednak jeśli ktoś był na rencie, mógł traktować to jako płatny urlop.

Po zmianie zasad tata zdecydował się pójść na rentę. Jako powód podał problemy z kręgosłupem. Faktycznie je miał, ale

nie do tego stopnia, by nie móc pracować. Nadal piastował swój urząd i codziennie bywał w meczecie. Mógłby nauczyć się angielskiego, co ułatwiłoby znalezienie pracy. Mógł zrobić prawo jazdy i zostać taksówkarzem. Jednak wolał pobierać zasiłek na siebie oraz rodzinę i nadal być imamem.

Ojciec nie uważał się za obiboka. Nie wstydził się też, że musi utrzymywać ośmioosobową rodzinę z zasiłku. Nie widział nic złego w pobieraniu pieniędzy od państwa, którym gardził, by sprawować funkcję duchowego przewodnika swej społeczności. Dla niego było to naturalne.

Jednak osoby z collegeu pobierające zasiłek były inne. Nosiły podarte dżinsy i skórzane kurtki, a mężczyźni mieli kolczyki. Wielu z nich było skinami. Między zajęciami stali przed szkołą, paląc papierosy i pijąc alkohol - tanie piwo lub cydr w plastikowych butelkach.

Moi bracia, Zakir i Billy, uważali, że wyglądają *cool*. Jednak to, że nie mieli pracy, wcale nie było *cool*. Chociaż żyliśmy z zasiłku, bracia nie bali się ciężkiej pracy. Starsi uważali, że ich życie jest o wiele lepsze, niż było za młodu, ale młodzi chcieli żyć jeszcze lepiej niż oni. Tych, którzy rzucili szkołę, omijano szerokim łukiem. Wszyscy chcieliśmy żyć lepiej, a pobierający zasiłek reprezentowali to, czym gardziliśmy.

Zwykle nas ignorowali. Jednak przechodząc koło nich, bałam się, zwłaszcza jeśli pili alkohol. Wtedy śmiali się i przeklinali, co wyglądało groźnie. Jednak nie wyzywali nas ani nie atakowali. Przynajmniej wtedy.

Kiedy rozpętała się wojna w Zatoce Perskiej, zaczęło się to zmieniać.

Ilekoć ich mijaliśmy, krzyczeli:

-*Pakil* Saddamofile! Cholerni Pakistańcy...

Nie docierało do nich, że nasze rodziny pochodziły z Pakistanu, z Azji i nie mieliśmy nic wspólnego z Arabami z Iraku. Wystarczyło im, że byliśmy ciemnymi muzułmanami. Pewnego dnia szłam z Zakirem, kiedy poczuliśmy gniew grupy skinheadów.

- Pakistańskie bękarty! Spieprzać do domu!

- Zamknijcie się! - odkrzyknął wściekły Zakir. - Tu jest mój dom!

Nagle jeden z nich podbiegł do mojego brata i uderzył go. Nie trzeba było długo czekać, by reszta bandy do niego dołączyła. Rzucili się na Zakira niczym sfora psów. Zaczęli go bić i kopać, krzycząc przy tym.

- Dorwać go!

- Pakistański bękart!

- Skopcie mu łeb!

Przez chwilę Zakir starał się bronić, ale w końcu padł pod gradem ciosów. Leżał zwinięty w kłębek, starając się chronić głowę rękoma. Zaczęłam krzyczeć, a skinheadzi wciąż go kopali. Na szczęście usłyszał mnie syn wujka Kramata, Ahmed, który ruszył na pomoc mojemu bratu. Zebrało się więcej mężczyzn z naszej ulicy, więc napastnicy uciekli.

Zakir leżał na ziemi, wijąc się z bólu. Byłam przerażona. Jak mocno go pobili? Z nosa ciekła mu krew. Spróbowałam go poruszyć, ale widziałam, że bardzo cierpi. Najbardziej bolały go żebra, na których skoncentrowali się skinheadzi. Powoli pomogliśmy mu wstać. Ledwo szedł.

- Jak się czujesz? - spytał Ahmed. - Zawieźć cię do szpitala?

- Nic mi niejest - odparł Zakir i wypluł trochę krwi. - Nie chcę robić zamieszania. Wróć do domu. Mama się mną zajmie.

Nos Zakira wyglądał na złamany, a jego usta były pęknięte i krwawiły. Oko zaczęło mu sinieć. Mamę przeraziło to, co zrobili mu „nikczemni *gora*”. Po opatrzeniu jego ran poszła do miejscowego policjanta, który wysłał funkcjonariuszy, żeby rozejrzeli się w okolicy collegeu. Nic to jednak nie dało. Nikt z naszej ulicy nie chciał też, by ktoś interweniował w tej sprawie.

Woleliśmy, żeby sprawa przycichła. Gdyby kogoś złapano i skazano, nasza społeczność znalazłaby się w centrum uwagi, a tego nikt nie chciał. W kilka godzin po napaści już wszyscy o niej wiedzieli. Od tej pory nikt nie przechodził koło collegeu sam. Skinheadzi musieli wiedzieć, że są na celowniku społeczności, bo od tego momentu ograniczyli się tylko do wyzywania nas.

Zdarzenie to przstraszyło mnie, ale nie wpłynęło na moją opinię o białych. Większość znajomych w szkole była biała i wstawiała się za mną. Bronili mnie. Zmieniłam jednak zdanie co do skinheadów. Zamknięte, rasistowskie plemię, tacy właśnie byli. W pewnym sensie podobni do mojej społeczności - żyli wedle zasad definiowanych przez rasizm i uprzedzenia.

W szkole nazywano mnie *afes* i *Saddamofilką*. Robili to najczęściej starsi chłopcy, którzy mnie nie znali. Przeważnie nie odpowiadałam. Czasem starałam się wyjaśnić, że Irak to nie Pakistan i nie mam nic wspólnego z wojną. Jednak nie chcieli tego słuchać. Na szczęście Lara wzięła mnie w obronę, a żaden z chłopców nie chciał narażać się najładniejszej dziewczynie z naszego rocznika.

Lara była urocza i bardzo lojalna. Ilekroć ktoś mnie wyzywał, stawała w mojej obronie.

- Zostaw ją, idioto! - krzyczała z wściekłością w oczach.
- Ona nie ma z tym nic wspólnego!

- Ale jest Paki...

- Zamknij się - przerywała Lara. - Phi! Pakistan. Irak. Rozumiesz różnicę? Przygłup!

- Ale...

- Daj spokój, co ty tam wiesz. Zamknij się, zanim powiesz coś jeszcze głupszego. Dobrze?

Lara wiedziała, że to głupie przypuszczać, że mam cokolwiek wspólnego z wojną w Zatoce. Był to konflikt dwóch muzułmańskich krajów - Iraku z Kuwejtem.

- Co ma do tego Pakistan? - denerwowała się. - To dzieje się w Arabii. Chyba wiesz, że to różnica?

Chłopcy słuchali Lary choćby dlatego, że im się podobała. Nie chcieli wyjść przy niej na imbecyli. Była wymarzoną przyjaciółką i obrończynią.

Pedagodzy wiedzieli, co się dzieje. Nauczycielka angielskiego, pani Zorba, zorganizowała dyskusję klasową, starając się rozładować sytuację. Kilku chłopców miało braci, którzy walczyli w Zatoce Perskiej. Byli wściekli, że są w niebezpieczeństwie. Nie wiedzieli, czemu mają walczyć za odległy kraj, o którym nikt nie słyszał. Chcieli wyładować gniew na najbliższej ciemnoskórej muzułmance.

Pani Zorba dała mi szansę przedstawienia mojego punktu widzenia. Powiedziałam, że według mnie zasadniczo powinno się unikać wojen. Dodałam również, że pakistańscy muzułmanie

opowiedzieli się przeciwko Saddamowi, co z grubsza było prawdą.

Mój ojciec czuł się rozdarty. Nie popierał Saddama, gdyż ten był świeckim przywódcą. Zniósł w Iraku szariat i inne islamskie obyczaje. Jednak nie podobało mu się też, że Brytyjczycy toczą wojnę w muzułmańskim kraju. Uważał, że interwencja w celu pomocy Kuwejtczykom jest słuszna, ale powinni ją zorganizować Saudyjczycy lub inny islamski kraj.

Tata ignorował fakt, że niewiele muzułmańskich państw miało armię zdolną stawić czoła irackiej. To, że wojnę sankcjonowało ONZ, a wojska były międzynarodową koalicją, także jakby mu umknęło.

- Spójrzcie tylko! - denerwował się, oglądając wiadomości w telewizji. - *Gora* maszerujący po muzułmańskiej ziemi! Zagarniają nasze tereny!

Po dyskusji na lekcji u pani Zorby moje życie w szkole stało się łatwiejsze. Chłopcy rozumieli, że nie jestem stroną konfliktu, a ja pojęłam, skąd brał się ich gniew. Nie chcieli tej wojny, bo członkowie ich rodzin znaleźli się na linii frontu. Ja zaś nie popierałam wojen jako takich. Nie było więc o co się kłócić. Wkrótce wyzwiska pod moim adresem ustały prawie całkowicie.

Dzięki Larze i pani Zorbie prawie nikt nie nazywał mnie już Saddamofilką i Pakistańcem.

Każdy w klasie musiał napisać recenzję wybranej książki i przeczytać ją na forum klasy. Zdecydowałam się na *Zabić drozda* Harper Lee. Opowiada o białej rodzinie mieszkającej na południu Stanów. Ojciec, Atticus Finch, jest adwokatem czarnego,

oskarżonego o zgwałcenie białej dziewczyny. To klasyczna opowieść o człowieku z zasadami, który stara się doprowadzić do triumfu sprawiedliwości w na pozór beznadziejnej sytuacji. Dla mnie był to głos w sprawie tolerancji i tego, by pozwolić innym żyć. Nie słyszał go jednak mój ojciec ani skinheadzi.

Chciałam napisać dobrą recenzję, bo uwielbiałam angielski i panią Zorbę. Jej nazwisko nie brzmiało z angielska, ale wyglądała dla mnie jak typowa Brytyjka. Była wysoka, szczupła, po pięćdziesiątce. Wiek zdradzały zmarszczki na twarzy i rękach. Miała siwe włosy spięte w kok, które opadały z przodu luźnymi kosmykami.

Pani Zorba była delikatna i to dzięki niej mogłam rozwijać swoją miłość do książek. Bardzo mnie wspierała. Jednak kiedy nadeszła pora prezentacji, byłam bardzo zdenerwowana. Trzęsłam się ze strachu przed klasą. Zaczęłam czytać, ale coś we mnie pękło.

Wybiegłam z klasy i schowałam się w toalecie. Siedziałam tam przez chwilę, płacząc. Czułam się tragicznie. Dopiero kiedy lekcja dobiegła końca, zdołałam zebrać się w sobie i wyjść. Wróciłam do klasy, w której pani Zorba porządkowała książki.

- Przepraszam, że uciekłam - wymamrotałam.

Uśmiechnęła się.

- To nic. Dobrze się czujesz?

- Lepiej - przytaknęłam.

- Dlaczego uciekłaś? - spytała.

- Byłam zdenerwowana... Bałam się, że wszyscy będą śmiać się z tego, co napisałam.

- Może ja przeczytam twoją recenzję? Jeśli uznam, że jest dobra, to czy zdobędziesz się na odwagę i zaprezentujesz ją?

- Spróbuję - odparłam.

Wciąż jednak mnie to przerażało. Jeszcze tego samego dnia pani Zorba podeszła do mnie na korytarzu.

- Przeczytałam twoją pracę - powiedziała. - Jest bardzo dobra. Wczułaś się w tę historię, prawda?

- Chyba tak.

- Przeczytasz ją klasie, tak jak obiecałaś?

- Chyba nie dam rady - zająknęłam się. - Zbyt się boję.

- No dobrze, nie będę cię zmuszać. Chciałam, żebyś wiedziała, że to dobra praca.

Na początku następnej lekcji pani Zorba stanęła przed całą klasą i powiedziała:

- Dziękuję wszystkim za prace. Teraz przeczytam wam świetną recenzję książki *Zabić drozda*, żebyście wiedzieli, jak powinno się pisać.

Zrobiłam się czerwona na twarzy, ale na szczęście nauczycielka nie powiedziała, kto jest autorem recenzji. Przeczytała ją i poprowadziła dalej lekcję. Nie mogłam w to uwierzyć. W domu nikt nie mówił mi, że jestem w czymś dobra. Nadawałam się tylko do służenia, bicia i wykorzystywania. Poczulałam dumę.

Pod koniec roku przyszedł do nas list, w którym napisane było, że wygrałam szkolną olimpiadę z angielskiego. Żaden z moich braci nigdy nie osiągnął czegoś takiego. Byłam bardzo dumna, a oni także cieszyli się moim sukcesem. Przeczytałam list mamie, która wydała się bardzo zadowolona. Sabina natomiast zignorowała to, podobnie jak tata.

Zakir i Billy chodzili już na uniwersytet. W przypadku Raza za wyższe wykształcenie miała mu wystarczyć medresa.

Wręczanie nagród miało odbyć się wieczorem, ale żadne z rodziców nie chciało iść. Nie puściliby mnie samej, więc byłam pewna, że przegapię uroczystość. Na szczęście Raz zaoferował pomoc. Trzy lata spędzone w piekle medresy nie wykorzeniły z niego ludzkich instynktów i dobroci. Zgodził się towarzyszyć mi na wręczaniu nagród.

- Wiesz, świetnie ci poszło - stwierdził, idąc ze mną wieczorem do szkoły. - Możesz być z siebie dumna. To twój wielki dzień.

Chciałam go przytulić i powiedzieć mu, jak bardzo wdzięczna jestem za to, że ze mną poszedł. Jednak w domu nie okazywaliśmy sobie uczuć. Nikt nikogo nie przytulał. Jedyne kontakty fizyczne, jakiego zaznałam, był chore i obsceniczne.

W liście napisano, że nagrodą będzie czek na 29 funtów, który otrzymam w trakcie ceremonii. Musiałam wybrać książki za tę sumę. Zdecydowałam się na oksfordzki słownik języka angielskiego, najdroższą książkę w księgarni, oraz powieść *The Outsiders*. Była to moja ulubiona książka, odkąd ukończyłam trzynaście lat. Czytałam ją wiele, wiele razy. Opowiada o gangu z Ameryki, do którego należą trzej bracia. Ich rodzice giną w wypadku samochodowym, a najstarsze z dzieci musi opiekować się pozostałą dwójką. Historia opisana jest z punktu widzenia najmłodszego brata. Wraz z przyjacielem morduje on mężczyznę z innego gangu i musi się ukrywać. Może jednak liczyć na wsparcie ze strony znajomych. Książka opowiada o relacjach między członkami gangu i o tym, co bohater czuje do rodziców.

Chociaż sytuacje, w których się znajdowaliśmy, różniły się od siebie, czułam więź z głównym bohaterem. Nie znosił swojego

życia tak jak ja. Był outsiderem, ponieważ nie cierpiał gangów i wszystkiego, co się z nimi wiązało. Zmuszono go do zostania członkiem jednego z nich. Udawał więc bezwzględnego mordercę, którym nie był.

To była nasza wspólna cecha. Ja udawałam posłuszną muzułmankę i córkę imama, jednak w środku powoli umierałam i pragnęłam wolności. Nie należałam do gangu, ale tkwiłam w społeczności, której nie lubiłam. Im starsza byłam, tym czułam się bardziej wyalienowana. Musiałam też ukrywać to, że jestem wykorzystywana. Ciągle udawałam. To dlatego *The Outsiders* tak do mnie przemawiało.

Moje 29 funtów poszło na te dwie książki. Burmistrz miasteczka wręczył mi je przed kamerami telewizji. To pierwsze książki, które do mnie należały - poza Koranem. Były dla mnie bezcenne. Ukryłam je na szafie.

Miałam nadzieję, że nikt ich tam nie znajdzie, nie ukradnie i nie zniszczy.

Nagroda z angielskiego

Nagroda z olimpiady okazała się niestety jednym z niewielu osiągnięć w szkole, które znalazły się na moim koncie. Zaczęłam gorzej się uczyć. Od czasu, kiedy pierwszy raz założyłam ubrania Sonii, stawałam się też coraz bardziej buntownicza. W szkole objawiało się to na różne sposoby.

Pewnego dnia przebywaliśmy w sali, do której przylegał mały składzik. Nauczyciel wchodził tam czasem po książki i inne przybory. Zauważyłam, że klucz zawsze tkwił w drzwiach i pomyślałam, że można by zamknąć kogoś, kto tam wejdzie.

Tego dnia mieliśmy nową nauczycielkę, młodą kobietę, która miała problemy z opanowaniem klasy. Pod koniec lekcji weszła po coś do składziku. W mgnieniu oka, bez zastanowienia podskoczyłam i zamknęłam drzwi na klucz.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na mnie zdumieni, po czym wybuchli śmiechem. Zawsze byłam grzeczną i cichą uczennicą, nie pakowałam się w tarapaty. Pewnie myśleli sobie: „Rety, co ta Hannan wymyśliła! Cicha woda brzegi rwie”.

Jednocześnie słyszałam uwięzioną nauczycielkę, walącą w drzwi. Nie mogłam pojąć, co zrobiłam, ani nie wiedziałam, co dalej. Czas mijał, a kobieta popadała w coraz większą panikę. Tuż przed dzwonkiem otworzyłam zamek. Wszyscy wybiegli z klasy, by nie było wiadomo, kto to zrobił.

Nauczycielka mnie nie złapała. Wiedziałam też, że nikt na mnie nie doniesie. Jednak na początku następnej lekcji ogłosiła, że wszyscy zostaniemy ukarani, chyba że osoba, która ją zamknęła, przyzna się. Wstałam i powiedziałam, że to ja.

Nie martwiłam się. Wciąż uważałam, że to zabawne, tak jak moi znajomi. Nie chciałam jednak, żeby kogoś poza mną za to ukarano - wtedy przestałby to być dobry żart. Musiałam zostać po szkole i napisać pięćset razy: *już nigdy nie zamknę nauczyciela w składziku*.

Pani Zorba przyszła porozmawiać ze mną o tym, co się stało.

- Podobno zamknęłaś nauczycielkę w składziku - powiedziała. - To do ciebie nie jest podobne. Co się stało?

Nie wiedziałam, co powiedzieć, wruszyłam więc ramionami. Sama nie rozumiałam, czemu to zrobiłam. Chodziło o to, by okazać bunt w jakikolwiek sposób, ale wtedy jeszcze nie byłam tego świadoma. W domu miałam niewiele okazji, by zerwać kaftan bezpieczeństwa, więc robiłam to w szkole, tak jak ze składzikiem. Oczywiście gdybym zrobiła coś takiego w domu, kara byłaby o wiele gorsza niż pisanie w kółko jednego zdania.

Niedługo potem zaczęłam chodzić na wagary. Niedaleko szkoły znajdowała się alejka, w której przesiadywali wszyscy, którzy zerwali się z lekcji. Chłopcy często jeździli autobusem

do centrum, ale dziewczyny nie były tak odważne. Alejka należała więc głównie do nas.

Mało kto poza nami się tu pojawiał, więc zazwyczaj siadałyśmy na schodkach i rozmawiałyśmy. Chłopcy, z którymi dało się poplirtować, pojawiali się rzadko, ale miałyśmy alkohol i papierosy. W sklepiku na rogu bez problemów sprzedawano nam tani cydr czy papierosy po dziesięć pensów za sztukę, mimo że byłyśmy zbyt młode, by je legalnie kupować.

Główną wagarowiczką była Karen. Robiła to od dawna, a jej rodzina najwyraźniej się tym nie przejmowała. Czasem chodziliśmy do niej do domu. Jej rodzicom to nie przeszkadzało. Pozwalali jej nawet palić i czasem dawali papierosy.

Karen i Amanda uwielbiały pić i palić. Kiedyś zapaliłam papierosa, ale nie podobało mi się. Próbowałam też cydru, jednak smakował okropnie. Oczywiście wiedziałam, że w mojej społeczności i religii palenie oraz picie było *haram*, dlatego tak mnie do tego ciągnęło. Ekscytował mnie bunt, to, że mogłam sprzeciwić się rodzicom.

Zazwyczaj listę sprawdzano na pierwszych i ostatnich zajęciach. W tym czasie dało się wymknąć na wagary. Jednak pewnego dnia uruchomił się alarm przeciwpożarowy. Byłyśmy z Karen i Amandą w alejce, więc go nie słyszałyśmy i ominęłyśmy sprawdzanie listy. Od razu zorientowano się, że nie ma nas w szkole.

Kiedy pojawiłyśmy się pod koniec dnia, zaprowadzono nas do zastępcy dyrektora.

- Gdzie byłyście? - spytał. - Dlaczego nie na lekcjach? Wiemy, że nie było was w szkole. Mam nadzieję, że rozumiecie, w jakie kłopoty się wpakowałyście.

Nie chciał jednak usłyszeć odpowiedzi. Wiedział, że wagarowałyśmy. Powiedział, że to pierwsze ostrzeżenie. Następnym razem wylądujemy u dyrektora. Karą za kolejny wybryk byłoby zostawanie przez tydzień po lekcjach, a za następny - uczenie się w specjalnej klasie dla wagarowiczów. Jeśli sytuacja by się powtórzyła, napisano by do naszych rodziców i zawieszono na jakiś czas. Gdyby to nic nie dało, wyrzucono by nas ze szkoły.

Znalazłam proste rozwiązanie. Ponieważ rodzice nie umieli mówić ani pisać po angielsku, zawsze sama pisałam sobie zwolnienia. Odkryłam, że mogę to robić, żeby ukryć swoje wagarowanie. Nauczyciele nie mogli sprawdzić, czy były autentyczne, bo nie mieli jak porozumieć się z rodzicami. W przeciwieństwie do Amandy i Karen miałam kartę „wychodzisz z więzienia”.

Jednak moje problemy nie dotyczyły wagarowania. Coraz bardziej obawiałam się powrotów do domu. Nie znosiłam obowiązków domowych i bałam się, co zrobi mi tata, jeśli tylko go „sprowokuję”. Moi znajomi wagarowali, żeby nie spędzać czasu w szkole - ja wolałabym urządzić sobie wagary od domu.

Czasami bałam się tak bardzo, że zostawałam po lekcjach. Zwłaszcza w przypadku zajęć z panią Zorba, bo jej ufałam. Nauczycielka pakowała swoje rzeczy lub wycierała tablicę, a ja nadal siedziałam w ławce. Za którymś razem w końcu zauważyła, że zostałam.

- Hannan, co tu jeszcze robisz? Nie wracasz do domu?
- Wracam - wymamrotałam. - Chociaż wolałabym nie musieć tego robić.
- Dlaczego? - spytała łagodnie.
- W domu jest strasznie. Nienawidzę tam wracać.

Pani Zorba chciała, żebym wytłumaczyła dlaczego. W końcu wyznałam jej część prawdy.

- Rodzina traktuje mnie jak służącą. Muszę gotować, pracować, sprzątać... Jestem zmęczona i mam tego dość.

Czasem rozmawiając z panią Zorba, wybuchałam płaczem. Była bardzo miła i pełna współczucia. Dawała mi chustkę do otarcia łez. Chciała mi pomóc, ale nie wiedziała, jak wygląda życie w mojej społeczności, z moimi rodzicami. Sugerowała, żebym usiadła z mamą i tatą i powiedziała, co mi doskwiera. Jasne!

Nie chciałam mówić nauczycielce, jak naiwne i nieprzydatne są jej rady. Z jej perspektywy były pewnie rozsądne, ale w mojej sytuacji całkowicie nietrafione. Próba przeprowadzenia szczerzej rozmowy z rodzicami skończyłaby się dla mnie przemocą. Gniew ojca nie znałby granic.

Powiedziałam pani Zorbie, że zastosuję się do jej rad, ale kłamałam. Im dziwniej się zachowywałam i im więcej wagarowałam, tym bardziej się o mnie martwiła. W końcu zrozumiała, że w moim domu muszą dziać się złe rzeczy. Siedziałam w jej klasie po lekcjach, kiedy zdecydowała się dotrzeć do sedna sprawy. Podeszła i usiadła koło mnie.

- Hannan, bardzo się o ciebie martwię - powiedziała. - W domu dzieje się coś złego, tak? Dlatego nie chcesz tam wracać. Powiedz mi. Nie będę w stanie pomóc, jeśli nie dowiem się, o co chodzi.

Zaczęłam płakać. Nie mogłam przecież przyznać się do tego, że jestem wykorzystywana. Co by sobie o mnie pomyślała? Czułaby odrazę i obrzydzenie. Moja ulubiona nauczycielka odwróciłaby się ode mnie.

- Mój tata nie jest dla mnie dobry - zatkałam. - Czasem bije...
- Tak mi przykro, Hannan - pocieszała mnie pani Zorba.
- Rodzice nie powinni krzywdzić dzieci. Coś poza tym?

Nic nie odparłam. Co miałam powiedzieć? Nie przestawałam płakać.

- Posłuchaj, Hannan, chcę o tym porozmawiać z zastępcą dyrektora. Mogę?

- Nie, proszę nikomu nic nie mówić.

Nie chciałam, by pani Zorba o tym z kimś rozmawiała, bo bałam się, że ojciec się dowie. Nie wiem, co by zrobił, gdyby domyślił się, że opowiadał o tym, jak mnie krzywdzi. Wydawało mi się, że ojciec jest wszechpotężny, jeśli chodzi o kwestie mojej rodziny i społeczności. Był głową rodziny i imamem - jak miałam mu się sprzeciwić?

Pani Zorba głęboko westchnęła, po czym oznajmiła:

- Hannan, przykro mi, ale muszę mu powiedzieć. Nie wolno mi trzymać tego w tajemnicy. Jestem nauczycielką. Jeśli uczennica jest tak zdenerwowana, to oznacza to, że dzieje się coś złego. Muszę to zgłosić, zwłaszcza jeśli podejrzewam, że coś grozi tobie lub twoim bliskim.

Nie mogłam powiedzieć, czemu nie chcę, by komukolwiek o tym opowiadała, a jednocześnie nie miałam jak jej powstrzymać. Tego wieczoru, gdy zdenerwowana wracałam do domu, ona rozmawiała z zastępcą dyrektora. Poprosiła, bym poszła z nią, lecz odmówiłam. Następnego dnia opowiedziała mi, co zaszło. Uznali, że powinnam spotkać się z kimś z opieki społecznej.

Pani Zorba widziała małą dziewczynkę, przerażoną perspektywą powrotu do domu, do gwałtownego ojca, ale z pewnością

podejrzewała, że oprócz bicia dzieje się coś jeszcze. Oznaki tego były widoczne dla kogoś, kto wiedział, czego szukać. A poprzedniego wieczoru powiedziała coś, co sugerowało, że się domyśla: „Czy to wszystko, Hannan?”. Miała nadzieję, że otworzę się przed pracownikiem opieki społecznej. Jednak mnie to przerażało.

- Nie mogę rozmawiać z nikim innym, proszę pani! Będę mieć kłopoty! Chciałam porozmawiać tylko z panią.

- Hannan, posłuchaj, nie będziesz mieć kłopotów. Ci ludzie zajmują się tym zawodowo, możesz im wszystko opowiedzieć. Często pomagają nastolatkom. Umieją dotrzymać tajemnicy. Będzie dobrze.

Słowa pani Zorby uspokoiły mnie, więc się zgodziłam. Tydzień później zostałam wezwana po obiedzie do zastępcy dyrektora. Czekał tam na mnie pracownik opieki społecznej. Byłam tak zdenerwowana, że nie powiedziałam nikomu ze znajomych, co się dzieje. Udałam się do gabinetu, czując, że mam nogi jak z ołowiu.

Czekając, trzęsłam się. Czułam się niedobrze. Jednak jakaś część mnie chciała z kimś o tym porozmawiać. Szukałam drogi wyjścia. Może ją znalazłam? Może mogłam nareszcie zrzucić brzemień brudu, wstydu i winy? Być może ten człowiek udzieli mi pomocy?

Po chwili przyszedł po mnie zastępca dyrektora i zaprowadził do pokoju pedagogicznego.

- Hannan, to pracownik opieki społecznej - powiedział, wskazując w kierunku osoby stojącej pod oknem. - Ma na imię Omer.

Poczułam, jakby uderzono mnie w brzuch. Złapałam się biurka, zrobiło mi się ciemno przed oczami. Patrzyłam w kierunku mężczyzny. Nie mogli przecież... A jednak - Omer, mój rzekomy wybawiciel, był pakistańskim muzułmaninem.

Wiedziałam to, kiedy tylko usłyszałam jego imię, a wygląd to potwierdzał. Omer pochodził z mojej społeczności, mojego plemienia. Nie rozpoznawałam go, ale nie musiałam. Był jednym z nas, a to wystarczyło, żebym zaczęła odczuwać lęk przed Bogiem albo, co gorsza, strach przed ojcem.

Omer miał na sobie dżinsowe spodnie i koszulę. Był wysoki, miał zarost i wyglądał na trzydziestolatka. Jego wygląd wskazywał na to, że przyjął obyczaje Zachodu.

- Cześć - przywitał się i uśmiechnął. Nazywasz się Hannan, prawda? Jestem Omer. Przyjechałem z placówki w południowym Bermford.

Południowe Bermford. To niedaleko. Z pewnością znał mego ojca. Spanikowałam. Co robić? Powiedzieć, że zaszła pomyłka? Układałam sobie w głowie treść wypowiedzi: „W domu nie dzieje się nic złego. Nauczyciele się pomylili. Moje życie rodzinne to sielanka, tylko się wygłupiałam”.

Liczyłam na spotkanie z kimś białym lub chociaż spoza mojej społeczności. Nie spodziewałam się, że przyślą pakistańskiego muzułmanina i to w dodatku mieszkającego w okolicy. Jak oni na to wpadli? Czyżby pomyśleli, że przysłanie kogoś wywodzącego się z tego samego kręgu kulturowego ułatwi mi sprawę? Było wręcz odwrotnie. Sprawdził się najgorszy możliwy scenariusz. Byłam przerażona.

Myśli te bombardowały mnie jedna po drugiej. Czułam się chora ze zdenerwowania. Nagle zdałam sobie sprawę, że Omer przygląda mi się ze zdziwieniem.

- Hannan? Słyszałaś, co mówiłem? - spytał.

- Nie, przepraszam. Słucham? - wybełkotałam.

- Zapytałem, czy dobrze się czujesz - powtórzył Omer. - Jesteś biała jak płótno. Nie jestem strasznym duchem, tylko pracownikiem opieki społecznej. Nie masz się czego bać.

Pomyślałam, że jest wręcz przeciwnie. Jednak nic nie powiedziałam.

- Nauczyciele mówią, że masz problemy w domu - zaczął Omer, po czym znowu się uśmiechnął. - Jakie to problemy?

Starał się zachęcić mnie do zwierzeń. Przemawiał łagodnym głosem i dużo się uśmiechał, co sprawiło, że po chwili trochę się rozluźniłam. Być może niesłusznie oceniłam go tak ostro. Pomyślałam, że w naszej społeczności jest wielu dobrych ludzi. Może mogę mu zaufać.

Omer spytał, czemu nie chcę wracać do domu po szkole. Powiedziałam mu, że jestem zmuszana do zajmowania się domem i traktowana jak niewolnik. Dodałam, że nie znoszę swojego życia. Wyznałam też, że mój tata jest bardzo surowy i konserwatywny, że boję się, że zostanę wysłana do Pakistanu i zmuszona do małżeństwa.

Podejrzewałam, że przygotowują mnie do ślubu z kuzynem mamy. Widziałam wcześniej jego zdjęcie. Był rolnikiem z wioski w Pakistanie. Mama zażartowała kiedyś, że zdecydowali, że to jego poślubię. Pomyślałam: „Może teraz tylko żartujesz, ale pewnie to prawda”. Opowiadała, że jest przystojny

i doskonale nadaje się na męża. Ledwo rzuciłam okiem na zdjęcie.

W naszej społeczności dziewczynki wydawało się za męża jak najwcześniej, żeby nie „zhańbiły” rodziny, zakochując się. Sam pomysł, by wychodzić za męża z miłości, był szczytem „hańby” gdyż oznaczało to, że dwie osoby łączyły wcześniej „nieodpowiednie relacje”. Aby się zakochać, trzeba najpierw poznać daną osobę. „Honorowo” było nie utrzymywać kontaktów przed ślubem.

Rodzice chcieli pozbyć się córek tak bardzo, że dodatkowo obiecywali panu młodemu posag. Często mężczyzna dostawał pieniądze, młodą, dziewiczą, brytyjską pannę młodą i bilet do Wielkiej Brytanii. Mieszkał z nią i jej rodziną, ucząc się angielskiego i szukając pracy. Przeważnie nie miał kwalifikacji i był niepiśmienny. Nie miał szans na dobrą pracę, a rodzice uznawali go za „wspaniały materiał na męża”, natomiast ślub organizowano w imię „honoru”.

W Pakistanie dochodziło też do morderstw dla posagów. Jeśli rodzice nie byli w stanie zaoferować posagu, mordowali córkę, by rodzina nie została „zhańbiona”. Słyszałam takie historie i opowiedziałam o nich Omerowi, ale ten mnie naciskał. W końcu znalazł mój słaby punkt.

- Ale czego się boisz, Hannan? Nauczycielka powiedziała mi, że obawiasz się wrócić do domu. Ukrywasz coś przede mną?

- On... on mnie bije - wymamrotałam.

- *Ojciec?* Stosuje wobec ciebie przemoc? I w ten sposób zmusza cię do robienia tego, czego nie chcesz, jak na przykład do małżeństwa? Tak?

- Tak.

Nie wchodziłam w szczegóły. I tak kończył nam się czas. Omer miał dla mnie tylko godzinę.

- Wrócę tutaj za tydzień, by kontynuować rozmowę
- zapewnił mnie. - Opowiesz tyle, ile będziesz chciała.

Rozmawianie o tym, nawet w tak ograniczonym zakresie, było dziwne. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Tego popołudnia wróciłam do domu pogrążona w myślach. Omer wydawał się miłym człowiekiem. Być może zgodzę się z nim dalej rozmawiać. Poszłam do kuchni. Mama kazała mi zrobić herbatę z ciastkami i zanieść ją do salonu taty, bo ten przyjmował gości.

Przygotowałam tacę jak zawsze. Pogrążona w myślach zapukałam i weszłam do salonu. Na sofie obok taty siedział Omer. Zauważył mnie i uśmiechnął się. „Znowu ten uśmiech” - pomyślałam. Zachowywał się tak, jakby naturalne było, że siedzi tu i rozmawia z moim ojcem.

Zmroziło mi krew w żyłach. Ogarnęło mnie przerażenie. Kiedy odkładałam tacę, ręce mi się trzęsły. Wycofałam się z pokoju i potknęłam o dywan. Pobiegłam spanikowana na górę. Co mogłam zrobić? Uciec? Ale dokąd? Wziąć tabletki? Połknąć wszystkie i osunąć się w nicość?

Może przesadzałam. Może Omer wciąż był po mojej stronie i nie wspomniał nawet tacie, że ze mną rozmawiał. Mógł stwierdzić, że to rutynowa wizyta, a tak naprawdę chciał się tylko rozejrzeć. Być może to wyjdzie mi jeszcze na dobre.

Nie miałam dużo czasu na zastanawianie się. Ktoś zawołał mnie z parteru. Był to mój ojciec. Zeszłam na dół, trzęsąc się ze strachu. Tata stał w salonie z wyrazem twarzy świętego, który musi użerać się z wyrodną córką. Wiedziałam, co się stało.

Omer powtórzył mu, co powiedziałam, a ten odgrywał przed nim świętego męża. Na pewno stwierdził, że kłamie, a pracownik społeczny uwierzył mu lub nie dbał o to.

- Hannan, powiedziałem ojcu, co mówiłaś - zaczął Omer.
- Wszystkiemu zaprzecza. Zapewnia mnie, że omówi z tobą kwestię małżeństwa. Dodał, że nawet nie śniłoby mu się uderzyć którąś z córek.

Byłam w takim szoku, że z trudem oddychałam. To jakiś koszmar. Nie potrafiłam wydusić z siebie słowa. Co mogłam powiedzieć:¹ Omer i mój ojciec, pakistański muzułmanie, dogadali się. Była to najgorsza zdrada.

Omer zwrócił się do ojca:

- Jeśli o mnie chodzi, to koniec sprawy. Przykro mi, że pana niepokoiłem. W głębi duszy to z pewnością dobra dziewczyna.

Wszystko było jasne. Omer chciał chronić imama i honor społeczności. Ja go nie obchodziłam. Uścisnął rękę taty, ponownie uśmiechnął się do mnie i wyszedł. Ojciec odprowadził go do drzwi.

Po chwili wrócił i wpadł w szał. Uderzył mnie w klatkę piersiową, a potem jeszcze raz i jeszcze. Drugi cios sprawił, że upadłam, ale nic to nie zmieniło. Zasypał mnie gradem kolejnych ciosów i kopnięć.

Zwinęłam się w kłębek. Nie miałam jak się bronić. Mama była w kuchni i pewnie słyszała, co się dzieje, ale wiedziałam, że nic nie zrobi. Znowu zdana byłam tylko na siebie.

- Jeśli kiedykolwiek powiesz o tym komuś, zabiję cię! - wysyczał, a na jego twarzy malowało się czyste zło. - Zabiję cię z radością. Ty głupia, przeklęta, bezwartościowa, zła dziewczyno!

Złapał mnie za włosy i zaciągnął do kuchni. Otworzył drzwi do piwnicy i zepchnął mnie na dół. Obolała wylądowałam na ceglanej podłodze. Wiedziałam, co się stanie, i błagałam go, by tego nie robił. Jednak chwilę później zdarł ze mnie ubranie. W ciemności rozebrał mnie do naga, pobił i skopał, a potem zgwałcił.

Skończył ze zwierzęcym jękiem. Wstał z mojego pogruchochanego ciała. Jednak nie był to koniec. W rogu leżał brudny drut. Tata chwycił go i obwiązał nim moje nadgarstki i kostki. Następnie pociągnął, wyginając mi ręce i nogi do tyłu w kształt litery „u”. Czułam, jakby ramiona miały mi wypaść ze stawów.

Nie pierwszy raz to zrobił. Byłam nastolatką, nie mógł mi już sprawić bólu samymi gwałtami. Związywał mnie więc na kilka godzin. Zagryzałam usta, czując smak krwi. Starłam się nie krzyczeć. Nie chciałam, by widział mój ból.

Oczy wypełniły mi się łzami, jednak usiłowałam je powstrzymać. Zdusiłam łkanie. Wiedziałam, że sprawianie mi bólu daje mu radość. Kiedy zmęczył się torturami, wszedł na górę po schodach. Przez otwarte drzwi błysnęło światło. Oświetliło ciemną piwnicę niczym reflektor, po czym drzwi zamknęły się. Usłyszałam chrobot klucza. Po chwili zapadła cisza, a ja zostałam sama w mroku.

Błagałam Ptaki Samotności, by do mnie przybyły. Nagle zobaczyłam rozbłysk promieni słońca i usłyszałam trzepotanie. Przyleciały! Moje ukochane białe gołębie. Przybyły na ratunek, aby zabrać mnie z tego miejsca pełnego brudu i strachu do jasnego, radosnego azylu - na lawendowe pola.

Chwilę później ocknąłam się. Wszędzie miałam siniaki i zadrapania. Bolało mnie wszystko, lecz najbardziej serce i dusza. Jak zwykle tata był sprytny - nie uderzał w twarz. Bił w klatkę piersiową, ręce i nogi. *Salwar kamiz* skutecznie zasłaniał siniaki pokrywające moje ciało.

Tak naprawdę nikt nie miał okazji oglądać mnie przez jakiś czas. Zostałam zamknięta w piwnicy na parę dni, mimo że kończył się semestr i powinnam być w szkole.

Czasem mama przynosiła mi talerz curry. Podawała mi go ze spuszczoneymi oczami, a potem wracała na górę do gotowania czy prania. Nie chciała nic wiedzieć. Ignorowała to, kim stał się jej mąż, imam, oraz mrok i zło czające się w sercu jej rodziny.

Siedząc w piwnicy, zrozumiałam, że nie mam drogi ucieczki. Próbowалаm szukać pomocy, a otrzymałam najpierw Omera, a potem to. Myślałam o wzięciu tabletek. Jeśli chciałam przeżyć, musiałam zamknąć się w sobie. Nie mogłam zostawać dłużej w szkole. Nie miało to sensu i było niebezpieczne. Gdyby znowu wezwano tego drania z opieki społecznej, a ten zgłosiłby to ojcu, znowu czekałoby mnie piekło.

Wiedziałam, że nauczyciele uznali, że wyświadczą mi przysługę. Z powodu „wrażliwości kulturowej” sprowadzili kogoś z mojej społeczności, kto miał lepiej mnie zrozumieć. Nie wiedzieli jednak, że tylko ktoś z innego plemienia może zapewnić mi pomoc i azyl, których desperacko potrzebowałam.

Nie winałam pani Zorby ani zastępcy dyrektora. Za to potwornie nienawidziłam Omera. Miałam zamiar powiedzieć mojej nauczycielce, że nie chcę go więcej widzieć. Moje

wołanie o pomoc skończyło się zdradą i ponownym pogrążeniem w mroku. Pora zamknąć się i przetrwać. To albo tabletki.

Tydzień później byłam w szkole i kogo zobaczyłam na korytarzu? Oczywiście Omera.

- Hannan! - krzyknął. - Mieliśmy się spotkać. Co ty na to? Mam wolną godzinę po południu.

- Nie, dzięki - potrząsnęłam głową.

- Dlaczego? Nie chcesz już rozmawiać?

- Nie, bo straszny z ciebie sukinsyn.

Spojrzałam mu w oczy. Najego twarzy odmalował się szok.

- Robiłem tylko to, co uważałem za słuszne. Nie powinno się zdradzać społeczności...

- Nie zbliżaj się do mnie więcej - wtrąciłam. - Wiesz co? Jesteś gówniany w tym, co robisz. Zupełnie do dupy.

Nie czekałam na odpowiedź. Odwróciłam się i odeszłam. Dla takich jak on honor społeczności był ważniejszy od praw jednostki, nawet dziecka. Tego właśnie nie rozumieli angielscy nauczyciele. Myśleli, że wzywając do mojej sprawy Azjatę, wykazują się „wrażliwością kulturową”.

A tak naprawdę wepchnęli mnie z powrotem w łapy oprawcy.

Brudna, mała ja

Miałam piętnaście lat i zbliżałam się do egzaminów GCSE*. Byłam też coraz bardziej zdesperowana. Czułam się wykluczona z życia rodzinnego, którego zresztą nie nawidziałam. Nie miałam prawie żadnego kontaktu z domownikami. Buntowałam się przeciw swojej kulturze i religii. Żyłam dla szkoły, która dawała mi namiastkę wolności. Jednak niebawem moja edukacja miała dobiec końca.

Wiedziałam, że tata aranżuje dla mnie małżeństwo. Po zdaniu egzaminów zostanie wysłana do kuzyna do Pakistanu. Po problemie. Moje życie dobiegnie końca, a tata pozbędzie się buntowniczej córki. To samo przydarzyło się wielu dziewczynom z naszej ulicy. W wakacje, po zdaniu GCSE, po prostu zniknęły. Nigdy już ich nie widziałyśmy.

Jednak w mojej rodzinie chodziło o coś więcej. Dla ojca był to idealny sposób, by ukryć fakt, że mnie wykorzystywał. Nigdy

*** General Certificate of Secondary Education - egzaminy dotyczące konkretnych przedmiotów, przeważnie pisane przez uczniów w wieku 14 - 16 lat, uprawniające do dalszej edukacji w szkolnictwie średnim (przyp. tłum.).**

nie opowiedziałabym o tym, ukryta w domu „męża” w wiosce w Pakistanie. Uszłoby mu to na sucho. A dla mamy znaczyło to, że mrok spowijający jej rodzinę zniknie. Nie będzie musiały już przemykać na to wszystko oka i wyzwoli się od poczucia winy.

Moi rodzice nie wspominali nic o małżeństwie, ale byłam pewna, że snują takie plany. W szkole nie szło mi najlepiej, a mama i tata zapowiedzieli, że nie pójdę na uniwersytet. Twierdzili, że to nie dla Pakistanek, tylko dla chłopców. Nie kłóciłam się z nimi, bo nie mogłam. Siedziałam cicho, mając nadzieję, że coś się zmieni.

W tym okresie w wiadomościach pojawiła się historia Brytyjki, którą zmuszono do małżeństwa w Pakistanie. Zdołała zyskać pomoc brytyjskiej Wysokiej Komisji i uciec. Było o tym bardzo głośno. Moje przyjaciółki były przerażone.

- Boże, to straszne! - skomentowała Lara. - Jak można wyjść za kogoś, kogo się nie zna i nie kocha?! Wyobraźcie sobie tylko! Faj! To okropne!

- Nie muszę sobie wyobrażać - odparłam cicho.
- Przydarzyło się to mojej znajomej, Skip.

- Co? Komu? W naszym miasteczku czy w Pakistanie?
- dopytywała Lara, nie mogąc w to uwierzyć.

- Tutaj. Mieszkała na mojej ulicy. Wysłali ją do Pakistanu na „wakacje” i zmusili do małżeństwa.

- Jak mama i tata mogą zrobić coś takiego córce? - spytała Lara. - Dlaczego nie kazała im spadać?

- To część naszej kultury - odparłam gorzko. - Robią to, by zadbać o „honor” rodziny. Dla rodziców to ważniejsze od szczęścia córki.

- O rety... Ciebie też to czeka? Powiedz, że nie.

Wzruszyłam ramionami i odparłam:

- Pewnie tak. Podejrzewam, że już niebawem...

- To niemożliwe! - wykrzyknęła. - Nie możesz się na to zgodzić. Musisz coś zrobić. Porozmawiaj z rodzicami! Powiedz im, że nie chcesz!

- Nie rozumiesz, Laro - westchnęłam. - Nie mam po co z nimi rozmawiać. Tylko pogorszę sprawę.

Lara i inni moi biali znajomi nie mogli zrozumieć, że rodzice są w stanie zrobić coś takiego dziecku. Na lekcjach religii uczono ich, że Azjaci często brali zaaranżowane śluby z posagiem. Ale w tym przypadku było to coś innego. Chodziło o mnie. Lara dowiedziała się, że jedną z jej przyjaciółek czeka zaaranżowane małżeństwo, co sprawiło, że zrozumiała, jakie to niesprawiedliwe.

Na poprawnych politycznie lekcjach mało mówiono o mrocznej, mizoginistycznej stronie aranżowanych małżeństw. Opowiadano o tym, jak o obyczaju, który może wydawać się dziwny, ale należy go traktować z szacunkiem. Prawda, która często równoznaczna była z pogwałceniem podstawowych praw kobiety, ukrywana była pod płaszczykiem politycznej poprawności.

Uważałam, że jeśli obie strony chcą zaaranżowanego małżeństwa, to nie stanowi to problemu. Jednak sprzeciwiałam się zmuszaniu do ślubu. Słyszałam o Pakistankach, które uciekały przed takimi właśnie małżeństwami, jednak „hańbiły” tym niedoszłych mężów, więc musiały się ukrywać. Gdyby taka buntownicza została złapana przez wystawionego do wiatru mężczyznę, jego rodzinę lub nawet przez własnych krewnych,

zginęłaby. W tym pokręconym świecie śmierć córki była lepsza niż „dyshonor”.

Widziałam, jak Skip, moja buntownicza przyjaciółka, zostaje zwabiona w tę pułapkę i cudem jej unika. Wiedziałam też, że mój ojciec coś knuje i że zbliża się dzień kolejnej zdrady. Podświadomie dążyłam do konfrontacji, zaczęłam poszerzać granice swojego buntu.

Od kilku lat nosiłam w dni bez mundurka ubrania pożyczone od Sonii. Robiłam to coraz swobodniej. Pewnego dnia zdecydowałam przejść tak po naszej ulicy - w dżinsach, T-shircie i bez hidżabu. Wiele osób zobaczyło mnie i rozpoznało. Widziałam szok i konsternację, malujące się na ich twarzach. Czułam radość z buntu oraz strach.

Oczywiście ktoś doniósł tacie, co się stało. Przebrałam się u Sonii i wróciłam do domu. Tam czekał na mnie gniew ojca.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnął.

Chwycił mnie za włosy, wykręcając je, i krzyczał dalej:

- Ubrania *gora!* Stajesz się taka jak oni!

Zaczął mnie bić.

- Ciało! Pokazujesz swoje ciało! Jak dziwka *goril*

Zakir był już dorosły i równie silny co ojciec. Wiedziałam, że o tej godzinie jest już w domu - jak w każdy piątek. Z pewnością słyszał krzyki i ciosy ojca. Jednak nikt nie interweniował, nawet kiedy ten zaczął wlec mnie do piwnicy.

Illekróć mnie gwałcił, łączył to z biciem. W ten sposób uzasadniał, że to „kara”, a nie spełnienie jego chorych, perwersyjnych zachcianek. Byłam zamknięta w piwnicy do poniedziałku, tracąc kolejny dzień szkoły i gnijąc w moim mrocznym więzieniu.

Po wypuszczeniu nie poszłam prosić braci o pomoc. Nie miałam z nimi takiej więzi. Przez ostatni rok odcinałam się coraz bardziej od rodziny. Lepiej czułam się w szkole ze znajomymi, gdzie nie groziło mi wykorzystywanie ani bicie. W domu czułam się obca i zagrożona.

Dreńczyła mnie przeszłość, przerażała teraźniejszość i bałam się przyszłości. Moje zachowanie pogarszało się. Kiedyś byłam wzorową uczennicą, teraz - zamkniętą w sobie nastolatką, z kiepskimi ocenami i skłonnością do przemocy.

Pewnego dniajechałam autobusem z Sabina, moją grzeczną siostrzyczką, kiedy inna pakistańska dziewczyna, Sameena, zaczęła ją zaczepiać. Była zeuropeizowana i nie podobało jej się tradycyjne ubranie Sabiny - *salwar kamiz* i hidżab.

- Prawdziwa *paki* - odezwała się tamta z pogardą.
- Dlaczego się tak ubierasz? Nie chcesz wyglądać jak reszta z nas? Co za kpina.

Spojrzałam na siostrę. Nic nie mówiła. Nie wiedziałam, czemu się nie broni.

Sameena kontynuowała:

- Wyglądasz głupio. Po co się tak ubierasz?

Podeszłam do niej i powiedziałam:

- Mam dość tego, że przezywasz moją siostrę. Przestań albo cię dorwę.

Sameena zaśmiała się i rzuciła:

- Sama powinnaś jej przygadać. Wygląda jak wieśniara. Ma okropne ciuchy. Patrz najej durną chustę!

Zanim zrozumiałam, co robię, moja pięść uderzyła w jej twarz. Ostatni raz stanęłam w czyjejs obronie, kiedy nakrzyczałam

na tatę, że bije mamę, a było to dziesięć lat temu. Sameena zaczęła ciągnąć mnie za włosy i drapać po policzku. Walczyłyśmy całą drogę do szkoły. Nikt nie mógł nas rozdzielić. Kiedy dotarłyśmy na miejsce, wezwano nauczycieli.

Odesłano nas do klas. Później wezwał nas zastępca dyrektora i porządnie zbeształ. Na czas przerwy obiadowej posłano nas do kozy i kazano pisać: *Me będę wszczynać bójkę w autobusie...*

Nie miało to wpływu na Sameenę. Dalej dręczyła moją siostrę, a ja się z nią biłam. Sabina zaś nie znosiła tego, że jej bronię.

- Pogarszasz tylko sprawę i pakujesz się w tarapaty
- powiedziała.

Wciąż mnie karano. Jednak uznałam, że muszę powstrzymać Sameenę. Sabina była stłamszona i nigdy się nie broniła. Uznałam, że potrzebuje obrończyni, mimo że sama się tego wypierała. Przy pierwszych kilku bójkach znajome popierały mnie. Jednak z czasem zaczęły twierdzić, że przesadzam:

- Daj spokój, Hannan, albo zgłoś to nauczycielom, żeby mogli coś zrobić. Nie możesz sama się tym zajmować. Wpadniesz w kłopoty - stwierdziła Lara.

Jednak nie mogłam przestać. Miałam obsesję na punkcie Sameeny. Przerodziło się to w prawdziwą wendetę. Miałyśmy równe szanse. Jej paznokcie powodowały u mnie zadrapania, a ja kilka razy podbiłam jej oko. Jednak zawsze przerywali nam nauczyciele, więc nie doszło do decydującego starcia. Trwało to przez kilka miesięcy. Biłyśmy się przynajmniej raz na cztery tygodnie. Przeszkadzało mi to w nauce, jej niewątpliwie też.

W końcu zaciągnięto mnie do dyrektora.

- Dlaczego się bijecie? - spytał. - Co się tu dzieje? Dlaczego tak bardzo się nienawidzicie?

Na początku nie chciałam mówić. Jednak w końcu to ze mnie wyciągnął:

- Dręczy moją siostrę. Nazywają *paki* i mówi, że nosi durne ubrania.

Dyrektor wezwał Sameenę i moją siostrę, aby potwierdzić to, co usłyszał. Sabina przyznała, że mówię prawdę, i opisała przypadki gnębienia jej. Sameenę zawieszono, co zakończyło naszą wojnę.

Dla mnie była to walka zastępcza. Nie mogłam bronić się w domu, więc próbowałam ochraniać Sabinę. Mój gniew, który powinnam skierować przeciw ojcu, znalazł ujście w bójkach z Sameeną. Dziewczyna oczywiście zachowywała się źle, ale mi chodziło raczej o uwolnienie gniewu poprzez przemoc. Sameena była po prostu łatwym celem.

Pani Zorba widziała, że opętał mnie ból i zamęt. Pewnego dnia zwróciła na to uwagę.

- Hannan, widzę, że nie potrafisz wyrazić swoich uczuć - powiedziała. - Może napisz dla mnie esej? Potraktuj go jak normalną pracę, napisz, co cię dręczy.

Zatytułowałam go *Azjatyckie dziewczyny w Brytanii*.

Kiedy jest się nastolatką, rodzice bacznie cię obserwują i nie zostawiają swobody. Zaczynasz ich nienawidzić, bo zmuszają cię do okropnych rzeczy. Każą ci zajmować się całym domem, mimo że tego nie znosisz. Chcą pielęgnować tradycje. Nie pragną zmienić tego, jak żyją. Nie możesz z nimi rozmawiać, bo odbiorą ci resztkę

swobody, jedyna wolność czeka na ciebie w szkole, ale mogą zabronić ci tam chodzić, mimo że to wbrew prawu. Gardzisz braćmi, gdyż mają większe możliwości niż ty. Musisz im usługiwać, jakby byli królami. Boisz się skończyć szkołę, bo wtedy skończy się życie. Stracisz resztkę wolności. Myśl o ucieczce przebiega ci codziennie przez głowę.

Pani Zorba postawiła mi za niego piątkę. Jednak kiedy go przeczytała i zdała sobie sprawę z moich problemów, znowu chciała mi pomóc. Spytała, czy zechcę ponownie spotkać się z pracownikiem opieki społecznej. Powiedziałam, że prędzej umrę. To był koniec sprawy. Pani Zorba nie mogła zrobić nic ponad to.

Zbliżałam się do szesnastych urodzin, a mój lęk narastał. Pewnego dnia Sabina znalazła na stole papiery paszportowe na moje nazwisko. Powiedziała mi o tym. Odkąd broniłam jej w szkole, stała się dla mnie nieco miłsza. Mimo to nie darowała sobie drwin.

- Tata wyśle cię do Pakistanu - droczyła się. - Mam nadzieję, że się cieszysz. Niedługo poznasz swojego męża...

Nie chciała być mściwa. Droczyła się ze mną tylko jak dziecko. Bardzo się od siebie różniłyśmy. Była konformistką i uwielbiała nosić tradycyjne ubrania. Cieszyła się, że zaaranżują dla niej małżeństwo. Twierdziła, że z radością zamieszkałaby w Pakistanie. Tworzyło to między nami przepaść.

Nie powiedziałam nic, kiedy przekomarzała się ze mną, mówiąc o „pakistańskim mężu”. Nie byłam zaskoczona. Od dawna wiedziałam, że to się stanie. Miałam zamiar z tym walczyć, ale nie wiedziałam jak. Wciąż trzymałam w pokoju

pigułki - paracetamol, aspirynę i wszystko, co zdołałam zgromadzić. W pewien sposób ich posiadanie dodawało mi otuchy.

Sabina nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo boję się zaaranżowanego małżeństwa. Nie wiedziała też, co gotowa jestem zrobić, by od niego uciec.

Panna młoda w potrzasku

W maju obchodziłam szesnaste urodziny. Nie był to dla mnie szczęśliwy czas. Byłam wręcz bliska samobójstwa. Podeszłam do GCSE i czułam, że źle mi poszły. Podejrzywałam, że będę mieć tragiczne wyniki, co tata uzna za powód do odesłania mnie do Pakistanu.

Rzeczywiście, moje wyniki były tragiczne - dwie trójce, kilka dwójek i jedynek. Najlepiej poszło mi z angielskiego, z którego dostałam czwórkę. Jednak nic dziwnego, że tak to się skończyło, zważywszy na to, że ostatni rok w szkole spędziłam na wagarowaniu i bójkach. Niewiele się uczyłam.

Jednak złożyłam podanie do collegeu o powtórzenie egzaminów. Zrobiłam to bez wiedzy rodziców. Tego lata mieli tam dzień otwarty, a ja chciałam pójść i zobaczyć, co mogłabym studiować. Z moimi ocenami możliwości były zawężone, ale nie traciłam nadziei. Spytałam mamę, czy mogę mieć dzień wolny od obowiązków domowych. Ku mojemu zdziwieniu zgodziła się. Chyba nawet nie wspomniała o tym ojcu.

Okazało się, że bez ocen w granicach między piątką a trójką nie mogę kontynuować edukacji. Pozwolono mi jednak powtórnie podejść do egzaminów. Zdecydowałam, że tak zrobię i dalej będę się uczyć matematyki, religii, socjologii i zarządzania. Przeżyłam ogromny szok, kiedy tata zgodził się na to, bym poszła do collegeu. Jak gdyby nie robiło mu to różnicy. Zastanawiałam się, o co chodzi.

Nie mogłam w to uwierzyć, kiedy nadszedł wrzesień i zaczęły się moje pierwsze zajęcia w South Bermford Sixth Form College. Spodziewałam się, że w tym czasie będę już „przykuta do męża” w Pakistanie. Sabina powiedziała nawet, że słyszała, jak rodzice omawiają szczegóły małżeństwa. Mimo to pozwolili mi pójść do collegeu. Czy oznaczało to, że mam jeszcze dwa lata spokoju? A może chcieli mnie czymś zająć, jednocześnie wprowadzając swój plan w życie? Tego nie wiedziałam.

Moje koleżanki, Lara i Amanda, poszły do Bermford Technical College poznawać tajniki zawodu sekretarki, uczyć się gotowania, opieki nad dziećmi i innych „zawodowych” przedmiotów. Karen zaś została sprzedawczynią w sklepie.

Pierwszego dnia poznałam wykładowczynię, która stała się moją ulubioną nauczycielką - panią Jones. Uczyła religii. Była wysoką kobietą po czterdziestce z krótkimi, modnie obciętymi włosami w kolorze piasku. Zawsze elegancko ubrana ujęła mnie swoją charyzmą i dojrzałym pięknem.

Pani Jones była bardzo miłą i troskliwą osobą. Otwarcie mówiła na lekcjach o swojej rodzinie i często rozpoczynała zajęcia od jakiejś opowieści ze swojego życia, która pomagała zilustrować lekcję.

Pani Jones była też szkolną pedagog. Po miesiącu szkoły zdecydowałam się z nią porozmawiać. Chciałam podzielić się z kimś obawą przed aranżowanym małżeństwem.

- Proszę pani, bardzo się boję - powiedziałam. - Wiem, że chcę wydać mnie za mąż i wysłać do Pakistanu. Nie chcę tamjechać.

- Biedaczysko - pocieszyła mnie pani Jones. - Słyszałam już takie opowieści. Inne dziewczyny miały podobny problem. Rozmawiałaś o tym z rodzicami? Możesz to zrobić?

- Nie ma mowy - odparłam. - Tata jest imamem, a moja rodzina jest bardzo surowa. Rozmowa nic nie da, raczej tylko pogorszy sprawę.

- Zawsze możesz porozmawiać ze mną. Ale istnieje nadzieja, że jeśli będziesz się uczyć i dostawać dobre oceny, rodzice zobaczą, że powinnaś zostać w collegeu. Aranżowane małżeństwa stają się problemem. Uczelnia usiłuje coś z tym zrobić. Jesteśmy tu, by cię wysłuchać, Hannan, i spróbować ci pomóc.

Rozmawiając z panią Jones, zrozumiałam, że to „pani Zorba collegeu”, tylko z większym doświadczeniem w sprawach nastolatków z mojej społeczności. Po spotkaniu z nią było mi lepiej. Wiedziałam, że mnie rozumie. Przy niej czułam się bezpieczna, a nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Jednak nie potrafiłam na nią patrzeć, nie umiałam utrzymywać kontaktu wzrokowego z dorosłymi. Kierowałam wzrok na podłogę lub ścianę, ale nie na nich. Zachowywałam się trochę jak dwunastolatka, zwłaszcza pod względem nieśmiałości.

Pod koniec rozmowy pani Jones powiedziała:

- Nie powinnam tego mówić, bo jesteś muzułmanką, ale Bóg naprawdę cię kocha.

- Bóg mnie kocha! - zaśmiałam się. - Uwierzę, jak zobaczę. „Bóg mnie kocha”? Bóg mojego ojca niezdolny był do miłości. Był okrutny i śmiał się z moich niepowodzeń. Bóg mojego ojca osądzał ludzi, a mnie już skazał na piekło. Mój ojciec, imam, powiedział mi to, twierdząc jednocześnie, że on trafi do nieba. A jeśli o mnie chodziło, to skoro ludzi jego pokroju znaleźć można było w niebie, to nie chciałam tam trafić ani mieć do czynienia z jego Bogiem.

Kiedy pierwszy raz poszłam porozmawiać z panną Jones, opowiedziałam jej o moim strachu przed aranżowanym małżeństwem, o tym, że pragnę iść na uniwersytet i być wolna. Podczas drugiej rozmowy spytała, czy chcę spotkać się z kimś z opieki społecznej. Z początku odmówiłam. Nie potrzebowałam powtórki koszmaru, który przeżyłam ze zdrajcą, Omerem. Jednak w końcu się zgodziłam.

Zastrzegłam jednak, że nie może być to Azjata. Nie wyjaśniałam dlaczego, a pani Jones nie pytała. Zdawała się rozumieć.

Kilka dni później do collegeu przyszedł Barry. Był to biały mężczyzna około czterdziestki, niski i krępy, noszący sumiaste wąsy. Miał na sobie garnitur i koszulę rozpiętą pod szyją. Czułam, że jest ciepły i troskliwy. Miał łagodne, budzące zaufanie spojrzenie oraz szczery uśmiech.

Nigdy nie mówił o honorze czy wstydzie ani o reputacji mojej rodziny. Chciał wysłuchać moich osobistych problemów i zmartwień. Rozmawialiśmy swobodnie, bez ograniczeń

wynikających z religii czy kultury. Spotkaliśmy się kilka razy. Coraz bardziej mu ufałam. W końcu Barry czarno na białym zagwarantował, że mi pomoże.

- Hannan, jeśli zorientujesz się, że twoi rodzice chcą zrobić coś wbrew twojej woli, albo poczujesz się zagrożona, powiedz tylko, a pomogę ci. Rozwiążemy problem. W tym kraju istnieje wiele sposobów na to, by cię ochronić.

To były miłe słowa, być może nawet obietnica zbawienia, o którym nawet nie śniłam. Zastanawiałam się jednak, czy to prawda. W końcu Barry nie pochodził z mojej społeczności. W jej ramach władza taty była większa. Wiedziałam tylko, że mój ojciec był najpotężniejszą osobą w moim życiu.

Zdawałam sobie sprawę, że może wysłać mnie do Pakistanu, a rodzina i społeczność poprą go. Tego się spodziewali i aprobowali to. Większość rodziców chciała tak zrobić z córkami. Gdyby ktoś przyszedł badać moje zniknięcie, przywitałaby go ściana milczenia i kłamstw. Powiedzieliby, że z radością udałam się do Pakistanu.

Barry mówił też o moim braku śmiałości i o tym, jak go zwalczać. Polecił mi sporządzić listę rzeczy, które mogą lubić we mnie inni i które lubię sama. Uczył mnie też patrzenia na niego w trakcie naszych rozmów i utrzymywania kontaktu wzrokowego.

Bardzo mi to pomagało. Pojęłam, że patrzenie na kogoś nie zwykle ułatwia komunikację. Ponadto lepiej rozumiałam swojego rozmówcę, widząc wyraz jego twarzy. Wykorzystałam wskazówki Barryego w kontaktach z nauczycielami. To, że mogli się ze mną łatwiej komunikować, pozwoliło mi zdobyć większą pewność siebie.

W ostatniej klasie szkoły średniej zachowywałam się okropnie. W collegeu poprawiłam się. Pomyślałam, że może pani Jones ma rację i pomogą mi moje osiągnięcia w nauce. Gdybym miała dobre stopnie, rodzice mogliby posłać mnie na uniwersytet. Zaczęłam pracować ciężiej niż kiedykolwiek w życiu.

Nie mówiłam o tym w domu, ale żyłam nadzieją, którą dała mi pani Jones. W październiku zaproponowała, by college wysłał do rodziców sprawozdanie ukazujące, jak dobrze mi idzie.

- Myślisz, że to coś da? - spytała.

- Na pewno nie zaszkodzi.

Kilka dni później zniosłam je rodzicom. Wyglądało bardzo elegancko - z przodu widniał emblemat collegeu. Rodzice wciąż nie umieli czytać po angielsku, więc przetłumaczyłam im je na pendżabski. Napisano w nim:

Hannan pracuje bardzo pilnie i widoczne są rezultaty tej pracy. Ma wielki potencjał. W ostatnich testach z matematyki i religii otrzymała świetne oceny i uplasowała się w czołówce klasy. W obu przypadkach dostała też 5 za starania. Uczenie jej sprawia radość.

Widziałam, że mama jest zadowolona.

- Świetna robota - powiedziała i uśmiechnęła się.

Tata prychnął:

- No cóż. Dobrze.

To był cały jego komentarz. Nigdy więcej o tym nie wspominał. Zachowałam sprawozdanie. Część mnie spodziewała się po nim takiej reakcji.

Dwa tygodnie później sprzątałam wieczorem w domu. Usłyszałam, że ktoś rozmawia przez telefon. Był to mój ojciec. Coś sprawiło, że stanęłam i przycisnęłam ucho do drzwi.

- Tak, tak, wylot mamy pojutrze, w Karaczi będziemy po południu. Spotkamy się na miejscu? Dobrze. Wszystko gotowe na wesele...?

O mój Boże, to się dzieje!

Wmawiałam sobie, że Sabina się myli i nie istnieją żadne tajne plany ślubu. Zaczęłam wierzyć, że uda mi się uciec dzięki studiom. Nie wiedziałam nawet, że mam paszport. Jak to możliwe?

Widząc, że mój bunt się nasila, tata zaczął ustalać ostatnie szczegóły dotyczące mojego małżeństwa. To, że pozwolił mi pójść do collegeu, miało jedynie umożliwić mu kontrolowanie mnie do momentu wyjazdu do Pakistanu. Tam, na wsi, kultura Brytanii by mi nie zagrażała. Problem taty z najstarszą córką zostałyby rozwiązany.

Przez kilka miesięcy karmiłam się fałszywą nadzieją i złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Teraz wiedziałam, jaka jest prawda. Moje porwanie było zaplanowane na następny dzień. Zabiorą mnie po lekcjach na lotnisko i wyślą do Pakistanu. Ze mną leciałby mój znenawidzony ojciec.

Pobiegłam na górę do sypialni. Nie mogłam złapać tchu. Ze strachu wychodziłam z siebie. Wiedziałam, że muszę uciec, ale jak? Pomyślałam, że powinnam następnego dnia pójść do szkoły, jak zwykle.

I już nigdy nie wrócić do domu.

Honor i hańba

Telefon stał w salonie, ale w naszej sypialni także było gniazdko. Moi bracia często brali go na górę, by porozmawiać na osobności. Poczekaliśmy, aż tata opuści dom, wzięłam telefon i podłączyłam na piętrze. Reszta rodziny oglądała telewizję w salonie.

Wykręciłam numer Skip. Bałam się, że ktoś mnie podsłucha, ale musiałam coś zrobić. Któraś z sióstr albo mama mogły tu w każdej chwili wejść. Mama nie znała angielskiego, ale mogła zrozumieć, o czym mówię. Nawet ona zareagowałaby na słowa „ślub” czy „Pakistan”. Siostry od razu by się zorientowały, a Sabina na pewno powiedziałyby rodzicom.

Przez długi czas nikt nie odbierał. Bałam się, że jej nie zastanę. W końcu usłyszałam głos.

- Halo?

- Skip! Tu Hannan. To stanie się jutro! Mój ślub! Mają już dla mnie paszport i bilet na samolot. Boję się!

- O Boże! Dobrze, pomyślmy. Jutro po szkole, tak?

- Tak. Nocny lot do Karaczi.
- W takim razie musisz uciekać już teraz.
- Nie wolno mi wychodzić po zmroku. Zwłaszcza samej.

Zresztą, dokąd bym poszła?

- Dobrze, dobrze... Musisz to zrobić jutro rano albo wpadniesz w pułapkę. Pójdź po prostu do szkoły. Przyjadę po ciebie samochodem.

- Dobrze.
- Będę czekać pod bramą. Znasz samochód.

Skip pracowała jako sekretarka, dzięki czemu stać ją było na auto. Chwilowo mieszkała w domu rodziców, gdyż skończyła jej się umowa najmu, więc nie mogłam się do niej wprowadzić. Dla członków jej rodziny mniej „hańbiące” było, kiedy ich niezamężna córka mieszkała z nimi. To dlatego rodzice przyjęli ją z powrotem. Ona jednak chciała się wynieść, jak tylko znajdzie nowe mieszkanie.

- Dokąd pójdę? - spytałam.
- Nie wiem. Coś wymyślimy. W najgorszym razie będziesz spać w moim samochodzie. Wszystko, tylko nie zsyłka do Pakistanu!

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Ogarnęło mnie zniecierpliwienie i strach. Nie traciłam jednak nadziei. Nadchodził kluczowy moment - śmierć albo życie. Musiałam uciec. Myślałam o planie Skip, starając się dojrzeć jakieś luki. Nazajutrz nie mogłam popełnić najmniejszego błędu. Miałam tylko jedną szansę.

Próbowałam wstać o normalnej porze. Chciałam udawać, że nie dzieje się nic niezwykłego. Zrobiłam wszystkim śniadanie. Jednak cały czas odczuwałam ogromne zdenerwowanie.

Spakowałam się, chowając do torby dzinsy od Sonii. Byłam gotowa. Wyszłam, prawdopodobnie ostatni raz *żegnając* się z siostrą, Aliją. Staralam się, by mój głos brzmiał normalnie. Walczyłam, by opanować emocje.

Ruszyłam ulicą, wiedząc, że nigdy już nie wrócę. Jednocześnie nie wiedziałam, dokąd trafię. Nie mogłam się udać do moich znajomych z ulicy. Ich rodzice powiedzieliby mojemu tacie. Nie wiedziałam też, czy pomogą mi nauczyciele, ale musiałam spróbować. Liczyłam też na obietnicę Barryego, pracownika opieki społecznej. Jeśli zamierzał jej dotrzymać, miała na to ostatnią szansę.

Przyszałam na pierwszą lekcję spóźniona. Przez chwilę stałam i patrzyłam na trzydziestoletnią, białą panią Smith. Wiedziałam o moich problemach od pani Jones. Nagle zorientowałam się, że krzyczę na całą klasę:

- Uciekłam! Nigdy tam nie wrócę! Nigdy! Nie wrócę! Nieważne, co się stanie...

Klasa była pełna. Wszyscy odwrócili się i zaczęli na mnie patrzeć. Widziałam zmartwienie na ich twarzach. Normalnie byłam cicha i nieśmiała, nie przykuwałam niczyjej uwagi. Teraz krzyczałam niemal histerycznie. Koledzy wiedzieli, że coś jest nie tak, ale nie mieli pojęcia co. Na szczęście pani Smith zrozumiała.

Podeszła do mnie i powiedziała:

- Dobrze, Hannan... wszystkim się zajmujemy. Nie martw się. Spokojnie.

Powiedziała klasie, że nie będzie jej pięć minut, i zabrała mnie do gabinetu dyrektora. Nikogo tam nie było, więc powiedziała, żebym usiadła i poczekała.

- Zadzwoń do pani Jones i opieki społecznej - zapewniła.
- Spokojnie. Niedługo tu będą.

Kilka minut potem pojawiła się pani Jones, a za nią Barry. Wyjaśniłam pospiesznie, co się stało.

- Mój tata rozmawiał przez telefon i podsłuchałam, że wszystko jest gotowe na dziś wieczór. Zabiorą mnie do Pakistanu, żebym wzięła ślub. Nie ma mowy, nie wrócę dziś do domu! Nie wrócę!

Barry spojrział na panią Jones, po czym rzekł:

- Dobrze. Po pierwsze, nie martw się. Znajdziemy dla ciebie jakieś bezpieczne miejsce. Zaraz się tym zajmę. Znasz mój numer do pracy? Zadzwoń po lekcjach, coś wymyślimy. Jesteś z nami bezpieczna.

Nie wiedziałam, czy Barry ma uprawnienia i środki, żeby znaleźć coś dla mnie. Jednak czułam, że będzie się starał. Nie miałam zamiaru wrócić do domu. Jeśli będzie taka konieczność, mogę spać w samochodzie Skip. Był zimny listopad, więc nie paliłam się do tej opcji. Czułam się samotna i przerażona, nie chciałam spędzić pierwszej nocy jako uciekinierka w samochodzie koleżanki. Jednak lepsze to niż powrót do domu.

Pod koniec dnia szkolnego wciąż nie wiedziałam, co się stanie. Wykradłam się przez bramę collegeu, a moje serce oszalało z radości, gdy zobaczyłam Skip i jej niebieski samochód! Pomachała do mnie. Szybko podbiegłam i wskoczyłam do środka. Opowiedziałam jej, co się stało.

Pojechałyśmy do centrum, a kiedy znalazłyśmy się w pobliżu biura Barryego, zatrzymałyśmy się, bym skorzystała z telefonu. Bałam się, że zobaczy mnie ktoś z rodziny i że Barryemu nie

udało się nic znaleźć. Jednak kiedy usłyszałam jego głos, zrozumiałam, że wszystko gra.

- Mam coś - stwierdził. - Wszystko w porządku. Spotkajmy się w moim biurze, zabiorę cię tam.

Serce zabiło mi mocniej z radości. Skip uściśnęła mnie, zawiozła do jego biura i życzyła szczęścia.

- Znalazłem ci bezpieczne mieszkanie - powiedział Barry, zabierając mnie do samochodu. - To niedaleko, chodź.

Ruszyliśmy przez miasto. Wkrótce zorientowałam się, że przejedziemy koło mojej ulicy, i przez chwilę poczułam strach. Pomyślałam, że Barry robi to, co Omer - odda mnie w ręce rodziny. Jednak minęliśmy ją i jechaliśmy dalej ku przedmieściom.

Zatrzymaliśmy się przed dużym, wolno stojącym, ceglany domem z trawnikiem. Barry podszedł do drzwi i zapukał. Po kilku chwilach pojawiła się moja nauczycielka, pani Jones. Byłam zaskoczona.

- Witaj, Hannan! - powiedziała, uśmiechając się. - Cieszę się, że jesteś. Wejdz.

Pani Jones zaprowadziła mnie z Barrym do salonu. Zamknęła swoje dwa psy rasy jack russel w kuchni, żeby na nas nie skakały, po czym podała herbatę i ciastka. Siedziałam, trzymając torbę szkolną na kolanach. Czułam zdenerwowanie. Całe życie marzyłam o ucieczce z domu. Nareszcie stało się to faktem. Nie miałam czasu, by to przemyśleć. Szok zaczynał brać nade mną górę.

- Po spotkaniu z tobą porozmawiałam z Barrym - wyjaśniła nauczycielka. - Mam wolny pokój. Wraz z mężem chętnie

byśmy cię ugościli, jeśli chcesz. Co ty na to, Hannan? Chcesz zostać z nami na jakiś czas?

Nie mówiłam wiele. Uśmiechnęłam się tylko słabo. Nie spodziewałam się, że będę mogła zostać tutaj, w jej domu. Myślałam, że zatrzymujemy się tu na chwilę. Teraz dopiero zaczęły do mnie docierać pewne rzeczy. Bałam się, że rodzina odkryje, gdzie jestem, i przyjdzie po mnie. Myślałam, że tata ma więcej władzy niż inni - pracownicy społeczni, nauczyciele... Byłam przekonana, że mnie znajdzie i stąd zabierze.

Dochodziła osiemnasta. Moja rodzina mogła jeszcze nie wiedzieć, że uciekłam. Fakt, że nie było mnie w domu, tłumaczyli pewnie tym, że wracam ze szkoły na piechotę ze znajomymi. Lot do Karaczi był tuż przed północą, więc nie mieli powodów do paniki. Jednak to nie osłabiało mojego przerażenia.

- Może zadzwonisz do mamy? - zasugerował Barry, jak gdyby czytał mi w myślach. - Powiesz jej, że nic ci nie jest. Inaczej będzie się martwić.

- Nie - odpowiedziałam ze strachem. - Nie mogą dowiedzieć się, gdzie jestem!

- Nie dowiedzą się - odparła delikatnie pani Jones. - Nie ze zwykłej rozmowy. Powiedz im, że zostajesz na noc u znajomej. Nie podawaj szczegółów.

- Boję się rozmowy z nimi.

- Oczywiście - odparł Barry. - To naturalne. Ale musisz do nich zadzwonić, żeby nie zaczęli cię szukać. To ważne podczas ukrywania się.

Pokazali mi telefon w korytarzu, a ja drżącymi dłońmi wykręciłam numer.

Kiedy tylko ktoś odebrał, wyrzuciłam z siebie:

- Halo, nic mi nie jest, ale nie wrócę do domu. Zostanę u znajomych. Pa!

Zanim ktoś zdołał odpowiedzieć, trzasnęłam słuchawką. Nie wiedziałam nawet, z kim rozmawiam. Barry wkrótce potem zniknął, a ja zasiadłam do kolacji z panią Jones, jej mężem i synem, Jonathanem. Byłam zdumiona tym, jak wygląda ich posiłek. Kobiety - pani Jones i ja - siedziały przy jednym stole z mężczyznami, jedząc i rozmawiając. Jej dorosły syn pomagał nawet w nakrywaniu do stołu i sprzątaniu.

Podano jakiś dziwny, szary płyn - okazało się, że to zupa grzybowa. Jedynym angielskim pożywieniem, które znałam, były frytki. Nigdy wcześniej nie jadłam czegoś takiego. Smakowało zupełnie inaczej niż pikantne curry mamy. Jednak to nie miało znaczenia. Pani Jones mogłaby mi podać nawet mielone szkło. Uciekłam. Byłam bezpieczna. Tylko to się liczyło.

W trakcie kolacji nie mówiłam prawie nic. Następnie pani Jones zaprowadziła mnie do sypialni. Był to pokój ich przybranej córki, Julie. Stało tam łóżko, szafa i biurko do nauki.

- Rozgość się. Julie jest na uniwersytecie.

Na chwilę zamilkła, po czym spytała:

- Hannan, chcesz jutro iść do szkoły, czy wolisz tu zostać?

Po chwili namysłu odparłam:

- Chciałabym pójść na lekcje. Chętnie zajmę się nauką.

- To dobrze.

Pani Jones uściśniła mnie i podała złożoną piżamę.

Nigdy wcześniej nie miałam piżamy. W domu sypialiśmy w ubraniach dziennych. Widziałam je jednak w telewizji,

więc wiedziałam, co się z nimi robi. Pani Jones zamknęła drzwi i zostałam sama. Czułam się samotna. Byłam niepewna tego, co się wydarzy. Nie rozmawialiśmy o tym, ile mogę tu zostać. Nauczycielka powiedziała tylko, że mam odpocząć.

Jednak mimo zmartwień przepełniało mnie wspaniałe uczucie ulgi. W końcu nie wisało nade mną widmo porwania i zaaranżowanego małżeństwa. Była tu pani Jones, której ufałam. Czułam się bezpieczniej niż we własnym domu.

Popłakałam trochę w poduszkę i zasnęłam.

Dom pani Jones

Następnego dnia na śniadanie jedliśmy płatki kukurydziane z mlekiem. Czułam się jak we śnie - siedziałam przy kuchennym stole i spożywałam dziwny posiłek w dziwnym domu z białymi ludźmi.

Pan Jones był cichym, delikatnym mężczyzną. Od razu uderzyło mnie, jak bardzo różnił się od mego ojca. Otwarcie dawał do zrozumienia, że kocha żonę i docenia ją. Przy śniadaniu powiedział jej, że jestem uroczą dziewczyną. Uśmiechnęłam się i zarumieniłam. Komplement brzmiał w jego ustach naturalnie, mimo że nikt nigdy wcześniej nie powiedział mi nic takiego. Wykładał na uniwersytecie w Leeds.

Jonathan, ich syn, miał około trzydziestki i pracował w branży budowlanej. Podobnie jak ojca cechowała go nieśmiałość i skromność. Z wyglądu przypominał jednak matkę. Był wysoki i przystojny. Przed wyjściem do pracy bawił się z psami i rozśmieszał panią Jones.

W drodze do szkoły opowiedziała mi o Julie, dziewczynie, której pokój zajmowałam. Była ona nastolatka, którą zaopiekowała się pani Jones, a z czasem ją adoptowała. Traktowała ją jak własną córkę, posyłając do collegeu i na uniwersytet. Jeszcze wcześniej uratowała Chinkę, która miała problemy rodzinne.

Podjechałyśmy na parking, a ja skorzystałam z wejścia dla pracowników. Bałam się, że w szkole spotkam swojego ojca lub któregoś z braci, ale na szczęście tak się nie stało. Odetchnęłam z ulgą, ale wiedziałam, że prędzej czy później się tu pojawią, i po części chciałam to już mieć za sobą. Pani Jones też wiedziała, że się zjawia. Nie musiałam jej ostrzegać.

- Możliwe, że pojawi się tu dziś twoja rodzina - powiedziała, odprowadzając mnie na pierwszą lekcję. - Nie martw się. Jesteśmy z tobą. Masz nasze wsparcie.

Poszłam na zajęcia, a pani Jones udała się na rozmowę z dyrektorem. Wyjaśniła mu, że uciekam przed aranżowanym ślubem i zostanę u niej tak długo, jak będę chciała. Na szczęście ten był wyrozumiały i skory do pomocy. Jakiś czas później przyszedł do klasy, zamienić po cichu kilka słów z nauczycielem. Instyktownie wyczułam, że przyszedł mój tata.

- Hannan, pójdz do pokoju pani Jones - odezwał się nauczyciel. - Dyrektor cię tam zaprowadzi...

Kiedy dotarliśmy na miejsce, wyjaśnił mi, co się stało.

- Twój ojciec jest w moim gabinecie, chce się z tobą zobaczyć. Mogę go odesłać, jeśli chcesz. Wszystko zależy od ciebie.

Spojrzałam na panią Jones, a potem na dyrektora.

- Nie - odparłam. - Chcę się z nim zobaczyć i mieć to za sobą. Powiem mu, że nie wrócę do domu. Nie zmusi mnie

do małżeństwa. Chcę, by usłyszał to ode mnie. To moja decyzja, to ja się mu postawiłam.

Ruszyliśmy do gabinetu dyrektora. Kiedy tam dotarliśmy, otworzył on drzwi i zobaczyłam ojca. Był z nim człowiek z meczetu w charakterze tłumacza. Jednak szok wywołało we mnie to, że mój ojciec płakał. Nigdy nie widziałam, by okazywał jakiegokolwiek uczucia poza gniewem, nienawiścią lub pożądaniem. Nie mogłam uwierzyć, że aż tak nim wstrząsnęłam. Przez chwilę moja determinacja osłabła.

Jednak nagle zrozumiałam, że nie były to szczere łzy. Nie dotyczyły mnie. Jeśli już, płakał z powodu hańby, którą sprowadziłam na niego, rodzinę i społeczność. Podejrzewałam też, że był to pokaz dla nauczycieli, by ci mu współczuli i uznali go za kochającego, zatroskanego ojca. Może uznał, że przez to zmienię zdanie.

- Jak mam chodzić z podniesioną głową po tym, jak nas zhańbiłaś? - zawodził ojciec. - Taki wstyd. Sprowadziłaś na nas wstyd!

Nie obchodziło mnie to. Po latach bicia i wykorzystywania wiedziałam, jak zimnym manipulatorem jest mój ojciec. Wiedziałam, jak lodowate i mroczne ma serce. W jego oczach nie było ani odrobiny żalu. Mimo łez nie mógł ukryć gniewu, który się w nim czaił. Jednak jego największym błędem było to, że mnie nie przeprosił. Zamiast tego zawodził po pendzabsku o „honorze” i „hańbie”.

- Co za hańba! - kontynuował. - Zobacz, co nam zrobiłaś... Jaką hańbę sprowadziłaś na rodzinę. Proszę, Hannan, wróć do domu. Jak mamy żyć w takiej hańbie?

Wiedziałam już, że jego łyzy są fałszywe. Był to obrzydliwy pokaz. Nie obchodziłam go. Dbał tylko o swój „honor”.

- Nie ma mowy - odpowiedziałam po pendzabsku. - Nie wrócę do domu ani dziś, ani jutro. Nie wrócę już nigdy.

Tata dalej zawodził o tym, jaki wstyd przynoszę tym, co robię. Starał się przeprowadzić emocjonalny szantaż.

- Zhańbiłaś rodzinę! Taki wstyd! Wróć do domu. Twoja mama tego nie znieśnie. Proszę, wróć do domu.

W końcu odezwałam się do dyrektora:

- Nie mam mu nic więcej do powiedzenia. Zdecydowałam, że nie wrócę do domu.

- Dobrze. Możesz już pójść. Dziękuję, że przyszłaś porozmawiać...

Wysłałam, nie odzywając się więcej do ojca.

Podeszła do mnie pani Jones.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytała. - Byłaś bardzo dzielna.

- Wszystko w porządku. Mogę wracać na lekcje?

Oczywiście nie był to koniec. W ciągu następnych dni ojciec wysyłał do szkoły wszelkich możliwych członków rodziny i krewnych. Najpierw przyszli po kolei moi bracia. Następnie mama z siostrami. Potem wujkowie. Nie chciałam widzieć nikogo z nich. Zostawiłam w portierni informację, że nie chcę spotkać się z rodziną i krewnymi. Odcięłam się od nich.

Byłam zajęta przyzwyczajaniem się do nowego miejsca i rodziny. Nie miałam czasu, by przejmować się tym, jaki wpływ ma moja ucieczka na ojca i społeczność. Dlaczego właściwie miało mnie to obchodzić?

Kiedy o tym myślałam, nie cieszyłam się z faktu, że żyję w hańbie spowodowanej moim postępowaniem. Nie chciałam krzywdzić rodziny i przynosić jej wstydu. Nie chciałam, by cierpieli. Nie czułam się jednak za to odpowiedzialna. Czułam radość, wiedząc, że już nigdy nikt mnie nie wykorzysta. Katalizatorem mojej ucieczki było aranżowane małżeństwo, ale moje problemy nie ograniczały się tylko do niego.

Uciekłam we wtorek. W sobotę pani Jones wybierała się z rodziną do restauracji i poprosiła mnie, bym pojechała z nimi. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam. Ani razu nie jadłam na mieście. Było to dziwne uczucie - iść gdzieś, gdzie nieznajomy przyrządzał ci posiłek i gdzie płaciło się za to niemalże fortunę. Obserwowałam więc i starałam się naśladować zachowanie innych.

Jonesowie rozmawiali i jedli powoli. Prosił, bym mówiła do nich po imieniu - James, Felicity i Jonathan - w skrócie Johnny. James opowiadał o swojej pracy i o tym, co działo się w kościele. Wraz z żoną byli chrześcijanami. Felicity mówiła o dziewczynie Johnny ego, Zoe, i zaproponowała, by zaprosić ją na niedzielny lunch. W restauracji Jonesowie spotkali wielu znajomych, którzy co chwila przystawali przy naszym stoliku, by porozmawiać. Było to zupełnie odmienne od znanego mi życia.

Oczywiście zachowywali się jak normalna angielska rodzina. Miło słuchało się tej konwersacji. W domu prawie nigdy nie rozmawialiśmy - mama i tata raczej nam rozkazywali. Posiłki ojciec jadał przeważnie sam w swoim pokoju. Reszta z nas siedziała przed telewizorem.

Tata wprowadził zasadę, że w trakcie jedzenia nie należało rozmawiać. Było to *haram*. Spożywaliśmy więc w milczeniu.

Moi bracia czasem rozmawiali ze sobą, oglądając telewizję. Jednak jeśli w okolicy był tata, przeważnie panowała cisza. Nikt nie mógł się przy nim odprężyć.

W nowym życiu od początku miałam wiele swobody. Niemal nie wiedziałam, co z nią zrobić. Na przedmieściach, gdzie mieszkali Jonesowie, nikt mnie nie znał. Mogłam tam spacerować niezauważona. Byłam wolna od niemalże niewolniczej pracy w domu. Mogłam pomagać, ale nie zmuszano mnie do tego i nie bito, jeśli popełniłam błąd. Wolność wyboru i anonimowość były nowymi aspektami, z którymi musiałam nauczyć się żyć.

Pani Jones zachęcała mnie do utrzymywania kontaktów z rodziną. Pewnego wieczoru zadzwoniłam. Odebrał Raz.

- Cześć, Raz, tu Hannan - odezwałam się. - Nic mi niejest. Mieszkam u znajomych.

- Gdziejesteś? - spytał zmartwionym, a nie wściekłym głosem. - Dlaczego nie wracasz do domu?

- Mieszkam u znajomych. Nie wrócę do domu. Zostanę tutaj.

- Może porozmawiaj z mamą. Jest tuż obok.

- Nie. Muszę kończyć. Pa, Raz.

Odłożyłam słuchawkę. Nie chciałam rozmawiać z mamą. Wiedziałam, że będzie chciała wzbudzić we mnie poczucie winy łzami i szantażem. Spróbuje sprawić, żebym wróciła:

- Źle się czuję, to twoja wina. Choruję ze zmartwienia. Tak za tobą tęsknię. Wróc do domu.

Nie miałam ochoty na przykre rozmowy.

Jedynym łącznikiem ze starym życiem była dla mnie moja zbuntowana koleżanka, Skip. Często rozmawialiśmy przez

telefon. Opowiadała mi o tym, co dzieje się na ulicy, chociaż nie-specjalnie się tym interesowałam.

- Twoi rodzice pytają mnie ciągle, czy wiem, gdzie jesteś - mówiła. - Dobrze, że nie wiem. Niech tak zostanie. Nie chcę kłamać.

Nie zdziwiłam się, że próbują mnie odnaleźć. Jednak rodzice nie znali tej *czysci* miasta. Nie mieszkali tu Azjaci, więc nikt nie mógł na mnie donieść. Pomyślałam, że wystarczy jednak, aby poczekali przed collegeem i pojechali za samochodem Felicity. Codziennie jeździłam z nią do szkoły. Zaczęłyśmy wypatrywać, czy nie śledzą nas jakieś samochody, zwłaszcza fioletowa skoda. Jednak nic takiego się nie wydarzyło.

Kilka tygodni po ucieczce Felicity wzięła mnie na zakupy. Nie miałam prawie nic, co mogłabym na siebie założyć, więc korzystałam z garderoby Julie. Nigdy wcześniej nie kupowałam ubrań. Bywaliśmy tylko w sklepie z materiałami, które miały posłużyć do uszycia kanarkowożółtego *salwar kamiz*. Felicity pokazywała mi dzinsy i bluzki, pytając, które mi się podobają. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam zawstydzona, że chce kupić mi te rzeczy.

- Potrzebne ci ciepłe ubrania - powiedziała, wybierając grubą, wełnianą koszulę nocną w owieczki.

Miała rację. Był koniec listopada i nadeszły mrozy. Po drodze do domu Felicity opowiadała o Johnnym i Zoe. Chodzili ze sobą już od kilku lat i miała nadzieję, że wezmą ślub. Więc tak wyglądała swoboda w doborze partnera. Było to zupełnie inne od tego, co znałam i od aranżowanego małżeństwa, od którego uciekłam.

- Ja nigdy nie wezmę ślubu - odparłam cicho.

Tak też myślałam. Po tym, co zrobił mi tata, myśl o fizycznym związku z jakimkolwiek mężczyzną wydawała mi się odrażająca. Nie sądziłam, żebym była w stanie zaufać komuś do tego stopnia. W życiu doświadczyłam tylko wykorzystywania i bólu. Nie opowiadałam Felicity o tym, co robił mi ojciec. Pewnie uznała, że moje słowa biorą się z tego, że niedawno uniknęłam niechcianego małżeństwa. Zaśmiała się.

- Może jeszcze zmienisz zdanie!

- Nie sądzę.

- Nigdy nie wiadomo. Być może spotkasz pewnego dnia mężczyznę marzeń i zakochasz się.

Groźba apostazji

Pewnej niedzieli Felicity udała się z rodziną do kościoła.

- Rozgość się, Hannan - powiedziała. - Niedługo wrócimy.

Pod wpływem chwili spytałam, czy mogę iść z nimi. Nie bałam się zostać sama. Wręcz lubiłam samotność. Spytałam z ciekawości. Chciałam wiedzieć, czy ich kościół jest taki sam jak ten, do którego zabierano mnie w podstawówce, gdzie modlono się po łacinie. Chodzenie tam było równie nudne co wysłuchiwanie recytacji Koranu. Jedyna różnica polegała na tym, że nie bito mnie, jeśli zasnęłam.

Felicity zawahała się, po czym powiedziała:

- Wiesz, że nie musisz z nami iść. Nikt cię do tego nie zmusza.

- Ale ja chcę pójść zobaczyć, jak to wygląda.

Musiałam namawiać Felicity. Uczyła mnie religii, więc nie chciała wpływać na mój wybór. Wolała, bym sama podejmowała takie decyzje i musiałam ją przekonać, że idę tam z własnej woli.

Częściowo kierowała mną ciekawość. Pani Jones pozwoliła mi zostać u siebie w domu mimo ryzyka. Chciałam wiedzieć więcej o niej, jej rodzinie i wierze, którą wyznawała. Nie do pomyslenia było, żeby moi rodzice zaprosili nieznanego innej rasy i wyznania do domu i zgodzili się, by z nimi zamieszkał. Zastanawiałam się, co sprawiło, że moja nauczycielka była tak wielkoduszna.

Całe życie rodzice powtarzali mi, że jestem bezużytecznym, bezbożnym dzieckiem, które trafi do piekła. Kiedy Felicity kilka miesięcy wcześniej powiedziała mi, że Bóg mnie kocha, doznałam szoku. Nie wierzyłam, że może być do tego zdolny. Ten wyznawany przez rodziców był Bogiem kary i potępienia, dla którego nigdy nie miałam stać się dość dobra. Intrygowało mnie wyobrażenie Boga Felicity, mimo że nie wierzyłam, że może okazać się prawdziwe.

Kościół był starym budynkiem z szarego kamienia. Felicity powiedziała, że to kościół metodystów, choć nic mi to nie mówiło. Weszliśmy po schodach do kaplicy, w której znajdowały się rzędy drewnianych ławek.

Usiadłam obok pani Jones i rozejrzałam się. Nie widziałam żadnych Azjatów, otaczali mnie sami biali. Z początku czułam się nieswojo. Kilka osób spojrzało się na mnie dziwnie. Jednak kiedy Felicity wyjaśniła, kim jestem, wszyscy okazali się bardzo mili. Cieszyłam się, że nie musiałam z nikim rozmawiać. Przepęłniała mnie cicha ciekawość.

Mąż Felicity grał na pianinie z przodu kościoła. Kiedy rozbrzmiewała muzyka, ja podziwiałam piękne witraże i zdobione kolumny. Pomyślałam, że kościół robi ogromne wrażenie.

Uderzyło mnie to. Zaczęto śpiewać hymn. Słuchałam go, ale nie znałam słów. Felicity usiłowała mi pomóc, wskazując jego tekst w książce hymnów. Następnie odbyło się czytanie z Biblii i kazanie.

Ksiądz miał na imię Bob i był po pięćdziesiątce. Zadziwiło mnie, jak ludzkie i osobiste wydało się jego kazanie. Zaczął opowiadać o czymś absurdalnym, co przydarzyło mu się w weekend. Wszyscy wybuchli śmiechem, kiedy streszczał wiernym swoje przygody. Ogarnęło mnie zdumienie. Nie do pomyślenia było, by śmiać się ze świętego męża islamu jak mój ojciec. Niemożliwe też zdawało się, by ten w tak humorystyczny, a nawet lekko autoironiczny sposób opowiedział jakąś historię.

Bob oparł na niej swoje kazanie. Rozśmieszył wiernych, ale jednocześnie sprawił, że jego przesłanie do nich trafiło. W jego głosie słyhać było ekscytację i miłość do tego, o czym opowiadał. Gdy nadeszła pora na śpiew, stanął z przodu i zagrał na gitarze. Problem polegał na tym, że znał tylko kilka akordów, więc co jakiś czas przerzucał się na „gitarę powietrzną”. Żartował przy tym sam z siebie.

Nie mogłam wyobrazić sobie, by imam po pięćdziesiątce zachowywał się tak jak Bob. Wszyscy, których poznałam, traktowali siebie i to, co mówili, stanowczo zbyt poważnie. Po hymnach nadszedł czas na modlitwę, następnie ogłoszenia parafialne i ostatnią pieśń. Była to *Amazing Grace*. Słyszając śpiew, zaczęłam przypominać sobie słowa - nauczyłam się ich w podstawówce na zajęciach z chóru. Większość wiernych znała ją na pamięć, a po donośności śpiewu wywnioskowałam, że to ulubiona pieśń parafian.

Opuściłam kościół, czując szczęście i zaciekawienie. Zdziwiła mnie, że ksiądz Bob może być rozluźniony do tego stopnia, by żartować z siebie w domu bożym przy swoich wierznych. Wyglądało na to, że fascynuje go wiara, a zwłaszcza żywot Jezusa. Ojciec powiedział mi kiedyś, bym nawet nie wspominała jego imienia w domu. Co więc sprawiało, że Jezus tak ekscytował księdza Boba?

W następną sobotę spytałam Felicity, czy mogę znowu iść z nią do kościoła. Zabrała mnie z radością na niedzielne nabożeństwo. Msza miała tę samą formę, ale Bob wygłosił inne kazanie. Znowu opowiadał osobiste historie oraz mówił z ekscytacją o Jezusie. Bez wątpienia był bardzo energiczny. Co dziwne, z chęcią przebywałam w jego kościele. Nigdy dotąd nie lubiłam spędzać czasu w miejscach kultu.

Byłam muzułmanką i myślałam, że będzie tak już do końca życia. Jednak nie uważałam, że uczęszczając do kościoła, robię coś złego. Zdarzało mi się chodzić tam podczas wycieczek szkolnych. Zaskoczyło mnie jednak wiele rzeczy. Widziałam, jak ludzie odkładają Biblię na podłogę. Było to szokujące. Moim zdaniem okazywali w ten sposób brak szacunku dla świętej księgi. Nie przyszłoby mi do głowy, by położyć Koran na podłodze.

Kazania i czytania były po angielsku, dzięki czemu wszystko rozumiałam. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie modlitwy. Modlono się za chorych, a nawet ludzi z innych krajów, którzy doświadczyli biedy i nieszczęść. Wstawiano się w intencji ofiar katastrof - czy to trzęsienia ziemi w Afryce Południowej, czy powodzi w Bangladeszu. Martwiono się nawet o tych, którzy nie byli chrześcijanami.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego u muzułmanów. Podczas modlitw powtarzano wersety z Koranu. Zawsze te same, bez zróżnicowania:

Bóg jest wielki.

Bóg jest wielki.

Jest tylko jeden Bóg...

Najbardziej zdziwiło mnie jednak to, że chrześcijanie modlili się za ludzi innych wyznań. Nie mogłam tego pojąć. W moich doświadczeniach z islamem nie spotkałam się z czymś podobnym. Istnieje tam związana z dobroczynnością idea *zakat*, ale odnosi się do innych muzułmanów. Według Koranu powinna rozciągać się na wszystkich potrzebujących, ale nigdy nie widziałam tego w praktyce.

Z pewnością nie tego uczył mój ojciec. Według niego *zakat* odnosił się tylko do muzułmanów. Dobroczynność dotyczyła tylko *ummy*, czyli globalnej społeczności islamskiej. W *meczetach* zbierano pieniądze dla ofiar katastrof, tylko jeśli miały one miejsce w kraju muzułmańskim. Tak więc na przykład trzęsienie ziemi w Peru nie wzbudziłoby zainteresowania.

Mieszkałam z panią Jones przez kilka miesięcy - były to najszcześniejsze dni w moim życiu. Pojechałam nawet z jej rodziną na wakacje. Spędziliśmy dwa tygodnie nad morzem w Kornwalii, obozując w Coverack, nieopodal przylądka Lands End. Wtedy pierwszy raz mogłam naprawdę podziwiać morze. Poszłam nawet popływać - a raczej spróbowałam pływać.

Niestety samo biwakowanie było dla mnie trudne. Nie przeszkadzało mi spanie na polu, gdyż lubiłam naturę. Jednak lata

wykorzystywania wywołały u mnie ostrą klaustrofobic. Sprawiała mi ona problemy już pierwszej nocy, gdyż spałam w jednoosobowym namiocie. Nie zmrzyłam oka.

Następnego ranka powiedziałam Felicity, że nie zdołałam zasnąć. Kolejną noc spędziłam już w zdecydowanie większym namiocie razem z Zoe. Miał on dwie komory połączone wspólną przestrzenią. Były one zamykane na suwak - mogłam więc swoją część zostawić otwartą i mieć pewność, że w każdej chwili zdołam uciec. To mi wystarczyło.

Z obozowiska rozciągał się piękny widok na morze. Każdego ranka jedliśmy śniadanie, obserwując bezmiar oceanu. Zapierało mi to dech w piersiach. Było to dla mnie symbolem wolności i swobody. Posiłek przygotowywaliśmy na piecyku gazowym. Jako muzułmanka nie mogłam jeść bekonu ani kiełbasy, ale ich zapach powodował, że ciekła mi ślinka.

Po poranku spędzonym na plaży chodziliśmy do lokalnej galerii, położonej nieopodal kempingu. Mieściła się w kamiennej chacie, w której znajdowała się też herbaciarnia. Podziwialiśmy więc obrazy, popijając herbatę.

Biwakowanie na klifach wśród powiewów morskiej bryzy było bardzo relaksujące. Czułam się jak w raju. Nie myślałam o moim starym życiu i czułam ulgę, że jestem od niego wolna. Chciałam o nim zapomnieć, odepchnąć je. Niewola, groźby, strach, wyalienowanie oraz wykorzystywanie - pragnęłam zostawić je za sobą, rozpoczynając nowe życie.

Zaczęłam coraz lepiej poznawać Zoe, stawałyśmy się sobie bliskie. Była to przyjaźń, jakiej wcześniej nie zaznałam. Czułam, że mogę jej bezgranicznie ufać. Kusiło mnie, żeby powiedzieć jej

całą prawdę o tym, jak ojciec mnie wykorzystywał, jednak nie byłam jeszcze na to gotowa. Chciałam przynajmniej przez jakiś czas cieszyć się życiem, zanim zanurzę się w ciemności.

Po raz pierwszy byłam naprawdę wolna. Nie chciałam, by ojciec znowu rzucił na mnie swój mroczny cień, nawet jeśli tylko poprzez wspomnienia.

Ilekcroć Jonesowie wybierali się w niedzielę do kościoła, szłam z nimi. Tydzień po tygodniu siedziałam cicho w ławce i słuchałam. Uznałam, że troska i dobroć, którą otaczała mnie ta rodzina i które czuć było w ich kościele, muszą skądś się brać. Jeśli od ich Boga, to być może powinnam go lepiej poznać. Zaczęłam chodzić na spotkania młodzieży w kościele, gdzie poznałam Rachel.

Pochodziła ona z typowej północnoangielskiej białej rodziny. Jej tata był pracownikiem opieki społecznej i prawdziwym dżentelmenem. Jej mama uczyła w szkole podstawowej. Rachel była drobną, jasnowłosą pięknoscią, młodszą ode mnie o dwa lata i cieszyła się popularnością zarówno wśród chłopców, jak i dziewczyn.

Bawiło mnie to, że ten blond aniołek mówił z wyraźnym, północnym akcentem. Ja wciąż miałam pakistańską manierę, jednak im dłużej nie odwiedzałam naszej ulicy, tym mniej była słyszalna. Nie mogłam zmienić koloru skóry, nawet gdybym chciała, jednak zanikanie wszelkich innych więzi z moim poprzednim życiem cieszyło mnie.

Rachel pomagała mi w przeobrażaniu się w wolną, młodą kobietę. Kupowałam z nią ubrania, pomagała mi też eksperymentować z biżuterią i makijażem. Grywaliśmy w jej domu w gry

planszowe. Najbardziej lubiłam scrabble. Odkryłam, że posiadam bogate słownictwo - pewnie z powodu godzin spędzonych na czytaniu. Czasem nocowałam u Rachel. Rozmawiałyśmy godzinami. Niekiedy towarzyszyła nam jej mama, więc siedziałyśmy we trzy jak stare przyjaciółki.

Kiedy miałyśmy pieniądze, chodziłyśmy do kina. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Jednym z pierwszych filmów, na który się wybrałyśmy, był *Titanic*. Wprawił mnie w osłupienie. W tamtych czasach mógł pochwalić się wyjątkowymi efektami specjalnymi, a ja oglądałam je na dużym ekranie. Jednak bardziej ciekawił mnie wątek miłosny. Podobała mi się postać młodego, uzdolnionego chłopaka, grana przez Leonarda DiCaprio. Bohater ten urzekł mnie poczuciem humoru, ale przede wszystkim tym, że oddał życie za swą ukochaną. Zapamiętałam też scenę, w której rysuje portret swojej wybranki, granej przez Kate Winslet. To był rodzaj miłości, której miałam nadzieję kiedyś doświadczyć.

Felicity zasugerowała, że powinnam udać się do opieki społecznej po stypendium naukowe i zasiłek mieszkaniowy. Utrzymywałam się dotąd tylko dzięki jej hojności. Pani Jones podwoziła mnie do urzędu. Tam opowiedziałam pracownikowi, młodemu, białemu mężczyźnie, o tym, jak uciekałam z domu przed zaaranżowanym małżeństwem. Zaprowadził mnie do swojego biura i pytał o mnóstwo rzeczy - także o dane mojej rodziny.

- Potrzebny mi telefon pani rodziców - stwierdził. - Bez niego nic nie załatwię.

- Ale do czego on panu potrzebny?

- *Cóż*, muszę przynajmniej potwierdzić to, co usłyszałem. Nie mogę przecież uwierzyć pani na słowo.

- Nie rozumie pan - zaprotestowałam. - Powiedziałam panu, że uciekłam przed zaaranżowanym małżeństwem. Nie mogę ryzykować, że dowiedzą się, gdzie jestem lub co robię.

- Nie możemy przyznać zasiłku bez potwierdzenia pani słów. I tak pewnie nie moglibyśmy pomóc. Najprawdopodobniej będzie pani musiała wrócić do domu, do rodziców.

Zaczęłam się bać. O czym ten idiota bredził? Co gorsza, ciągle wychodził coś z kimś uzgodnić i wracał z kolejnymi pytaniami. W końcu powiedział mi wprost, że muszę wrócić do domu ojca i że powinna utrzymywać mnie rodzina, a nie państwo. Cały czas domagał się numeru telefonu, żeby tam zadzwonić i „wszystko przygotować”.

- Nie dam panu numeru do rodziców - powiedziałam.
- Robi się późno, muszę już iść.

Wstałam i wybiegłam z biura. Na zewnątrz wybuchłam płaczem. Poszłam do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniłam do Felicity.

- Poczekaj tam na mnie! - rozkazała, kiedy opowiedziałam jej, co się stało. - Zaraz przyjadę z nimi porozmawiać.

Czułam, że jest wściekła. Przyjechała ze szkoły. Weszłyśmy razem do urzędu.

- Nie martw się, nikt nie odeśle cię do domu - zapewniła mnie. - Nie pozwolę im na to.

Spytała, z którym urzędnikiem rozmawiałam. Wskazałam go. Podeszła do niego. Było już późno, więc na szczęście w okolicy nie przebywało wiele osób.

- Jak pan śmie mówić tej dziewczynie, że musi wrócić do domu? - zaczęła. - Nie zna pan jej sytuacji. Nie ma pan o niej pojęcia, a każe jej pan wracać?

- A kim pani jest? - spytał niegrzecznym tonem.

- Jej nauczycielką oraz opiekunką - odparła Felicity. - Jeśli będzie pan się nadal tak zachowywał, poinformuję dyrektora collegeu oraz pracownika społecznego. To nie do pomyślenia. Być może pójdziemy z tym nawet na policję. Mógł pan narazić życie tej dziewczyny.

Mężczyzna zaczął się niepokoić. Widział, że Felicity mówi poważnie.

- Przepraszam. Nie doceniłem powagi sytuacji. Musiałem jednak sprawdzić pewne szczegóły i potwierdzić, czy mówi prawdę...

- Ale to nie wymaga, żeby wróciła do rodziny, która stanowi dla niej zagrożenie, prawda? - odparła zimno Felicity.

- Czy może coś mi umknęło?

- Eee... Może zacznijmy od początku, dobrze? Wypełnimy nowe druki i wniesiemy o zasiłek naukowy oraz mieszkalny. Zapomnijmy, że mówiłem cokolwiek o jej rodzinie, w porządku?

Kiedy wyszliśmy z biura, byłam wyczerpana. Jednak udało się. Teraz miałam dostawać od państwa pieniądze na utrzymanie.

W ciągu kilku miesięcy spędzonych u pani Jones wiele się nauczyłam. Dowiedziałam się, że nie wszyscy biali spędzają życie, upijając się i sypiając ze sobą, jak twierdził mój ojciec. Istniała inna Anglia od tej, którą mi opisał. Była pełna osób takich jak pani Jones - miłych, uczciwych,

tolerancyjnych, o otwartych umysłach; osób, dla których wiara była sensem życia.

Dziękowałam Bogu za panią Jones. Nie wiedziałam tylko, któremu.

To mój kościół

Spędziłam Gwiazdkę z moją przybraną rodziną - Jonesami.

Poza faktem, że w telewizji leciały lepsze filmy, w domu i na mojej ulicy Boże Narodzenie nie różniło się niczym od innych świąt. Byliśmy muzułmanami, więc nie mieliśmy choinki ani dekoracji i nie wręczaliśmy sobie prezentów. Nie robiliśmy nic, by uczestniczyć w święcie obchodzonym w całym kraju.

Dostawałam czasem kartki świąteczne od znajomych w szkole, a mama dawała mi potajemnie pieniądze, żebym sama je wysłała. Nie mogłam jednak pokazywać ich w domu - chowałam je w torbie pod łóżkiem. Po Świątach wyrzucałam je do śmieci, żeby tata ich nie znalazł.

Nigdy też nie wręczaliśmy sobie prezentów. Z okazji islamskiego święta Eid otrzymywaliśmy niekiedy trochę pieniędzy. Na urodziny czasem dostawałam coś od kolegów ze szkoły, ale w domu nie obchodzono mojego święta. Niektórzy z naszej ulicy świętowali urodziny swoich dzieci, ale nie był to ważny element naszej kultury.

W domu Felicity zobaczyłam, jak stawia się choinkę oraz ozdabia cały dom. Zapakowaliśmy prezenty i ułożyliśmy je pod drzewkiem. Pomagałam też Rachel ubierać jej drzewko. Podobało mi się to. W powietrzu czuło się świąteczną atmosferę. W domu nigdy niczego takiego nie doświadczyłam. Na zewnątrz panował chłód, więc miło było wejść do przystrojonego domu i usiąść przy kominku. Idealnie.

Kupiłam Jonesom na Święta pudełko czekoladek, gdyż nie było mnie stać na nic więcej. Wiedziałam, że Rachel mi coś kupuje, więc miałam dla niej kolczyki. W Wigilię poszliśmy do kościoła na pasterkę. Słuchałam, jak Bob mówi o narodzinach Jezusa. Wydawało się, że głęboko wierzy w to, co głosi oraz w miłość swego Boga. W szkole podstawowej wystawiano jasełka, ale opowiadały one o narodzinach świętego męża, którym był Jezus.

Jednak kiedy historię tę usłyszałam od Boba, naprawdę do mnie dotarła. Powtórzył kilkakrotnie: „Bóg stał się człowiekiem”. To stwierdzenie nie dawało mi spokoju, ciągle o nim myślałam. Zdziwiło mnie, że Bóg miałby stać się kimś tak zwyczajnym. Zszedł do poziomu człowieka, by móc lepiej głosić swoje słowo na Ziemi. Podobnie jak jego Pan, Bob był pełen pokory. Wzruszyło mnie to. Jego nauczanie diametralnie różniło się od tyrad ojca.

Bob mówił o miłości - miłości Boga, która sprawiła, że zstąpił na Ziemię jako człowiek, by porozumieć się z nami i o nas zadbać. Ciągle podkreślał to słowo w swoim kazaniu. Miłość. Miłość boża. Siedziała koło mnie adoptowana córka Felicity, Julie. W końcu nachyliłam się do niej i wyszeptalam:

- Jak właściwie zostać chrześcijaninem?

Julie uśmiechnęła się.

- To proste. Prosisz Jezusa, by do ciebie przyszedł. Poproś, by wybaczył ci grzechy, i podziękuj za to, że umarł na krzyżu i zmartwychwstał dla ciebie.

- To wszystko?

- Tak - przytaknęła Julie.

- Nie trzeba powiedzieć określonej formułki ani mieć świadków?

- Nie. Jeśli chcesz, możesz wziąć chrzest, ale nie jest to wymagane.

Uznałam, że to bardzo osobista kwestia, co mi się spodobało. Aby zostać muzułmaninem, trzeba powtórzyć trzy razy następującą frazę (najlepiej przy muzułmańskim świadku): *Wyznaję, że nie ma innego Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem.* Potem stawało się przed imamem, który ogłaszał cię muzułmaninem. Podejrzywałam, że w chrześcijaństwie istnieje podobna formalność, ale okazało się, że to nieprawda.

Wróciłam do domu Jonesów i położyłam się spać, myśląc o prezentach pod choinką. Nie mogłam jednak zasnąć. Zastanawiałam się nad słowami Boba i nad tym, co powiedziała mi Julie. Pomodliłam się więc po raz pierwszy w życiu do Boga chrześcijan:

- Boże, jeśli istniejesz naprawdę i jesteś miłosierny, chcę Cię poznać i pragnę, byś zamieszkał w moim sercu.

I to chyba był moment, w którym się nawróciłam. Wtedy nie rozpatrywałam tego w tych kategoriach. Było to po prostu coś instynktownego. Nie myślałam o szesnastu

latach bycia muzułmanką, o wierze, w której się urodziłam. Zagubiłam się w uczuciach, które wtedy poczułam. Nie myślałam nawet o tym, co może oznaczać nawrócenie. Niepowstrzymany strumień niósł mnie ku miejscu pełnemu miłości, śmiechu i światła.

Przez następnych kilka dni nie myślałam o tym, co zrobiłam. Trzeba było otworzyć prezenty i przyjmować gości. Odłożyłam na bok zastanawianie się nad tym, co to dla mnie znaczy i jaki wpływ może mieć na relacje z innymi, zwłaszcza z rodziną. Dałam się porwać atmosferze pierwszych Świąt. Nikomu nie pisnęłam nawet słówkiem o zmianie, która we mnie zaszła - nawet pani Jones.

W pierwszy dzień Świąt wymieniliśmy się upominkami. Nigdy wcześniej nie odpakowywałam prezentu, więc obserwowałam, jak robią to inni. Zobaczyłam, że otwierają je, uśmiechają się i dziękują sobie. Próbowałam ich naśladować, ale dziwnie się czułam. Nie wiedziałam, jak reagować w sytuacjach, które wiązały się z czymś innym niż kara czy wykorzystywanie. Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Wiedziałam tylko, że jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Zaczęłam czytać Biblię i odkryłam, że do mnie przemawia. Nie porównywałam jej wtedy z Koranem. Uczyłam się po prostu, co to znaczy być chrześcijaninem i jak Jezus chciałby, żebym żyła. Cieszyłam się tą nową swobodą oraz prawem do bycia kochaną. Tu nie chodziło o zachowanie honoru ani o odrzucanie tych, którzy postąpili niegodnie. Biblia mówiła, że Bóg kocha nas niezależnie od wszystkiego. Nade wszystko czułam się spokojna.

Moje nawrócenie było prywatną sprawą i odbyło się bez żadnej ceremonii czy ogłoszeń. Dwa tygodnie po Świątach jadłam lunch z Jonesami i zdecydowałam się powiedzieć o tym Felicity. Zwłaszcza z nią chciałam podzielić się tą nowiną. Byli z nami James i Jonathan.

Spojrzałam na nich nerwowo i wykrztusiłam:

- W Wigilię... stałam się chyba chrześcijanką.

Nie miałam oczywiście powodów do nerwów. Felicity uśmiechnęła się szeroko. Podbiegła i przytuliła mnie, a potem wszyscy tańczyliśmy dookoła stołu w salonie. Następnie uściśnęłam każdego członka rodziny. W moim domu nie zaznałam bliskiego kontaktu, poza wykorzystywaniem przez ojca. Podobały mi się uściski, ale wciąż czułam się nieco dziwnie.

Gdy Jonesowie zaczęli skakać i tańczyć w salonie, pomyślałam, że są nieco szaleni. Jednak podobało mi się, że bez skrępowania okazują uczucia. Była w tym swoboda i lekkość. Niektóre rodziny z naszej ulicy też się tak zachowywały, chociażby ojciec Aminy i Ruhamy, który przytulał córki otwarcie. Tak naprawdę takie rzeczy zakazane były tylko w domu mojego ojca.

Tata nie okazywał bliskości. Główne uczucie, którym obdarzał rodzinę i którym był przepełniony, to gniew. Tak naprawdę musiał go też odczuwać do samego siebie. Na pewno zdawał sobie sprawę, że jest oszustem. Przerzucał jednak swą złość na wszystkich, którzy według niego czynili źle - na inne kultury, rasy, religie lub własną rodzinę, kiedy ta łamała „zasady”. W społeczności nie znano go od tej strony, gdyż udawał łagodną osobę.

Felicity nie powiedziała tego otwarcie, ale wiedziała, jak olbrzymie zmiany przyniesie moje nawrócenie. Domyślała

się, że będę mieć przez to kłopoty, i martwiła się tym faktem. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie to łatwe, ale póki co próbowała cieszyć się razem ze mną. Uciekłam przed rodziną, kulturą, karuzelą honoru i hańby. Teraz odwróciłam się też od religii.

Jestem jej wdzięczna, że wtedy nie podzieliła się ze mną swoimi obawami. Zapewniła mi swobodę i wsparcie, bym mogła sama dokonać wyboru i pozwoliła mi popełniać błędy. Zbyt długo kontrolowano mnie i popychano. Nareszcie mogłam ustalić, kim chcę być. Odkrywałam, jaka jestem naprawdę.

Moje nawrócenie pozostało sprawą prywatną, nawet po tym, jak opowiedziałam o nim Jonesom. Jednak kilka tygodni później przyznałam się do tego kilku znajomym. Paru z nich było muzułmanami, ale nie zareagowali na to zbyt gwałtownie. Jednak w ciągu następnych tygodni moi islamscy znajomi przestali ze mną rozmawiać i siadać koło mnie na lekcjach.

Spodziewałam się tego. Powiedziałam im, żeby potwierdzić swoją teorię - kiedy wieść o moim nawróceniu rozejdzie się, społeczność muzułmańska obejmie mnie ostracyzmem. W tym przypadku przyjaźnie te nie były prawdziwe. Zależały od rzeczy takich jak religia, honor czy hańba. Nie potrzebowałam ich i nie ceniłam.

Dzięki Felicity, Rachel, Julie i Zoe doświadczyłam, że ludzie mogą zaoferować pomoc, azyl i schronienie mimo niebezpieczeństwa, różnic rasowych czy wyznaniowych. To była właśnie prawdziwa przyjaźń - o czymś takim marzyłam.

Początek nowego życia i zrywanie star

Kilka miesięcy później wyprowadziłam się od Felicity. Przyjęłam pokój, który zaoferował mi Project for Accommodation (PAB) - organizacja zapewniająca mieszkania młodym ludziom, których nie wspierają rodziny. Chciałam poeksperymentować z moim życiem oraz przetestować granice swobody i niezależności. Potrzebowałam stanąć na własnych nogach, więc z niepewnością wyprowadziłam się od Felicity.

Musiałam nauczyć się zajmować własnymi finansami, gotować, dbać o siebie i stać się samowystarczalna. Większość osób w moim wieku umiała tego dokonać. Chciałam być jak oni. PAB kontaktowało podopiecznych z osobami, które pomagały zdobyć takie umiejętności.

Mieszkałam w nowym miejscu przez półtora roku, coraz bardziej skupiając się na college'u. Na początku powtarzałam

egzamin GCSE. Miałam zamiar zdawać A-levels* w collegeu, więc potrzebowałam dobrych ocen. Odwróciłam się od rodziny, religii i zaaranżowanego małżeństwa. Odrzuciłam wszystkich, których znałam w starym życiu, musiałam więc poradzić sobie sama.

Wciąż miałam kontakt z Felicity i jej rodziną. Johnny odbierał mnie z nowego domu i zawoził do kościoła. Poza tym trzy lub cztery razy w tygodniu wracałam z nią do domu, zjeść u nich kolację. Mimo to zaczęłam martwić się, że za wcześnie zapragnęłam wolności. Zbyt wiele zdarzyło się w zbyt krótkim czasie, co sprawiało, że czułam się przytłoczona. Ponadto wypierałam myśli o tragedii, którą przeżyłam, by skupić się na jasnej, szczęśliwej przyszłości.

Niedługo po opuszczeniu domu Felicity znowu zaczęły się problemy. Poczułam, jakby zniknęła cała moja sieć wsparcia - właściwie na moje życzenie. Do przewidzenia było, że wszystko się rozsypie. W końcu wpadłam w tak silną depresję, że nie mogłam nawet rozmawiać z innymi o tym, jak mroczna i brudna czuję się w środku.

W styczniu zgłosiłam się na leczenie do szpitala psychiatrycznego. Było dobrowolne. Jednak ilekroć personel wspominał o poinformowaniu rodziny, że tam jestem, zaczynałam krzyć. Przydzielono mi psychiatrę. Byłam w stanie powiedzieć mu tylko, że jako dziecko wykorzystywano mnie seksualnie i nie jestem gotowa, aby o tym mówić. Nie wyznałam nawet, kto mnie molestował.

* Egzamin Advanced Levels, na podstawie których uczniów przyjmuje się na studia (przyp. tłum.).

Czułam się zagubiona. Kim byłam? Azjatką, która urodziła się muzułmanką, przeszła na chrześcijaństwo i miała białych przyjaciół. Gdzie było moje miejsce? Znajomi z kościoła lubili mnie i troszczyli się o mnie, lecz nie wiedzieli, z jakiego środowiska pochodzę. Tymczasem rodzina odrzucała to, kim się stałam, a gdyby dowiedziała się o nawróceniu, byłoby jeszcze gorzej.

Nie żałowałam, że opuściłam dom ani że zostałam chrześcijanką. Nic z tych rzeczy. Jednak była to ciężka próba. Pocieszała mnie opowieść o losach Jezusa - został odrzucony, zdradzony przez bliskich oraz ukrzyżowany, a jednak się nie poddał.

Zdiagnozowano u mnie kliniczną depresję i przepisano odpowiednie leki. Sprawiały, że byłam zmęczona. Ciągłe spałam. Felicity odwiedzała mnie niemal codziennie. Często przychodzili z nią Zoe, Johnny i Rachel. Bywali też nauczyciele, dyrektor oraz kobieta, która mieszkała ze mną ze swoim mężem. Przyszedł nawet Barry, opiekun społeczny.

Z jakiegoś powodu miałam obsesję na punkcie batonów Penguin, więc wszyscy mi je przynosili. Żywiłam się głównie nimi. Przyjaciele byli ratunkiem dla mnie i mojego mrocznego umysłu. Wiedziałam, że zawsze będą mnie wspierać, co dodawało mi odwagi.

Pobyt na oddziale psychiatrycznym to dziwne doświadczenie. Zaprzyjaźniłam się ze schizofrenikiem. Kiedy brał lekarstwa, był świetny, ale gdy je odstawiał, zamieniał się w potwora. Pewnego dnia zapomniał o lekach i uderzył mnie w nos.

Innego razu czytałam w pokoju Biblię, kiedy przysiadł się do mnie facet przebywający na odwyku od heroiny. Był

ogromnym, wytatuowanym skinheadem - wyglądał przerażająco. Przypominał ludzi, którzy pobili Zakira i wyzywali nas od Pakistańców i Saddamofili.

- Jestem Freddie - przedstawił się.

Zaczął rozmawiać ze mną o swoim życiu. Kiedy skończył, spytał, co czytam. Poprosił, bym pożyczyła mu Biblię, a następnego dnia chciał się dowiedzieć, jak zostać chrześcijaninem. Powtórzyłam mu to, co powiedziała mi Julie kilka miesięcy wcześniej.

Rozpoczęła się nasza niesamowita przyjaźń. Freddie był kimś, kogo moi rodzice uznaliby za narkomana, niewiernego i wykolejeńca. Tak naprawdę był uroczym, wrażliwym wielkoludem. Wspieraliśmy się nawzajem w trudnych chwilach. Freddie ożenił się potem, miał dzieci i został wikarym. Niesamowita odmiana w życiu, które wydawało się zmierzać donikąd.

Z czasem mój stan zaczął się poprawiać. Po kilku tygodniach uznałam, że jestem gotowa na opuszczenie tego miejsca. Wypisałam się ze szpitala i spróbowałam wrócić do normalnego życia. Zaczęłam przygotowywać się do opowiedzenia o tym, co mi się stało. Rozmawiałam o tym w bardzo ograniczonym zakresie z psychiatrą, więc można uznać to za pierwszy krok. Byłam na dobrej drodze. Potrzebowałam po prostu sił, aby iść nią dalej.

Powoli je zbierałam. Często odwiedzałam Felicity, szukając u niej wsparcia. Pewnego dnia wszyscy jedliśmy śniadanie. Felicity położyła na stole składniki do kanapek - bekon, pieczywo i sos pomidorowy. Wszyscy zaczęli jeść, jak zwykle pachniało pysznie.

Bez namysłu zrobiłam sobie kanapkę z bekonem. Kiedy ją ugryzłam, zrozumiałam, czego brakowało mi przez lata. Była to jedna z najlepszych rzeczy, jakie jadłam. Smakowała wybornie.

Rozejrzałam się, czy ktoś coś powie, jednak nikt nie skomentował. Z pewnością zauważyli, że jem kanapkę z bekonem. Może milczeli z uprzejmości, a może uznali, że komentarze popsują mi radość z jedzenia. Jednak chyba nic nie byłoby w stanie zepsuć mi smaku tej kanapki. Była boska.

Jedząc nie myślałam o wadze tego, co się robię. Jednak później dotarło do mnie: „O rety, zjadłam wieprzowinę!”. Przez kilka godzin wydawało mi się, że się pochoruję. Spodziewałam się czegoś okropnego. Jednak nic się nie stało. Po jakimś czasie zaczęłam zastanawiać się, o co tyle hałasu. Stałam się fanką bekonu.

Innym tabu, którego długo nie mogłam przełamać, było pokazywanie nóg. Minęły niemal dwa lata, zanim odważyłam się publicznie założyć spódnice.

Kilka miesięcy po opuszczeniu szpitala psychiatrycznego zdecydowałam się na ponowny bezpośredni kontakt z rodziną. Kiedy tam przebywałam, dzwoniłam do mamy, ale nie dawałam jej swojego numeru. Ciągle pytała, kiedy wrócę do domu.

- Przez ciebie choruję, wiesz? - narzekała. - Mój stan się pogarsza. Wszyscy tęsknimy. Kiedy wrócisz?

Mówiłam jej to samo co zawsze:

- Mamo, nie wrócę do domu. Wiesz, dlaczego. Wiesz. Musisz się z tym pogodzić. Chcę utrzymywać z tobą kontakt, ale nie wrócę do domu.

Mama cały czas stosowała ten sam szantaż emocjonalny. Nigdy nie powiedziała nic, co sugerowałoby, że o mnie dba czy że jej przykro. To, co mówiła, denerwowało mnie, bo pokazywało, że w ogóle się nie zmieniła. Ja żyłam swoim życiem, ale zdaniem mamy nadal byłam przyczyną wszystkich jej problemów. Podejrzywałam, że gdybym wróciła do domu, szybko znowu postawiono by mnie w roli grzesznicy niegodnej Boga.

Pewnego dnia po zajęciach spotkałam się ze Skip. Mieszkała teraz z siostrą. Zasugerowała, byśmy poszły do irlandzkiego baru O'Reillys.

- Co tu robimy? - spytałam, bo pierwszy raz byłam w pubie.

- Spokojnie. To dobre miejsce na spotkanie. Przynajmniej nie wpadniemy tu na muzulmanów!

Skip zamówiła sobie piwo.

- Spróbuj, zobacz, czy ci posmakuje! - zachęcała.

Wzięłam łyk, po czym stwierdziłam:

- Faj! Okropne. Czemu ludzie to piją?

Skip zaśmiała się.

- Mnie smakuje. A ty co chcesz?

Zamówiłam sok pomarańczowy. Wiedziałam, że piwo nigdy nie przypadnie mi do gustu.

Zaczęłam coraz częściej spotykać się ze Skip. Była moją jedyną łączniczką z domem, chociaż sama nie utrzymywała już silnych więzi ze społecznością. Gardziła autorytarną, totalitarną, mizoginistyczną naturą islamu praktykowanego w naszych okolicach. Jednak badała swoją duchową stronę - pociągał ją zwłaszcza hinduizm i buddyzm.

Jej mieszkanie stało się azylem dla dziewczyn ze społeczności, które zmuszono do zaaranżowanego małżeństwa lub którym to groziło. Pewnego dnia zastałam tam trzy siostry - wszystkie znajdowały się w ciężkiej sytuacji. Były starsze ode mnie i tkwiły w zaaranżowanych małżeństwach. Wkrótce poznałam gorzką prawdę o tym, co to dla nich znaczyło.

Każdą z nich wysłano do Pakistanu, by poślubiła mężczyznę, którego wcześniej nie znała. Zawsze był to odległy krewny z małej wioski. Wróciły do Anglii z mężami. Odpowiednio pięć, sześć i siedem lat później ich małżeństwa przeobraziły się w istne piekło. Ze względów finansowych wszystkie mieszkaly z mężami w jednym domu.

W moim miasteczku wciąż potrzebowano do pracy niewykwalifikowanych robotników. Nie musieli oni mówić po angielsku, lecz płacono im niewiele. Żaden z mężczyzn nie mógł jednak liczyć na lepszą ofertę. Siostry ukończyły kursy sekretarskie, przez co mogłyby zdobyć lepszą pracę niż ich mężowie. Przed ślubem wszystkie pracowały, lecz teraz małżonkowie nie pozwoliliby im na to. W ten sposób popadły w biedę.

Im dłużej opowiadały, tym ich historie stawały się coraz gorsze. Mężowie oczywiście regularnie je bili. Traktowali je jak niewolnice - musiały we wszystkim im usługiwać. Bito je za każdy błąd lub kiedy mężowie mieli na to po prostu ochotę. Co gorsza, mężczyźni upijali się tanim alkoholem i wówczas próbowali dzielić się siostrami w łóżku.

Te były przerażone i czuły obrzydzenie. Nie chciały, by traktowano je jak dziwki. Zamontowały zasuwę w drzwiach do sypialni, by mężczyźni nie mogli tam wchodzić bez pozwolenia.

Jednak sprawiło to, że ci stali się bardziej agresywni. Czasem sypiały w jednym łóżku dla bezpieczeństwa. Pod poduszką trzymały noże, na wypadek gdyby musiały się bronić. Obawiały się jednak, że nie zdołają ciągle powstrzymywać mężów. W ich sytuacji mężczyźni mieli nad nimi całkowitą kontrolę. Nie mogły zwierzyć się rodzicom, gdyż opowiadanie o problemach małżeńskich stanowiłoby „hańbę”. Zresztą same się tego wstydziły.

Wiedziały, że seks bez zgody partnera to gwałt, który w Wielkiej Brytanii jest karalny. Jednak czuły, że nie mogą iść na policję, gdyż zhańbi to społeczność. Nie mogły też udać się do imama, mojego ojca. Przekazałyby sprawę przywódcom meczetu, co oznaczałoby, że sprowadzą niewyobrażalną „hańbę” na rodzinę. Cokolwiek by zrobiły, ich życie ległoby w gruzach.

Byłyśmy ze Skip przerażone. Zrozumialiśmy, jakie to szczęście, że uciekłyśmy przed naszymi małżeństwami. Co jednak mogłyśmy im doradzić i Powiedziałyśmy, że powinny zostawić mężów. Jednak bały się tego - hańby, dyshonoru, odrzucenia przez rodziny i społeczność.

Wiedziałam, że siostry nie zrobią nic, by poprawić swoją sytuację. Nie zdołają zaryzykować własnym życiem i honorem społeczności. Widząc, jak są nieszczęśliwe i przerażone, cieszyłam się, że udało mi się uciec. Stawiało to przede mną nowe wyzwania, jednak były one o wiele mniej groźne.

Uznałam, że chcę powiedzieć rodzinie, że stałam się chrześcijanką. Wydawało mi się ważne, by zrozumieli, jak bardzo się od nich odsunęłam. Musieli zrozumieć, że nie było dla mnie powrotu, a ich nadzieje, że to chwilowy bunt, są płonne. Nigdy

do nich nie wrócę. Nie będę przykładną córką. Nie zgodzę się na małżeństwo z kuzynem, by nie „zhańbić” rodziny.

Rodzina próbowała mnie zamknąć w trumnie honoru i hańby. Moje nawrócenie było demonstracją, że się na to nie zgadzam. Zadzwoiłam do Billyego i umówiłam się z nim w parku. Przywitał mnie szerokim uśmiechem. Spytałam, jak miewa się rodzina.

Wzruszył ramionami.

- Po staremu. Astma mamy pogłębia się. Wszyscy zwalają winę na ciebie. Myślałaś o powrocie do domu?

- Nie chcę, Billy. Nigdy nie wrócę. Muszę powiedzieć ci coś ważnego. Przeszłam na chrześcijaństwo.

- Co ty bredzisz! - zaśmiał się.

- Mówię poważnie. Nawróciłam się.

- To tylko element twojego buntu - odparł. - Wiem, że to dla ciebie ciężki okres, ale opamiętasz się i wrócisz do domu. Jesteś muzumanką, Hannan. Muzumanką.

- Nie słuchasz, Billy. Przeszłam na chrześcijaństwo. Jestem chrześcijanką. Naprawdę sądzisz, że rodzice przyjąłby mnie w domu?

Billy z rezygnacją pokręcił głową.

- Urodziłaś się muzumanką, Hannan. Zawsze nią będziesz. Umrzesz jako muzumanką. To całe nawrócenie to jakieś pieprzenie.

Billy nie był wściekły czy agresywny. Uznał po prostu, że moje nawrócenie to kolejny punkt buntu jego siostry. Stwierdził, że z czasem mi to minie. Rozstaliśmy się, stwierdzając, że zostaniemy w kontakcie.

Z początku zdenerwowałam się, że Billy nie wziął mnie na poważnie. Jednak przynajmniej mu powiedziałam. O to mi chodziło. Pora zająć się innymi rzeczami.

Miałam w życiu tak wiele do zrobienia.

Chrzest krwi

Czyjaś dłoń złapała mnie i cisnęła w kierunku małych drewnianych drzwi. Wyglądała znajomo. Próbowałam krzyknąć, ale z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Chwyliła mnie za włosy i pociągnęła do tyłu. Widziałam pogardę i żądę w oczach oprawcy. Ciągnięto mnie na dół po ceglanych schodach. Ogarnęła mnie ciemność. Znowu byłam w rękach kata.

Nagle obudziłam się. Dopadł mnie powracający koszmar - ojciec znęcający się nade mną w mroku piwnicy. Odosobniona w swoim cierpieniu czułam się coraz bardziej samotna i zdesperowana.

Nigdy nie rozmawiałam z nikim o tym, że ojciec mnie wykorzystywał. Mówiłam Omerowi i Barryemu, że mnie bił. Psychiatrze w szpitalu powiedziały o wykorzystywaniu, ale nie zdradziłam, kto był sprawcą. Nikt nie wiedział, że gwałcił mnie mój ojciec. Wspomnienia o tym wciąż nie dawały mi spokoju.

Zaczęłam myśleć, że jeśli komuś o tym opowiem, pomoże mi to uwolnić się od mrocznych wspomnień. Jedyną osobą, która

przyszła mi na myśl, była Felicity. Stała się dla mnie jak druga matka. Zdecydowałam się z nią porozmawiać. Pewnego dnia zostałam z nią po lekcjach. Zaczęłam mówić o tym, co się stało, lecz wybuchłam płaczem. Poczułam, że Felicity obejmuje mnie i przytula.

- Moja biedna Hannan. Kocham cię. Bóg cię kocha. Przetrawsz to.

Poprosiłam ją, żeby nikomu nie mówiła, ale ona odparła, że nie może. Była moją nauczycielką i opiekunką, więc czuła się w obowiązku zgłosić to, co zrobił mi ojciec. Ponadto obawiała się o moje siostry. Miała pełne prawo. Czasem sama się o nie bałam, zwłaszcza odkąd uciekłam z domu.

- Boję się iść na policję - powiedziałam jej. - Niejestem na to gotowa. Nie mogę znieść myśli o wchodzeniu w szczegóły, o które na pewno będą pytać. Nie mogę odkopywać tych wspomnień, zwłaszcza przy obcych.

Nie wiedziałam, jak zareaguje moja rodzina i społeczność, jeśli ojca aresztują za wykorzystywanie seksualne córki. Hańba związana z moją ucieczką byłaby niczym w porównaniu z tym. Imam stający przed brytyjskim sądem za gwałcenie własnej córki między piątym a piętnastym rokiem życia - zniszczyłoby to naszą społeczność.

Nie wiedziałam też, czy policja mi uwierzy. Byłam młodą dziewczyną, a tata - filarem społeczności. Pamiętam, jak Omer uwierzył jemu, a nie mnie. Nie do pojęcia było, że policja mogłaby mnie wysłuchać. Kłóciło się to ze wszystkim, czego dotąd doświadczyłam. Próbowałam wyjaśnić to Felicity.

- Rozumiem twoje zmartwienie - odparła. - Może zamiast tego porozmawiamy z Barrym? Może on będzie wiedział, co robić. Zgodzisz się?

- Dobrze. Spróbuję.

Następnego dnia spotkałam się z Barrym. Był tak miły i delikatny, że zdołałam mu opowiedzieć, co działo się przez te wszystkie lata. Nie należał do zespołu ds. ochrony dzieci, więc poprosił, bym zgłosiła się do nich. Przyszła do mnie opiekunka społeczna z tego działu. Miała na imię Vicky i powiedziała, że koniecznie muszę zgłosić się na policję. Uznałam, że nie mam wyboru, więc się zgodziłam.

Vicky zawiozła mnie na komendę. Weszłam do pokoju przesłuchań. Usiadłyśmy, a ona włączyła dyktafon. Leżała przed nią kartka papieru i długopis.

- Dobrze, Hannan. Opowiedz własnymi słowami, co się stało. Zacznij od swojego nazwiska i dawnego adresu.

- Nazywam się... Nazywam się... Hannah Shah. Ja... Ja...

Próbowałam wydobyć z siebie słowa, ale nie dałam rady. Miałam ściśnięte gardło i trudności ze złapaniem oddechu. Zaczęłam się trząść i poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Przeraziły mnie konsekwencje tego, co chciałam zrobić. Bałam się o siebie. Sama rozmowa z obcymi wywoływała u mnie panikę. Wiedziałam też, że jeśli opowiem swoją historię, zapoczątkuje to lawinę zdarzeń, których już nie powstrzymam.

- Nie... nie dam rady - wyjąkałam. - Nie mogę.

Policjantka nie robiła mi problemów.

- Jeśli na razie nie potrafisz, wróć do nas, kiedy do tego dojrzejesz. Nie przejmuj się, to nie problem. Chcemy, żebyś była gotowa.

Potrzebowałam takiego zapewnienia. Zdecydowałam, że postaram się zebrać siły i przyjść innego dnia. Vicky, urzędniczka zajmująca się ochroną dzieci, zaoferowała, że odwiezie mnie do domu. Przez chwilę jechałyśmy w ciszy, ale w końcu spojrzała na mnie z ukosa.

- Cóż, Hannah, nie poszło ci, prawda? Byłaś tam zupełnie bezużyteczna! Nic nie powiedziałaś. Co za strata czasu!

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Znowu zaczęłam trząść się i płakać. Całą drogę do domu narzekała na to, że byłam „bezużyteczna”. Kiedy dotarłyśmy na miejsce, od razu zadzwoniłam do Barryego. Opowiedziałam mu, co się stało i co mówiła Vicky. Ten wściekł się. Zadzwonił do przełożonego Vicky i wniósł na nią skargę. Jednak stało się - to wydarzenie na długi czas odwiodło mnie od wizyty w urzędzie do spraw ochrony dzieci.

Urzednicy udali się do podstawówki, by spotkać się z moją siostrą, Aliją. Gdyby odkryli ślady wykorzystywania lub gdyby nauczyciele zgłosili jakieś podejrzenia, umieściliby ją w „grupie ryzyka”. Na szczęście niczego takiego nie stwierdzono. Ulżyło mi. Nie sądziłam, że tata zacznie jej robić to, co mnie. Nie widziałam, by ją kiedykolwiek uderzył.

Cieszyłam się, że nie muszę dalej zajmować się tą sprawą, chociażby dlatego, że nie miałam na to siły. Jednak chodziło też o chronienie rodziny. Wciąż zależało mi na mamie, braciach i siostrach. Doniesienie o wykorzystywaniu byłoby dla nich ciosem. Stoczyliby się w otchłań męki, wstydu i hańby.

Póki wiedziałam, że siostrom nic nie grozi, poty konsekwencje doniesienia na tatę pozostawały zbyt duże. Nie chciałam,

by rodzina straciła ojca i męża. Tata był złym człowiekiem, jednak w naszej kulturze gorzej wiodłoby im się bez niego.

Kobieta żyjąca bez męża była w naszej społeczności nikim i narażała się na różne problemy. Moje siostry byłyby równie bezbronne bez opieki ojca. Nie chciałam, żeby rodzina została wydana na pastwę losu.

Pewnego dnia poszliśmy na kręgle z Rachel i dwoma chłopakami z jej grupy młodzieżowej. Wyglądało to prawie jak podwójna randka. Jeden z nich, Łan, był bratankiem Felicity. Zauważył mnie potem na niedzielnych zajęciach z Biblii. Po ich zakończeniu podszedł do mnie.

- Cześć, Hannah - powiedział ze zdenerwowaniem. - Ja... bardzo cię lubię.

Zarumieniłam się. Co on wygadawał? Czułam się bezwartościowa i brzydka. Wszyscy mi to powtarzali. Co mógł we mnie widzieć ten wysoki, niebieskooki blondyn?

- We wtorek spotykam się ze znajomymi - dodał.
- Pójdiesz ze mną? W sensie na randkę?

- Chętnie - odparłam.

Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje.

We wtorek przyszedł po mnie i poszliśmy na kręgle. Kiedy szliśmy, wziął mnie za rękę. Przez chwilę miałam ochotę się wyrwać. Taki kontakt z mężczyzną był mi obcy. W mojej społeczności budziłby dezaprobatę i stanowił powód do plotek.

Jednak powiedziałam sobie, że muszę się odprężyć i cieszyć chwilą. Wiedziałam, że to niewinne. Nie ma niczego złego w trzymaniu się za rękę. Tak czy siak okazało się, że do niczego więcej nie miało dojść. Nie pasowaliśmy do siebie, Łan był

uroczy, ale nie grzeszył inteligencją. W szkole nie uczył się najlepiej, a po jej ukończeniu pracował dorywczo. Obecnie brnął przez życie bez celu.

Miał jedną obsesję - piłkę nożną - która okazała się zgubą naszego związku. Kibicował Manchesterowi United. Kiedyś wybraliśmy się na mecz z Southampton. W pewnym momencie łąn zaczął się dziwnie zachowywać - ilekroć jego drużyna zdobyła gola (a zdobyła cztery), odwracał się i ścisnął dziewczynę stojącą po drugiej stronie. Była biała i mniej więcej w moim wieku. Za każdym razem, gdy to robił, wyglądała na bardzo zdziwioną.

Sama byłam zdziwiona. Zapomniał, z którą z nas przyszedł? Pomyślałam: „Chwila, co ty wyprawiasz? Jestem tutaj!”. Nie mogłam tego znieść.

Zeby się odgryźć, zaczęłam krzyczeć:

- Southampton! Dalej, Southampton!

Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem w sekcji fanów Manchesteru. Jednak wszyscy dookoła szybko zorientowali się, co się dzieje. Zrywali boki, ilekroć łąn przytulał nie tę dziewczynę, a ja kibicowałam nie tej drużynie.

Po meczu łąn był zdenerwowany. Według niego kibicowanie drużynie przeciwnej to największy grzech. Jednak czego spodziewał się w odpowiedzi na swoje zachowanie? Wiedziałam już, że nic z tego nie będzie. Pozwoliłam związkowi umrzeć śmiercią naturalną, a jakiś czas później zobaczyłam, że trzyma się za rękę z inną dziewczyną.

Powiedziałam o tym Rachel i Zoe, które spojrzały na mnie z poczuciem winy.

- Przepraszam - odparła ta pierwsza. - Wiedziałam, że z kimś się spotyka, ale nie mówiłam ci nic, bo nie chciałam, żebyś się przejmowała.

Zaśmiałam się.

- Przejmować się? Niemądrym łanem? Może go sobie wziąć! Niedługo potem łan i jego nowa dziewczyna zaręczyli się. Z całego serca życzyłam im wszystkiego najlepszego.

Tymczasem ja bardzo intensywnie się uczyłam. Kiedy w końcu nadeszły egzaminy A-level, wydawało mi się, że poszły mi bardzo dobrze. Zdecydowałam, że po collegeu zrobię sobie rok przerwy. Wiele przeszłam i uznałam, że potrzebuję czasu, żeby się pozbierać, zanim pójdę na uniwersytet.

Kiedy ogłoszono wyniki, okazało się, że dostałam piątkę z socjologii, czwórkę z teologii i trójkę z angielskiego. Byłam z siebie bardzo dumna. Wiedziałam, że uda mi się dostać na uniwersytet. Okazało się nawet, że moje wyniki są lepsze niż wymagane na socjologię na Lancaster University, na który zdałam. Było to spełnienie moich marzeń.

Tego lata młodzieżowa grupa kościelna organizowała wyjazd do Indii. W planach była wycieczka do wioski w Tamil Nadu, biednym rejonie na południu kraju. W wiosce tej mieliśmy wykopać studnię. Wycieczka miała trwać cztery tygodnie. Dotąd tylko raz wyjechałam za granicę, kiedy rodzice zabrali mnie do Pakistanu w wieku trzech lat. Było to ciekawe wyzwanie.

Ten projekt zleciła naszemu kościołowi organizacja dobroczynna działająca na terenie Indii. Każdy, kto chciał pojechać, musiał pokryć cenę swojego przelotu, zakwaterowania oraz

część kosztu budowy studni. Chcieliśmy też kupić podręczniki uczniom miejscowej szkoły. Każde z nas powinno zbierać półtora tysiąca funtów.

Aby zgromadzić fundusze, miałam się różnych zajęć - od mycia samochodów na kościelnym festynie po urządzenie pokazu talentów. Na jednym ze stoisk na festynie można było pokryć kogoś mazią z mąki, jajek i niebieskiego barwnika. Trzy osoby zgłosiły się na ochotnika - ja, ktoś z grupy młodzieżowej i pastor Bob - ale pomazana miała zostać tylko jedna. Wierni płacili więc i głosowali na swojego kandydata.

Oczywiste było, kto zostanie wybrany. Siedzieliśmy we trójkę na plastikowych krzesłach, a Felicity odczytywała wyniki. Biedny pastor Bob chwilę później był już cały niebieski, a zgromadzeni wiwatowali i głośno się śmiali. Przez pewien czas nie mógł doczyścić włosów.

Oczywiście nie do pomyślenia było, żeby mój ojciec (lub jakikolwiek inny imam) naraził się na coś takiego. Tata traktował siebie zbyt poważnie. Po raz kolejny zadziwiało mnie, że religia może sprawiać frajdę. Byłam też wdzięczna innym parafianom za to, że pomogli mi zbierać pieniądze na wyjazd do Indii.

Gromadząc środki, podjęłam się jeszcze jednej rzeczy, do której miałam wyjątkowe kwalifikacje - ugotowałam na obiad curry! Mieliśmy zjeść je w kaplicy, ale stało się coś dziwnego. Na górze znajdowała się niestabilna ściana, o stan której martwił się dozorca kościoła. Wyszliśmy z tamtego pokoju, żeby zjeść curry, kiedy usłyszeliśmy hałas.

Dorośli pobiegli na górę zobaczyć, co się stało. Wrócili kilka minut później cali pokryci pyłem. Zawalił się dach kaplicy,

bo runęła niestabilna ściana. Gdybyśmy nie zeszli na obiad, znaleźlibyśmy się pod guzami. Na szczęście nikomu nic się nie stało, postanowiliśmy więc zająć się jedzeniem.

Przyrządziłam *tikka masala* z kurczaka, curry warzywne oraz ryż i chleb *naan*, starając się nie przyprawić ich zbyt pikantnie. Składniki podarowali wierni, a niektórzy przynieśli ciasta i desery. Była to prawdziwa uczta. Panowała świetna atmosfera, a wszystkim smakowało moje jedzenie. Każdy zapłacił po 5 funtów - prawdziwa okazja! Przyszło około stu osób, dzięki czemu za sam obiad uzbierałam pięćset funtów.

Kiedy nadszedł moment wyjazdu do Indii, miałam uzbierane 1758 funtów, czyli więcej, niż potrzebowałam. Nigdy nie byłam sama za granicą, wiedziałam więc, że będzie to prawdziwa przygoda. Przybyliśmy do upalnego Tamil Nadu na południu Indii. Mieszkańcy wioski powitali nas tradycyjną hinduską ceremonią, dziękując za książki i studnię, którą mieliśmy wybudować.

Na rzece przepływającej przez wioskę znajdowała się mała tama. Umieszczono na niej złoty talerz ze świecami, kadzidłem i kwiatami jaśminu. Tańczono i śpiewano. Sadhu, przywódca duchowy z potarganymi włosami, paciorkiem na szyi i przepaską na biodrach, śpiewał i recytował modlitwy. Następnie mieszkańcy poprosili nas o odwzajemnienie się.

Mimo wszechobecnego ubóstwa podobało mi się w Indiach. Cieszyłam się też, że pomagam innym i nie muszę się martwić swoją sytuacją. Uczyłam się o różnicach między ludźmi, kulturami i wierzeniami. Gdziekolwiek poszłam, podbiegały do mnie dzieci, łąpały mnie za rękę i prowadziły przez wioskę. Nigdy nie widziałam tyle ciepła i wrażliwości.

Za każdym razem odpłacałam się, próbując nauczyć maluchy angielskiej rymowanki:

Dookoła ogrodu

jak miś pluszowy

raz

dwa

czas taskotkowy!

Potem łaskotałam je po brzuchach. Uwielbiały to.

Pod koniec wycieczki spędziliśmy kilka dni w sąsiednim stanie Kerala. Cały dzień przesiedzieliśmy na plaży, opalając się i kąpiąc. Był tam bar, w którym pracował pewien Niemiec. Próbował sprzedać nam narkotyki - okazało się, że to heroina. Zauważyliśmy, że dawał ją też miejscowym dzieciom, by sprzedawały turystom. One również były pod wpływem narkotyków - miały rozszerzone źrenice i dziwnie się zachowywały. Nie mogłam na to patrzeć.

Byłam wścicka na właściciela baru. Kręciła się tam dziewczynka wyglądająca na sześciolatkę, ale w rzeczywistości miała pewnie parę lat więcej. Była chuda, niedomyta i miała spękane usta. Wyglądała, jakby poddała się w życiu. Płatała się po okolicy bez celu. Podeszłam do niej, chcąc dać jej banana, ale tylko spojrzała na mnie bez wyrazu. Nawet go nie wzięła. Nie mogłam do niej dotrzeć.

Wstrząsnęło mną to. Zastanawiałam się, co stało się z jej życiem i gdzie jest jej rodzina. Odczuwałam w stosunku do niej empatię. Przypominała mnie w dzieciństwie - była zagubiona, obojętna, pozostawiona bez opieki. Podobnie jak ja nie ceniła życia. Była sama - nie interesowały się nią nawet inne dzieci.

Podczas pobytu w Indiach widziałam wielu potrzebujących. Pomogło mi to spojrzeć inaczej na moje życie. Tak, było ciężkie, a czasem przestaczało się w piekło, jednak niektórzy mieli gorzej - jak mała, uzależniona od heroiny dziewczynka na plaży. W Anglii byli przynajmniej ludzie, którzy mi pomogli - pani Zorba, Barry i Felicity. A kto uratuje ją? Kto ocali jej życie i zapewni azyl?

Wycieczka dodała mi pewności siebie. To, że udałam się tam sama, podbudowało mnie. Po powrocie opowiedziałam o niej wszystkim, którzy pomogli mi zbierać pieniądze. Mówiłam o tym, gdzie byłam i co robiłam. Wspomniałam nawet o dziewczynce na plaży. Wcześniej nie miałabym na to dość śmiałości.

Moje życie krok po kroku stawało się lepsze. Rachel znalazła mi urocze mieszkanie. Rodzina należąca do naszej parafii chciała wynająć mi pokój. Dobrze było znowu z kimś mieszkać. Miałam dość samotności, teraz potrzebowałam towarzystwa.

Pewnego dnia odwiedziłyśmy z Rachel kościół, do którego chodzili jej znajomi. Po mszy zauważyłam starszą panią, która wydała mi się znajoma. W końcu ją poznałam. To była Edith Smith, kobieta, która wiele lat temu przychodziła do nas uczyć mamę angielskiego. Podeszłam i przedstawiłam się. Ostatnio, kiedy mnie widziała, miałam sześć lat, ale pamiętała wizyty w naszym domu.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Tak, pamiętam. Jak miewa się twoja urocza mama?

- Jestem teraz chrześcijanką, więc nie kontaktujemy się zbyt często - odparłam. - U niej chyba wszystko w porządku.

— Niesamowite! Musisz przyjść do mnie na herbatę. Chętnie o tym posłucham.

Dźwięk jej głosu wywołał falę wspomnień, z których nie wszystkie były przyjemne. Stała mi przed oczami mama śmiejąca się i żartująca ze swojej wymowy, ale za chwilę ujrzałam bijącego ją ojca. Przypomniałam sobie również moją interwencję i to, co za sobą pociągnęła.

Nie opowiedziałam pani Smith o problemach, do których doprowadziły jej wizyty. Nie mówiłam o tym, że tata bił mamę, ani nie wytłumaczyłam, dlaczego zrezygnowała z lekcji. Mogłoby ją to zasmucić. Na pewno nie miałam zamiaru mówić, że jej wizyty były pretekstem do tego, by ojciec zaczął mnie wykorzystywać.

To, co się stało, nie było winą Edith Smith. To ojciec odpowiadał za swoje chore zachowanie.

Pod koniec roku przerwy od nauki zdecydowałam się przyjąć chrzest. Chciałam to zrobić, by uczcić i potwierdzić moje nawrócenie. Był to kolejny krok na ścieżce nowej wiary i stawania się wolnym człowiekiem.

Zdecydowałam się zaprosić moją rodzinę. Chciałam, by wiedzieli, jak ważna jest dla mnie nowa wiara i tożsamość oraz że jestem wolna i uciekłam z getta naszej ulicy. W trakcie ceremonii miałam zamiar powiedzieć o tym, jak zmieniło się moje życie, o szczęściu i o tym, że mogę przemawiać publicznie, o podróży do Indii, nauce i dostaniu się na uniwersytet, budowaniu prawdziwych przyjaźni.

Miałam nadzieję, że pomoże to mojej rodzinie otworzyć oczy. Jednak chciałam też przekazać im, że mimo wszystko zdołałam

im wybaczyć. Wiedziałam, że wybaczenie jest bardzo ważne w mojej nowej wierze, i pragnęłam się tego trzymać. Chciałam, by mama wiedziała, że nie chowam do niej urazy. Zaproszenie ich na chrzest miało być tego znakiem. Poza ojcem - nie wiedziałam, czy kiedykolwiek zdołam zapomnieć o tym, co mi zrobił.

Wiedziałam, że zapraszanie ich jest naiwne, niemądre, a nawet niebezpieczne. Nie słyszałam wcześniej słowa „apostazja”. Nie wiedziałam, że w hadisach (zbiorniku opowieści o tym, co zrobił, powiedział, dopuszczał Mahomet, a czego zabraniał) napisano, iż każdy, kto odejdzie od islamu bezpowrotnie, powinien zginąć. Nie wiedziałam, że to jeden z największych grzechów. Jednak nawet gdyby było inaczej, i tak pewnie zaprosiłabym rodzinę. Chciałam, żeby wiedzieli, dokąd doprowadziła mnie wolność.

Zadzwoiłam do Billygo. Przez chwilę rozmawialiśmy o rodzinie i innych sprawach, aż w końcu zdobyłam się na odwagę:

- Billy, pamiętasz, jak mówiłam, że zostałam chrześcijanką? Będę przyjmowała chrzest. Chcę, żebyś przyszedł. To dla mnie ważne. Chcę, żebyście tam byli - ty, Raz, mama i reszta.

Billy prychnął. Nic nie odpowiedział. Mimo to poinformowałam go, kiedy i gdzie odbędzie się chrzest. Po chwili milczenia mój dobry braciszek odłożył słuchawkę.

Poczułam się, jakby ktoś zamknął mi drzwi przed nosem. Byłam bardzo wzburzona, ale nie zaskoczona. Pomyślałam: „No i mam swoją odpowiedź. Nie przyjdą”. Jeśli Billy, najbardziej liberalna osoba z rodziny, tak zareagował, nie miałam co się łudzić. Wzięłam głęboki oddech i uznałam, że nie będę o tym myśleć. Spróbowałam. Zrobiłam, co mogłam.

Kilka dni później byłam w domu sama. Uczyłam się po południu w pokoju. Nagle usłyszałam jakieś odgłosy z zewnątrz. Podbiegłam do okna. Kiedy wyrzałam na ulicę, nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Przed domem stał tłum około czterdziestu Pakistańczyków. Mieli młoty, kije i noże. Z przodu stał tata, jego twarz wykrzywił gniew. Ku mojemu przerażeniu nawet liberalny wujek Kramat był w tłumie, wykrzykując dziko. Nie widziałam moich braci ani kobiet z ulicy, ale nie zostałam przy oknie, by przyglądać się czeredzie.

Ukryłam się z tyłu domu. Wiedziałam, że drzwi frontowe są zamknięte. Jednak był to zwykły zamek, który tylko na chwilę zdołałby powstrzymać czterdziestu mężczyzn. Wystarczyłoby kilka ciosów młotami i nożami. Przed oczami stanął mi przepelniony żądzą krwi tłum, gnający po schodach z bronią w ręku. To było przerażające.

Ponownie usłyszałam krzyki.

- Zdrajczyń! - grzmiał ojciec. - Zdrajczyń! Zdradziłaś własną rodzinę! Zdradziłaś swoją wiarę! Przeklęta zdrajczyń! Rozszarpiemy cię! Spalimy żywcem!

Rozległo się walenie do drzwi. Wczołgałam się pod łóżko, trzęsąc się ze strachu i modląc do Boga, by mnie ochronił. Usłyszałam dźwięk otworu na listy, przez który rozległ się głos ojca:

- Przeklęta, brudna zdrajczyń! Potniemy cię! Spalimy! Wyrwiemy zdradzieckie serce! Zdrajczyń - zgnijesz w piekle!

Byłam przerażona. Wiedziałam, co stanie się, jeśli ojciec wyważy drzwi i dostanie mnie w swoje ręce.

Zostanę zlinczowana przez tłum.

Tłum

Mieszkałam w dzielnicy białych robotników, nie miałam pojęcia, jak odnalazł mnie ojciec. Jednak w jakiś sposób tego dokonał. Słyszałam przerażający odgłos młotów i kijów uderzających w drzwi oraz przekleństwa i groźby. Miałam wrażenie, że trwa to wiecznie.

Nagle jednak wszystko ucichło. Leżałam pod łóżkiem, wstrzymując oddech. Czułam łomot serca. Co się stało? Poszli sobie? Wdarli się do domu i skradali się? Obeszli go od tyłu, by przejść przez płot? Nie wiedziałam.

W końcu zebrałam się na odwagę, by wyjść spod łóżka. Przeczesałam się na przód domu. Dalej nic nie słyszałam. Odchyliłam jedną z zasłon o kilka centymetrów. Ulica wydawała się pusta. Szalony tłum znikł równie szybko, co się pojawił.

Uznałam, że okoliczna społeczność musiała wyjść na ulicę. Może po raz pierwszy okazało się, że coś idzie nie po myśli ojca. Był to region robotniczy i tutejsi mieszkańcy z pewnością niechętnie podchodzili do hałasującego tłumu Pakistańców.

A może ojciec stwierdził, że jestem poza domem? Wyrzałam tylko z okna na piętrze. Prawdopodobnie mnie nie zauważono. Być może uznał, że oblegają pusty dom. Sfrustrowani, przerwali swój atak. Poczulałam, że pomogły mi modlitwy. Dały mi siłę.

Mimo to cała drżałam. Wiedziałam, że mam szczęście, że żyję. Poczekałam, by upewnić się, że tłum znikł. Następnie wykręciłam numer Rachel.

- Halo?

- Rachel, tu Hannan - wyszeptałam drżącym głosem.

- Hannan? Co się stało? Nic ci nie jest?

- Nie. To znaczy tak. Stało się coś strasznego. Bardzo się boję. Potrzebuję pomocy, Rachel...

- Co? Co się stało? Powiedz mi.

W jej głosie wyczułam przerażenie. Bałam się, że jeśli powiem jej o tłumie i tacie, to nie przyjedzie, że strach będzie zbyt silny. Spanikowana powiedziałam tylko tyle, by sprawić, żeby przybyła.

- Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Przyjedziesz? Potrzebuję pomocy, Rachel.

- Oczywiście, już jadę.

Upchnęłam mój niewielki dobytek do torby. Pięć minut później usłyszałam, jak pod dom podjeżdża samochód, po czym rozległo się pukanie do drzwi. Odczułam ulgę. To była Rachel. Wybiegłam i wskoczyłam do samochodu.

Pojechałyśmy do jej domu, gdzie spędziłam kilka następnych dni. Nie powiedziałam Rachel i jej rodzinie, co dokładnie się stało. Opowiedziałam tylko, że rodzina mi groziła i musiałam uciec z domu.

Byłam w szoku. Nie spodziewałam się, że tata zareaguje w tak ekstremalny sposób i że publicznie dopuści się próby przemocy. Dotąd utrzymywał w tajemnicy bicie i wykorzystywanie mnie. Nagle jednak stało się to sprawą publiczną, a ojciec miał wsparcie społeczności.

Przed oczami stały mi wykrzywione od nienawiści twarze ludzi z mojej ulicy. Wszyscy grozili mi śmiercią i zemstą tylko dlatego, że odważyłam się wybrać inną wiarę. Nawiedzały mnie one we śnie i na jawie.

Mimo to przyjąłam chrzest. Musiałam zmienić kościół, gdyż rodzina wiedziała, gdzie ma odbyć się ceremonia. Rachel naciskała, żebym zadzwoniła na policję i doniosła na tatę, jednak ja opierałam się. Nie chciałam znaleźć się w centrum sporu. Pragnęłam tylko, by zostawiono mnie w spokoju. Nie chciałam, by ciążył mi na sumieniu rozpad mojej rodziny.

Kilka tygodni później zadzwoniłam do Skip, by spytać się, co się dzieje. Wieść o poczynaniach ojca rozeszła się. Skip ostrzegła, że szuka mnie moja rodzina i cała ulica. Poradziła mi, żebym zachowała ostrożność. Społeczność kipiała gniewem, że „jedna z nich” odwróciła się od islamu. Rozjuszyło ich to, a ojciec podsyczał w nich ten stan. W społeczności wiedziano, że młode dziewczyny uciekały z domów. Próbowaly uniknąć aranżowanych małżeństw. Ale odwrócenie się od islamu nie mieściło im się w głowach.

Martwiłam się o Skip. Moja rodzina wiedziała, że się przyjaźnimy, i naciskała, żeby powiedziała im, gdzie jestem. Jednak buntownicza dziewczyna nie miała zamiaru się ugiąć. Było

wręcz przeciwnie. Ilekroć ktoś z ulicy dowiedział się, gdzie przebywam, wieść o tym zaczynała krążyć po społeczności. Wtedy Skip dzwoniła mnie ostrzec, a ja pakowałam się i znikałam.

Na szczęście mogłam polegać na moich znajomych z kościoła. Dzwoniłam do nich, a oni przyjeżdżali po mnie i znajdowali miejsce, w którym mogłam zostać na jakiś czas. Nie wiedzieli co mi grozi, ale rozumieli, że sprawa jest poważna. Rzucali wszystko i upewniali się, że przeniosę się jeszcze tego samego dnia.

Moja rodzina przekazała Skip, że muszę porzucić nową wiarę. W przeciwnym razie nie spoczną, dopóki mnie nie dopadną. Miałam wrócić do nich, do islamu i poślubić mężczyznę, którego mi wybrano. Okazało się, że moje podejrzania były słuszne. Rodzina matki zdecydowała po moich narodzinach, że wyjdę za dalekiego krewnego - tego, którego pokazano mi na zdjęciu. Gdyby ojcu udało się wtedy wsadzić mnie do samolotu, byłabym już jego żoną. Mieszkałabym w jakiejś pakistańskiej wiosce, uwięziona przez krewnych.

Zdążyłam już pojąć, że dla wielu muzułmanów apostazja to największy grzech. Zrozumiałam, jakiej „zbrodni” dopuściłam się w oczach społeczności. To dlatego rodzina na mnie polowała. Byłam tym zszokowana i zasmucona. A także przestraszona. Jednak starałam się o tym nie myśleć.

Chciałam mieć to za sobą, jak wszystko inne. Nie mogłam o tym myśleć. Przeciężało mnie to emocjonalnie. Chciałam tylko ukryć się i normalnie żyć.

Przez około rok po tym, jak ojciec pojawił się pod moim domem na czele tłumu, by mnie napaść, byłam zmuszona

średnio co trzy miesiące zmieniać miejsce zamieszkania. Swoje rzeczy trzymałam w jednej torbie, na wypadek gdybym nagle musiała uciekać.

Zmieniłam też nieco swoje imię, żeby brzmiało mniej egzotycznie: z „Hannan” na „Hannah”. Nie oszukiwałam się jednak, że utrudni im to zadanie. Żyłam z dnia na dzień, nie wiedząc, kiedy znowu będę musiała się przenieść. Moja sytuacja uniemożliwiała mi snucie jakichkolwiek planów. Z powodu tej gry w kotka i myszkę moje marzenia o uniwersytecie niemal się rozpadły.

Nie mogłam nigdzie zapaść korzeni. Nie miałam jak się uczyć. Znalezienie pracy na dłużej też było nierealne. Czułam, jakbym fizycznie uciekła przed ojcem, jednak psychicznie wciąż tkwiła w koszmarze.

Tego roku nie aplikowałam na uniwersytet. Dopiero dwa lata po tym, jak tłum pojawił się pod moimi drzwiami, poczułam, że mogę spróbować. W tym czasie nie kontaktowałam się z rodziną, jednak nadal wisiał nade mną cień ich nienawiści i uprzedzenia. Złożyłam papiery na wydział teologii i religii na Lancaster University.

Dowiedziałam się, że uczelnia ta ma świetny wydział teologii, na którym wykładają najlepsi profesorowie. Zawsze fascynowały mnie różne wierzenia, a poza tym uwielbiałam filozofię w collegeu. Podobało mi się to, że zachęcano tam do dyskusji i wolnego myślenia. To dlatego stwierdziłam, że chciałabym lepiej poznać główne religie istniejące na świecie. Teraz miałam szansę to zrobić.

Przejęcie na chrześcijaństwo nie zmniejszyło mojego zainteresowania innymi wiarami. Zauważyłam, że jedną z opcji

w programie nauczania był „feminizm w islamie”. Fascynowało mnie to! Proponowano kursy wprowadzające do judaizmu, buddyzmu czy hinduizmu. Chciałam poznać i zrozumieć te religie.

Nie wiedziałam, co chcę robić po skończeniu nauki. Myślałam, że zostanę może nauczycielką, jak Felicity, lub pracownikiem społecznym, jak Barry. Była to dwójka ludzi, którzy imponowali mi najbardziej. Wiedziałam, że chcę pomagać młodym kobietom, które tkwią w takiej sytuacji, w jakiej niegdyś tkwiłam ja, i nie zdołały się z niej wyrwać. Problemy, które przeżyłam, stawały się coraz bardziej powszechną kwestią. W prasie pojawiały się nowe doniesienia o dziewczynach, które uciekły przed zaaranżowanym małżeństwem, i o tak zwanych „honorowych zabójstwach”.

Skip często dzwoniła do mnie z informacją o kolejnej dziewczynie, która chciała uciec z rąk swojej rodziny. Dowiadywałam się też o młodych muzulmankach, które pojawiały się w kościele, prosząc o pomoc. Przynajmniej trzy razy w naszej parafii ktoś natrafił na dziewczynę próbującą uniknąć zaaranżowanego małżeństwa. Przychodzono do mnie po radę. Pytano, jak pomóc ofierze oraz jak sprawić, by rodziną ją zrozumiała.

Niektóre dziewczyny pochodziły z o wiele bardziej liberalnych rodzin niż moja. W jednym przypadku córka zdołała wyjaśnić rodzicom, co czuje. Poszli z nią na układ - wolno jej było uczyć się na uniwersytecie, ale potem mieli wrócić do rozmowy o zaaranżowanym małżeństwie. Dziewczyna wydawała się z tego zadowolona.

Czasem rodziny te okazywały się bardziej otwarte, niż można było przypuszczać na pierwszy rzut oka. Wystarczyło

tylko rozpocząć rozmowę i pójść na kompromis. Sytuacja nie dochodziła wtedy do etapu, na którym w grę wchodziły słowa „honor” i „hańba”. Jednak takie dziewczyny miały szczęście. Nie były też winne największego grzechu - apostazji.

To właśnie muzułmanie informowali rodzinę o tym, gdzie mieszkam. Co piątek ojciec rozdawał w meczecie kserokopie mojego zdjęcia ze swoim numerem telefonu. Prosił, by zadzwoniono do niego, jeśli ktoś mnie zobaczy. Równie dobrze mógłby rozwieszać w miasteczku plakaty z napisem: *Hannan Shah POSZUKIWANA za grzech APOSTAZJI*.

W pewnym sensie mój ojciec stworzył siatkę szpiegowską, która miała mnie śledzić. Kiedy ktoś zobaczył mnie na ulicy, stawało się oczywiste, w jakiej części miasta mieszkam. Po kilku takich przypadkach ojciec mógł stwierdzić, o który dokładnie dom chodzi.

Myślałam nad tym, aby wyprowadzić się z północy Anglii, żeby uciec przed rodziną i jej szpiegami. Jednak miałam tu wszystkich przyjaciół. Stanowili moją drugą rodzinę i nie chciałam ich opuszczać. Ponadto dostałam się na wymarzone studia w Lancaster. Uznałam, że to duże, wielokulturowe miasto, więc będę mogła w nim zniknąć i zapomnieć o moich prześladowcach.

Z pewnością będę tam bezpieczna.

Ignorancja

Pierwsze dni na uniwersytecie były pełne swobody i wolności. Poczułam nagle, że nie liczy się to, co noszę, jak wyglądam, jaki mam kolor skóry, w co wierze. Znajdowali się tu ludzie wszystkich ras, kolorów i wyznań. Byli też członkowie rozmaitych subkultur, takich jak goci, hipisi czy sloanes* .

Szybko nawiązywałam nowe znajomości. Od razu polubiłam trzy dziewczyny z mojego kursu. Stały się moimi kumpelami i wprowadziłyśmy się razem do mieszkania w centrum Lancasteru.

Anna była niską, nieco przysadzistą białą dziewczyną z Durham o czarnych kręconych włosach. Miała eklektyczny gust, studiowała teologię, filozofię i filologię.

Tamsin była białą miejscową dziewczyną - prawdziwą pięknoscią. Ta wysoka i szczupła studentka wzbudzała olbrzymie zainteresowanie u płci przeciwnej. Nieustannie ją podrywano.

*** Termin określający bogatą młodzież, pochodzący od nazwy Sloane Square w bogatej dzielnicy Londynu (przytłum.).**

Jednak chłopcy szybko zrozumieli, że jest typem nudziary, a nie imprezowiczki. Tak czy siak, miała zamiar wyjść za przyjaciela z dzieciństwa. Wybrała kursy biblijne: Nowy Testament, Stary Testament i archeologię biblijną.

Była też Jenny, kolejna biała dziewczyna o jasnobrązowych włosach. Pochodziła z Bury i nosiła zwiewne, kwieciste, hipisowskie ubrania. Wykazywała się wśród nas największą kreatywnością - grała na gitarze, pisała teksty piosenek i uwielbiała śpiewać. Interesowała się głównie filologią - greką, hebrajskim oraz urdu, na który chodziła ze mną.

No i byłam ja. Miałam bardzo długie kręcone włosy i mocno przybrałam na wadze. Chłopcy za mną nie szaleli. I tak mnie nie interesowali. Jeśli już jakiś mnie zagadał, nie byłam zbyt rozmowna. Skupiałam się na studiach, co ich nie zniechęcało.

Wieczorami chadzałyśmy do lokalnego pubu albo do baru związku studenckiego. Wtedy wiedziałam już, że nie przepadam za smakiem alkoholu, więc praktycznie go nie piłam. Lubiłam tylko malibu z ananasem, ale był to zbyt drogi drink, żebym piła go często. Jednak każdy młodzieniec, który zaoferował, że mi go kupi, mógł liczyć na mój uśmiech!

Nasz dom znajdował się nieopodal sławnej dzielnicy curry Lancasteru. Ilekroć ktoś ze znajomych miał urodziny, udawaliśmy się do którejś z tamtejszych restauracji. Jednak nie należałyśmy do grona imprezowiczek. Wszystkie chciałyśmy, by dobrze szło nam na studiach. Byłyśmy dumne z tego, że jesteśmy kujonami!

Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiłam na uniwersytecie, było przeczytanie Koranu po arabsku, choć nie wymagał tego

żaden wykładowca. Po latach tego, jak przewodnicy duchowi - w tym mój ojciec - mówili mi, co myśleć, chciałam przekonać się, co tak naprawdę w nim napisano. Jako dziecko nauczyłam się wielu wersetów Koranu na pamięć, nie rozumiejąc z nich zbyt wiele. Teraz chciałam poznać prawdę.

Kupiłam więc angielski przekład. Zaczęłam czytać go wieczorami w domu po wykładach i nauce. Znalazłam tam fragmenty traktujące o gniewie, który obracał ku mnie ojciec. Jednak było tam również wiele łagodnych wersetów, mówiących między innymi o jałmużnie dla biednych czy o opiece nad sierotami i wdowami. Dlaczego ojciec mi o nich nie opowiedział? Nie twierdzono też, że pomoc powinna dotyczyć tylko innych muzułmanów - wręcz przeciwnie - należy nią obejmować wszystkich, którzy są w potrzebie, niezależnie od rasy czy wyznania.

Kiedy po raz pierwszy zaczęłam czytać Koran ze zrozumieniem, dotarło do mnie, że nie ma tam wielu rzeczy, o których mówił mi ojciec. Przynajmniej ja ich nie znajdowałam. Wiele elementów zmieniono, by pasowały do systemu kontroli wymyślonego przez ojca i jemu podobnych.

Dotyczyło to nawet podstawowych kwestii. W Koranie nie napisano na przykład, jak się modlić. Nie podano, co ma robić muzułmanin i jakie słowa wypowiadać podczas modlitwy. Rytuał stania, klęczenia i bicia pokłonów w stronę Mekki nie występuje w Koranie. Modlitwy to wersety ze świętej księgi, ale nie napisano tam, że trzeba używać właśnie ich pięć razy dziennie o określonych porach.

W oczach mego ojca modlenie się pięć razy dziennie to podstawa islamu, to droga do rajy dla muzułmanina. Nie miało

to jednak żadnego poparcia w świętej księdze. Informacje te pochodziły z hadisów.

Przeczytałam Koran od deski do deski, a potem zrobiłam to ponownie. Wściekłam się, kiedy zrozumiałam, że nie napisano tam nic o małżeństwach aranżowanych. Tata powtarzał mi, że to właśnie stamtąd pochodzi przykaz, by rodzina ustalała, za kogo wyjdzie córka. Nic podobnego. Według świętej księgi małżeństwo traktowane jest jak kontrakt - kobiety mają swoje prawa i nie można ich zmusić do ślubu.

Gdyby przyjrzeć się bliżej losom proroka Mahometa, okazałoby się, że ożenił się ze swoją wybranką, Chadidzą, z miłości. Ona była starszą wdową, on pracował dla niej jako kupiec. W końcu zakochali się w sobie i pobrali. Chadidza nie była spokrewniona z Mahometem. Pochodzili nawet z innych plemion. Skąd więc wziął się pomysł, że muzułmanki powinny wychodzić za krewnych?

Ojciec twierdził, że tak napisano w Koranie, jednak to nieprawda. Wydaje mi się, że wywodziło się to z tradycji ukształtowanych w rdzennym regionie ojca w Pakistanie. Nie było w tym nic z islamu, przynajmniej jeśli chodzi o świętą księgę muzułmanów.

Zdumiewały mnie też inne rzeczy. Zasadniczo Koran stanowiły słowa Allaha ujawnione jego prorokowi, Mahometowi. Nie była to jednak opowieść o jego życiu. Mówiono tu o wielu rzeczach, między innymi o narodzinach Isy (Jezusa) - o tym, jak archanioł Gabriel nawiedził Miriam (Maryję) i powie-dział jej, że Jezus będzie prorokiem zesłanym przez Allaha. Zamieszczona została tu także historia Izaaka i Izmaela, żony

Ibrahima (Abrahama) i jej niewolnika oraz opowieści o Musie (Mojżesz), Yaqubie (Jakubie), Yusufie (Józefie) i Ayubie (Hiobie).

Był też rozdział zatytułowany *Kobiety*, który zawierał wskazówki odnośnie tego, jak muzułmanie powinni traktować płęć piękną. Napisano tam, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni powinni ubierać się skromnie i że należy traktować niewiasty z czcią oraz je chronić. Dodano, że mężowie mogą „bić” swoje żony za „złe zachowanie”. Jednak nie wspomniano, że powinny one zakrywać się od stóp do głów, łącznie z twarzą.

Więc skąd, na Boga, wzięły się te zasady? Mój tata twierdził, że ciało powinno być zawsze zakryte, dlatego kobiety musiały nosić *salwar kamiz* i hidżab. Była to jedna z jego podstawowych „zasad”. Twierdził, że wywodziła się z Koranu, jednak niczego takiego nie napisano w świętej księdze islamu.

Jednakże niektóre sury zaskoczyły mnie i rozczarowały. W surze 2:223 napisano, że kobieta jest „polem uprawnym mężczyzny” i może on przychodzić na to pole, jak chce. Uwagi i komentarz do angielskiej wersji Koranu, z której korzystałam, interpretują to jako: „możesz uprawiać seks z żoną w dowolny sposób, pod warunkiem że jest to stosunek waginalny, a nie analny”. Kilka innych wersetów miało równie mizoginistyczny wydźwięk.

Kiedy czytałam Koran po raz drugi, zaczęłam liczyć, ile razy wspomniano tam o Jezusie. Wzmianek o Nim było dziewięćdziesiąt pięć. Dla kontrastu, o Mahomecie mówiono dwadzieścia osiem razy. Czemu więc ojciec krzyczał, że nie wolno mi nawet wspominać w domu o Jezusie? Nie miało to dla mnie

sensu. Koran głosił, że był On uzdrowicielem i czynił cuda. Nie wspomniano o tym, by był pariasem, jak sugerował ojciec.

Zainteresowała mnie szczególnie jedna z historii - o Hagar i Izmaelu. W Starym Testamencie napisano, że Abrahama poproszono, by poświęcił swego syna, Izaaka. W Koranie zaś podano, że chodziło o Izmaela. Stary Testament twierdzi, że to Izaak miał kontynuować linię Abrahama - święty ród boży. Jego potomkami byli Żydzi. Jednak Koran podaje, że święty jest ród Izmaela, a Mahomet to jego bezpośredni potomek. To Izmael był przodkiem muzułmanów.

Historia dotyczyła sedna tego, kto został wybrany przez Boga, by kontynuować linię świętego rodu - Izaak czy Izmael. Żydzi czy muzułmanie? Linia rozgraniczająca to była cienka, można wręcz twierdzić, że nie istniała. Wiele opowieści w obu świętych księgach było do siebie podobnych - miały tych samych bohaterów, zbliżone paralele i przesłania.

Koran nie był taki, jak twierdził mój ojciec. Godzinami studiowałam świętą księgę i towarzyszące jej hadisy. Szczególną uwagę zwróciłam na kwestię odwracania się od islamu, czyli tak zwaną apostazję. Faktycznie napisano w niej, że muzułmanin może zabić innego muzułmanina, który porzuci wiarę i nie będzie chciał do niej wrócić (jednak regulował to proces prawny).

Jednak nie czułam się bardziej przerażona niż wcześniej. Wątpiłam, aby mój ojciec o tym wiedział. Intencje tłumy, który zgromadził, były jasne. Wiedziałam, że o to właśnie im chodzi. Chęć zabicia mnie i żądza krwi, którą wzbudził w społeczności, wynikały z tradycji honoru i hańby.

Przed przeczytaniem Koranu nigdy nie kwestionowałam tego, czy ojciec go zna. Myślałam, że gdyby było inaczej, nie mógłby zostać imamem. Uznałam, że to, czego mnie naucza, to islam. Jednak teraz poznałam prawdę. Większość jego dogmatów i uprzedzeń nie pochodziła ze świętej księgi. Twierdząc inaczej, wykazywał się niesamowitą arogancją, ignorancją i hipokryzją. Było to też świętokradztwo.

Oczywiście imamowie z podobnych społeczności potwierdziliby, że jego nauki są prawdziwe. Wielu z nich uważało tak samo. Trzeba było mieć wiele odwagi, aby samemu się o tym przekonać i stanąć w obronie swojej religii. W każdym razie w pokoleniu moich rodziców nie kwestionowano słów starszych i nauczycieli. Nauki religijne przekazywano ustnie i uczono się ich na pamięć.

Stwarzało to ogromne prawdopodobieństwo wystąpienia efektu głuchego telefonu, w którym błędne interpretacje przybierały coraz bardziej na sile. Z początku prawdy się wypierano. Następnie o niej zapomniano. W końcu błędna interpretacja stawała się tą powszechnie obowiązującą.

Nie była to oczywiście żadna wymówka. Gniewałam się na ojca i jemu podobnych. Czego uczono młodych muzułmanów w Anglii i innych miejscach globu? Niewątpliwie tego samego, czego mnie - islamu takiego, jakim widział go mój ojciec. Większość z tego stanowiły pełne uprzedzeń bzdury, których nie było w Koranie.

Pierwszy raz w życiu miałam jasną wizję islamu i nie wierzyłam już w słowa ojca.

"Zaczęłam rozmawiać z innymi muzułmanami z mojego kursu o tym, co przeczytałam. Pytałam, co sądzą o dziewięćdziesięciu pięciu wzmiankach o Jezusie, czy o całym rozdziale poświęconym Maryi, jego matce. Najczęściej nic o tym nie wiedzieli. Cytowałam więc rozdział i wers, a oni obiecywali, że go przeczytają. Okazało się, że większość z nich miało do czynienia z Koranem tylko po arabsku. Jak wszyscy z mojej ulicy, nie wiedzieli nawet, co tam napisano. Było to niesamowite.

Znajomi pochodzili z podobnych środowisk co ja, więc spodziewałam się, że tak będzie. Dlatego zadawałam takie pytania. To byli młodzi, wykształceni muzułmanie po dwudziestce, uczący się teologii na jednym z najlepszych pod tym względem uniwersytetów w Wielkiej Brytanii. Jeśli nawet oni nie wiedzieli, co tak naprawdę napisano w Koranie, mogłam tylko wyobrazić sobie, jak wygląda to wśród reszty wiernych.

Jednak najbardziej zdziwiło mnie, że nie chcieli poznać swojej religii poprzez lepsze zrozumienie Koranu. Zadawało ich to, co im powiedziano, czyli że nie powinno się go czytać inaczej niż w niezrozumiałym arabskim.

Wyglądało też na to, że wykładowcy boją się krytycznie oceniać Koran lub ogólnie islam. Ilekroć prowokowałam dyskusję, część muzułmańskich studentów denerwowała się. Nie mogli zaakceptować, że ktoś kwestionuje znaczenie lub interpretację ich świętej księgi. Profesorowie zaś raczej bronili ich, niż stawiali im czoła.

Na kursie o feminizmie w islamie stwierdziłam, że w Koranie nie napisano, że kobiety muszą mieć zakryte głowy.

- Napisano! - sprzeciwiła się jedna z muzułmanek, która sama nosiła hidżab. - Zresztą skąd miałybyś wiedzieć? Nie jesteś muzułmanką, tylko chrześcijanką. Kto dał ci prawo interpretować naszą świętą księgę?

- Przeczytałaś ją kiedyś w języku, który rozumiesz?
- spytałam.

- Cóż... nie. Nie powinnam... Koran należy czytać tylko po arabsku. To nie Biblia, prawda?

- Ja przeczytałam go po angielsku - kontynuowałam.
- W moim ojczystym języku. Wiem, co tam napisano. Sprawdź surę 24:31. Napisano w niej, że kobiety powinny zakrywać łona, ale nie ma nic o głowach czy twarzach. A mężczyznom w równym stopniu co kobietom nakazuje się „ubierać skromnie”. Jeśli więc kobiety mają nosić chusty, oni też powinni.

Wściekła młoda kobieta zaczerwieniła się ze wstydu. Co mogła odpowiedzieć? Nie wiedziała, co tak naprawdę napisano w Koranie, więc nie była w stanie o tym dyskutować.

W takich sporach muzułmańscy studenci przeważnie wstydzili się swojej ignorancji dotyczącej świętej księgi. Wykładowcy czuli się nieswojo, kiedy podnosiłam takie tematy. Uczyli nas o muzułmańskich pisarkach feministkach, jednak nie chcieli omawiać samego Koranu. Wyglądało to, jakby w odróżnieniu od innych świętych pism był on poza wszelką krytyką.

Zaczęłam rozmawiać prywatnie z kilkoma muzułmankami i muzułmanami z moich kursów. Omawialiśmy to, co napisano w Koranie - cytowałam im konkretne wersety. Niektórzy z nich czytali je, co dawało nam pole do dyskusji. Część przyznała,

że ku ich zaskoczeniu w Koranie nie napisano tego, czego ich nauczono.

- Masz rację - zwierzyła się jedna muzułmanka. - Nie ma nakazu zakrywania głów. Jednak napisano, by ubierać się skromnie. Spójrz na surę 24:31.

- To prawda, ale spójrz tutaj.

Wyjęłam swój Koran po angielsku i wskazałam werset.

- Napisano tu, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni powinni ubierać się skromnie. Skoro kobiety noszą chusty, to i oni powinni, prawda?

Jeden z mężczyzn upierał się, że w przypadku kobiety należy zasłaniać włosy i piersi, gdyż są piękne i prowokacyjne, natomiast u mężczyzny rejonów tych nie trzeba zakrywać.

- A co z twarzą? - spytałam.

Nie miał na to odpowiedzi.

Widziałam zdziwienie w oczach muzułmanów, którzy przeczytali Koran po angielsku. Zmąciło to ich pewność siebie. Jednak większość z nich nie chciała ze mną o tym rozmawiać. Upierali się, by czytać księgę tylko po arabsku. Woleli nie poszerzać horyzontów. Pasowała im ignorancja, do której mieli pełne prawo.

Żadne z nich nie przyznało, że to fakt, iż przeczytałam Koran po angielsku (co uznawali wcześniej za duchowo bezsensowne), dał im siłę, by także to zrobić. Nikt nie stwierdził, że ja podsunęłam im ten pomysł. Wiem jednak, że tak było. Znowu okazało się, że moja buntownicza natura jest nie do okiełznania.

Słowo „islam” oznacza „poddanie”. Wiele osób utożsamiało tę wiarę z poddaniem się słowom Allaha czytany w języku,

który rozumiało niewielu wiernych. Sam fakt kwestionowania czegoś z wersji islamu, którą znali, nie mieścił się studentom w głowach. Stało się to dla mnie jasne. Koran mówi o byciu „nie-wolnikiem Allaha”. Być może niewolnicy nie powinni kwestionować, a czasem nawet rozumieć swojego pana.

Miałam napięte stosunki z muzułmańskimi studentami głównie z powodu debat. Podchodzili do mnie trochę z szacunkiem (głównie dlatego, że potrafiłam cytować rozdziały i wersety z Koranu), trochę z podejrzliwością. Dlaczego zadawałam pytania o ich wiarę? Kim byłam, żeby kwestionować nauki imamów i to, w co wierzyli? Wielu mężczyzn było na mnie wściekłych i nie kryło tego. Mówili tylko, że Koran to słowo boże i nie powinno się go kwestionować.

- Nie twierdzą, że macie kwestionować słowo boże - odpowiadałam. - Mówię tylko, że powinniście przeczytać je w języku, który rozumiecie. Lepiej chyba wierzyć, wiedząc, niż trwając w ignorancji? Lepiej wierzyć, gdyż przeczytało się i zrozumiało święte pismo, a nie dlatego, że słuca się jedynie tego, co mówią inni?

Moje słowa nie zawsze przyjmowane były ciepło. W oczach innych stanowiły niebezpieczną herezję.

Polowanie

Na uniwersytecie miałam nadzieję, że zabawa w kotka i myszkę z rodziną skończyła się. Niestety, kiedy zbliżałam się do ostatniego roku, znowu dostałam ostrzeżenie od Skip. Nie przestano mnie szukać ani przez chwilę, a ojciec w jakiś sposób dowiedział się, gdzie studiuje. Zdecydowałam się być ostrożniejsza i miałam nadzieję, że ojciec nie ma władzy w sercu uczelnianego Lancaster.

Pewnego poranka, niedługo po otrzymaniu telefonu od Skip, przyjechałam na zajęcia autobusem. Kiedy zamierzałam wysiąść, zobaczyłam pod bramą znajomą postać. To był Raz. Wiedziałam, że na mnie czeka. Potwierdziło się ostrzeżenie Skip. Odnaleźli mnie.

Widząc Raza, przeżyłam ogromny szok. Uznawałam Lancaster University i całe środowisko akademickie za moje sanktuarium. Byłam tu wolna od rodziny i mrocznej przeszłości. Ta iluzja rozwiązała się. Po dwóch latach w miarę normalnego życia musiałam natychmiast się przeprowadzić. Skąd

mogłam wiedzieć, ile wie o mnie rodzina? Musiałam wrócić do życia jak nomada.

Przephnęłam się na tył autobusu. Wyrzałam przez okno, by zobaczyć, czy Raz mnie dostrzegł. Nie wyglądało na to. Wciąż wypatrywał znajomej postaci pośród tłumu studentów, wlewającego się na kampus. Kiedy autobus ruszał, schyliłam się. Serce mi waliło, a w żyłach znowu krążył strach.

Wysiadłam na następnym przystanku i zadzwoniłam do przyjaciółki. Spytałam, czy mogłabym pomieszkać u niej kilka dni. Chciałam dokończyć studia - rodzina nie mogła mi tego zepsuć. Jeśli bym musiała, wróciłabym do swoich wędrowek, ale nie miałam zamiaru pozwolić jej wygrać.

Później zakradłam się na uniwersytet, korzystając z tylnego wejścia. Poszłam porozmawiać z moim wykładowcą filozofii, doktorem Lawem. Był po czterdziestce. Lubiłam go i ufałam mu. Podczas studiów odbyliśmy wiele ciekawych rozmów na temat wiary, plemion i tożsamości. Wiedział, że odwróciłam się od islamu i nie utrzymywałam kontaktu z rodziną. Powiedziała mu, co się stało. Doktor Law powiadomił administrację, by nie przekazywano absolutnie nikomu moich danych. Ochrona miała zwrócić na mnie baczność uwagę.

Następnego dnia odkryłam w mojej przegródce list. Był od Raza. Fakt ten sprawił, że pojęłam skalę zagrożenia. Znaleźli się tak blisko mnie.

To list od twojego brata, Raza. Musimy się skontaktować. Chcemy z tobą porozmawiać. To mój numer telefonu.

Jak zdołali mnie odnaleźć? Zadzwoiłam do Skip i wszystko stało się jasne. Miałam na kursie znajomą muzulmankę, Jamilę. Była jedną z osób, z którymi próbowałam rozmawiać o Koranie. Jednak jej to nie interesowało. Nie przeczytała go nigdy po angielsku. Miałyśmy jednak wspólne tematy - bollywoodzkie filmy, muzykę i to, co leciało w telewizji.

Nie wiedziałam jednak, że mieszka ona na ulicy, na której Raz prowadził teraz sklep. Dzięki niemu poznała moją rodzinę. To ona powiedziała im, że uczęszczamy na ten sam kurs na Lancaster University. Kiedy Skip mi to przekazała, odnalazłam Jamilę na kampusie.

- Podobno powiedziałaś mojej rodzinie, gdzie mieszkam. Dlaczego?

Wyglądała na zmartwioną. Unikała kontaktu wzrokowego.

- Wpadłam po prostu na twojego brata w sklepie. Zna mojego wujka i wiem, że cię szukali, więc mu powiedziałam. Co w tym złego...?

- Wiesz, co zrobiłaś? - przerwałam jej. - Masz świadomość, jakie to dla mnie niebezpieczne?

- Jak to? To nie moja sprawa.

- Nie twoja! Teraz już twoja! Wmieszałaś się w nią, mówiąc im, gdzie mieszkam.

Odróciłam się i odmaszerowałam. Nigdy potem ze sobą nie rozmawiałyśmy. Zachowała się w niezwykle samolubny sposób. Nie mogłam jej tego wybaczyć. Byłam wściekła. Zdradziła mnie. Zachowywała się jak moja koleżanka, a potem wydała mnie rodzinie. Być może nie wiedziała, jakie to dla mnie niebezpieczne, ale mogła po prostu zapytać.

Nie skontaktowałam się z Razem. Za bardzo się bałam. Nie wiedziałam, czemu tu przyjechał, ale mój ostatni kontakt z rodziną sprowadzał się do tego, że patrzyłam, jak tłum prowadzony przez ojca chce mnie zlinczować za „zdradę” islamu. Nie chciałam tego powtórzyć.

Raza parokrotnie widziano na kampusie, ale nikt nie mógł z tym nic zrobić. Była to przestrzeń publiczna, a ponieważ nie łamał prawa, mógł chodzić, gdzie chciał. Nie sądziłam, żeby Raz miał złe intencje. Był łagodny. Jednak przysyłał go ojciec i to jego się bałam.

Naiwne marzenia o pojednaniu z rodziną, które towarzyszyły mi w okolicach chrztu, zdążyły wyblaknąć. Jednak modliłam się za nich regularnie i miałam nadzieję, że zrozumieją, czemu wybrałam taką, a nie inną ścieżkę. Prosiłam o zdrowie dla mamy i szczęście dla sióstr. Modliłam się o pogodzenie z braćmi. A czasem prosiłam nawet o wybawienie dla ojca.

* * *

W trakcie ferii pracowałam dla chrześcijańskiej organizacji charytatywnej w Grecji. Co roku wynajmowała ona pensjonat, gdzie urządzano wakacje dla chrześcijańskich rodzin. Przyjęto mnie tu do pracy. Miałam przynajmniej pewność, że moi krewni tu nie dotrą. Uwielbiałam swoje zajęcie. Szczególnie dobry kontakt nawiązałam z jedną rodziną. Pochodzili oni z miasteczka Farnham w południowej Anglii.

Rozmowa z nimi sprawiła, że zaczęłam myśleć o prawdziwej ucieczce. Rzadko widywali kogoś takiego jak ja, gdyż w Farnham

nie mieszkało wielu Azjatów. Ciągle czułam, jakby rodzina czyhała na mnie tuż za rogiem. Mogłam uwolnić się od tego tylko poprzez opuszczenie północnej Anglii. Musiałam przenieść się gdzieś, gdzie nie wpadałabym ciągle na osoby powiązane z moją społecznością i przeszłością.

Byłaby to trudna decyzja, gdyż oznaczałaby zerwanie więzi ze znajomymi, ale musiałam ją rozważyć. Po skończeniu studiów być może mogłabym przeprowadzić się do Farnham i uciec na dobre. Brat szukał mnie na kampusie, więc miałam mało czasu. Zdecydowałam, że przeprowadzę się zaraz po skończeniu nauki.

Udało mi się ukończyć studia z niezłymi wynikami. Ciężko pracowałam i uważałam, że zasługuję na dobre stopnie. Było mi przykro, że nie mogę dzielić się szczęściem z rodziną, ale cóż mogłam począć? Felicity bardzo się ucieszyła. Poszłyśmy z nią, Zoe i Rachel świętować do włoskiej restauracji, gdzie najadłyśmy się do syta. Felicity powiedziała, że jest ze mnie dumna. Od dnia, w którym uciekłam z domu, przebyłam długą drogę.

W trakcie ostatniego semestru starałam się o pracę w kilku miejscach w Farnham. YMCA oferowało mieszkanie i płacę. Z radością przyjąłabym więc ich ofertę i ruszyłam na słoneczne południe Anglii.

Farnham było pierwszym miastem, w którym się osiedliłam, gdzie nie mieszkali prawie żadni pakistańscy muzulmanie. Na początku czułam się z tym dziwnie. Na ulicach nie spotykało się Azjatów. Prawie wszyscy byli biali. Od razu to zauważyłam, jednak nikt nie zwracał na mnie uwagi. Pierwszy raz w życiu czułam, że mogę wtopić się w tłum.

Anonimowość wynikająca z mieszkania w dużym mieście na południu Anglii dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Nie musiałam oglądać się przez ramię, zastanawiając się, czy w okolicy nie czai się ktoś z rodziny. Żyłam w strachu przez sześć lat. Nagle poczucie niepewności zniknęło.

Oczywiście wciąż byłam podejrzliwa. Kiedy poznałam w Farnham kogoś nowego, nie mówiłam mu, gdzie mieszkam. Dużo czasu minęło, zanim nauczyłam się ufać obcym.

Praca dla YMCA polegała przeważnie na uczeniu religii w szkołach. Pomagałam też bezdomnym, którzy pojawiali się w schronisku. Uczyłam ich niezależności, aby lepiej radzili sobie w życiu. Zrozumiałam, że potrafię znaleźć wspólny język z ludźmi, którzy przychodzili tu z ulicy. Większość uciekała przed kimś lub czymś. Czułam, że ich sytuacja nie różni się bardzo od tego, przez co sama przechodziłam.

Mieszkając w Farnham, poczułam, że nareszcie nadszedł kres uciekania. Nie mógł mnie tu znaleźć nikt z mojej ulicy czy społeczności. Czasami wpadałam w panikę: „Zbyt długo tu mieszkam. Muszę spakować się i wsiąść do pociągu, zanim mnie znajdą!”. Brałam jednak głęboki oddech i mówiłam sobie, że jestem tu bezpieczna.

Wiedziałam, że nareszcie mogę zapuścić korzenie. Poszłam na podyplomowy kurs nauczycielski. Wprowadziłam się do domu ze znajomymi z nowego kościoła. Jednak kiedy strach przed tym, że rodzina mnie znajdzie, mijał, zaczynało mi jej brakować. Tęskniłam za młodszą siostrą, Billym i mamą. Zastanawiałam się, co teraz robią. Strach, że mnie znajdą, został zastąpiony głębokim poczuciem straty.

Ponieważ przestałam fizycznie uciekać, zrozumiałam, że muszę zakończyć też ucieczkę psychiczną. Nie mogłam ukrywać tego, że byłam wykorzystywana. Nadeszła pora, żeby stanąć temu czoła.

Pora wejść w ciemność po to, by przegnać ją raz na zawsze.

Odnajdywanie siebie

Stawienie czoła wykorzystywaniu, które rzuciło cień na pierwsze szesnaście lat mojego życia, miało być trudnym zadaniem. Wciąż czułam, że to częściowo moja wina. Co zrobiłam, żeby powstrzymać ojca? Nie uciekłam. Nikomu nic nie powiedziałam. Wciąż nosiłam w sobie wstyd. Czułam, że wszystkie inne związki w moim życiu oparte są na kłamstwie. Kiedy któreś z przyjaciół mówiło mi, że mnie kocha, myślałam: „Czy powiedziałbyś tak, gdybyś o wszystkim wiedział?”.

Cztery lata po tym, jak ojciec przestał mnie wykorzystywać, wciąż czułam się brudna, bezwartościowa i winna. Uczucie to nie mijało. Fakt, że tak długo to ukrywałam, sprawiał, że czułam się jeszcze gorzej. Była to moja mroczna tajemnica. Prawdę zdradziłam tylko Bogu. Na szczęście mnie nie odrzucił.

W Farnham poznałam dziewczynę, Samanthę, z którą szybko się zaprzyjaźniłam. Była radosną i tryskającą energią ekstrawertyczką. Miała drobną budowę ciała i ciemne,

szarawe oczy. Miło przebywało się w jej towarzystwie. Miała też złote serce.

Poznałyśmy się w kościele. Samantha natychmiast otoczyła mnie miłością. Chciała, bym poznała jej rodzinę. Z czasem niemal zostałam przez nich „adoptowana” - podobnie jak kiedyś przez Felicity. Wynajęłam dom z Samantha i jej bratem, Chrisem. Miała to być moja bezpieczna przystań na najbliższą przyszłość.

Samantha była bardzo kreatywna. W ogródku mieliśmy drewnianą szopę. Postanowiła przerobić ją na sypialnię - podobał jej się klimat pomieszczenia, kojarzący się z cyganerią artystyczną. Był w niej prąd, więc mogła korzystać ze światła i ogrzewania. Urządziła tam warsztat malarski, dzięki czemu w domu nie pachniało farbami. Szopa w ogrodzie przerodziła się w jej sypialnię.

Mieszkaliśmy we trójkę jak rodzina. Nie mieliśmy osobnych szafek na jedzenie, jak zdarzało się z koleżankami z uniwersytetu, lecz gotowaliśmy dla siebie nawzajem. Przeważnie przyrządzałam pikantne curry, które Samantha i Chris pochłaniali. Ona uwielbiała robić *chorizo* i hiszpańskie potrawy. Chrisowi zaś całkiem nieźle wychodził makaron.

W ogrodzie był też sad. Samantha stwierdziła, że chce zrobić szarlotkę. Zbieraliśmy jabłka z takim entuzjazmem, że nikt nie miał już siły na pieczenie. W końcu rozdaliśmy owoce na ulicy. Następnym razem zebraliśmy je na cydr i sytuacja powtórzyła się. Mieszkańcy naszej ulicy mogli cieszyć się naszymi jabłkami dwie jesienie z rzędu.

Samantha była marzycielką, ale w pozytywnym sensie. Kiedy spotykała na ulicy bezdomnego, przyprowadzała go do

domu, dawała jeść i znajdowała miejsce, gdzie mógł się przespać. Wiedziała, że zapraszanie obcych do domu jest nie fair w stosunku do nas, więc przeważnie dawała im schronienie w garażu. Miała nawet problemy w kościele, ponieważ kiedyś pozwoliła przespać się w nim bezdomnemu. Akurat nocowały tam dzieci, kiedy pojawiła się ta nieznajoma osoba.

- Skoro już tu jesteś, możesz zostać! - obwieściła radośnie Samantha.

Tak więc bezdomny spał w kościele razem z dziećmi. Nikt nie był z tego faktu zadowolony, a zwłaszcza kościelny. Mnie podobała się jej szczodrość i spontaniczność. Między innymi za te cechy bardzo ją szanowałam, jednak były też one przyczyną moich obaw. Samantha potrafiła podejść w środku nocy do kogoś, kto po bójkę był cały we krwi. Była nieustraszona, choć drobna i często zdana wyłącznie na siebie.

Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego jak ona. Nie wyobrażałam sobie nawet, że ktoś taki może istnieć. Zachowywała się tak, jak gdyby nikt nie mógł jej skrzywdzić ani nigdy tego nie zrobić. Bałam się jednak, że to może nastąpić, przez co na zawsze zmieniłoby się jej podejście. Martwiłam się zarówno o to, czy będzie w stanie się obronić, jak i o jej cudowną niewinność.

Nie chciałam, by ktoś ukradł Samancie jej niewinność, tak jak skradziono ją mnie, kiedy byłam dzieckiem. Jednak najwyraźniej pilnował jej anioł stróż, gdyż nigdy nic jej się nie stało. Ona natomiast była takim aniołem dla mnie.

Opuściłam gardę, ponieważ poczułam się bezpiecznie. Zaczęłam miewać koszmary i przypominać sobie

najmroczniejsze sceny molestowania — rzeczy, które od dawna dusiłam w sobie. Czasami Samantha przesiadywała ze mną całą noc. Zbyt się bałam, żeby znowu zasnąć i wrócić do koszmaru. Ona zawsze wspierała mnie w takich chwilach. Wiele od niej wymagałam. Zastanawiałam się czasem, co ona wynosi z tej przyjaźni.

Pochodziła z normalnej, konserwatywnej, angielskiej rodziny, choć sama zachowywała się niekonwencjonalnie. Być może ja byłam dla niej kimś, komu mogła zwierzać się z najbardziej szalonych pomysłów. Wiedziała, że nie będę jej oceniać. Pochodziłam z zupełnie innego środowiska niż większość jej białych znajomych. Nie miałam takiego bagażu jak oni i zawsze byłam wobec niej szczerą.

Nie oszczędzałam wtedy nikogo. Zbyt długo żyłam w środowisku, którym rządziły półprawdy, kłamliwe tradycje i pojęcia „honoru” i „hańby”. Społeczność podtrzymywała te „zasady” i ich przestrzegała. Nie chciałam, żeby moje życie tak wyglądało. Musiałam wytyczyć jakąś granicę. Chciałam mówić prawdę i mieć nadzieję, że ludzie zaakceptują mnie taką, jaką jestem.

Nie mogłam znieść nawet drobnych kłamstw angielskiej „uprzejmości”. W Farnham ludzie byli tak mili, że nie mówili, co naprawdę myślą. Kiedy ktoś pytał mnie, co sądzę o jego ubraniu, odpowiadałam szczerze, nawet jeśli musiałam powiedzieć, że jest tragiczne. Nie zawsze kończyło się to dobrze.

Jednak Samantha to doceniała. Lubiła otrzymywać szczerą, a nie uprzejmą odpowiedź. W ten sposób dostawała ode mnie coś, czego potrzebowała. Jednak sama dawała mi o wiele więcej i z radością przyjmowałam jej przyjaźń.

Nękały mnie ciągle koszmary. Samantha zawsze była wtedy obok. Stwierdziłam w końcu, że zasługuje na szczerość. Opowiedziałam jej o tragedii, którą przeżyłam, a ona przytuliła mnie, jak gdyby mogło to sprawić, że ból minie. Czasem płakała ze mną, ale zazwyczaj była silna.

Powiedziałam Samancie więcej niż komukolwiek innemu. Wiedziałam, że mogę powierzyć jej moje życie. Opowiedziałam jej wszystko.

Pewnego dnia udałam się do centrum Farnham na zakupy. Nagle znalazłam się w nieznannej okolicy. Byłam zagubiona i zdezorientowana. Zadzwoiłam z komórki do Samanthy. Ta wyczuła moje przerażenie. Poprosiła, żebym opisała budynki, które widzę. W końcu domyśliła się, gdzie jestem.

- Poczekaj - powiedziała. - Jadę po ciebie!

Niebawem pojawiła się i zabrała mnie do domu. Nie miałam pojęcia, co się stało. Zgubiłam trzy godziny z życia. Nie pamiętałam, gdzie byłam ani co robiłam. Ogarnął mnie niepokój. Zrzuciłam to na przemęczenie i na to, że źle skręciłam. Z czasem jednak zaczęło się to powtarzać, a Samantha zawsze wtedy przy mnie była.

Zaczęłyśmy obawiać się, że może to skutek problemów zdrowotnych, z którymi sama sobie nie poradzę. Samantha zasugerowała, że potrzebna mi pomoc. Czy mroczna depresja, przez którą znalazłam się w szpitalu psychiatrycznym, powróciła, objawiając się w nowy, przerażający sposób? Nie byłam pewna.

Poszłam do lekarza pierwszego kontaktu i powiedziałam mu, co się dzieje. Zdiagnozował u mnie depresję i przepisał leki. Nie

chciałam ich jednak brać. Dolegliwość ta musiała skądś się brać. Medykamenty mogły zwalczyć symptomy, ale nie przyczyny.

Lekarz wyjaśnił, że w naszej części Farnham jest za mało terapeutów, by pomóc wszystkim. Na wizytę trzeba było czekać dwa lata. Na chwilę obecną mógł mi zaoferować jedynie leki.

Zdecydowałam, że ich nie chcę. Wybrałam zamiast tego prywatną, religijną poradnię. Rozmawiałam z terapeutką o przeszłości, o koszmarach i bezsenności, o zanikach świadomości trwających godzinami. Powoli zaczęłam opowiadać o najgorszych aspektach wykorzystywania. W końcu przyznałam nawet, co działo się ze mną w piwnicy.

- Hannah, cierpisz chyba na ZSP - stwierdziła terapeutką. Spotykałyśmy się od kilku miesięcy i zaczęłam jej ufać.

- Co to znaczy?

Wyjaśniła, że skrót ten oznacza zespół stresu pourazowego. Często cierpią na niego żołnierze, którzy widzieli zbyt wiele, oraz inne osoby, które doświadczyły w życiu ciężkich sytuacji - policjanci, strażacy czy ofiary groźnych przestępstw.

ZSP - z jednej strony brzmiało to groźnie. Czy znaczyło to, że jestem naprawdę chora? Jednak z czasem uznałam, że dobrze jest wiedzieć, co mi dolega. Na szczęście wikary mojej parafii miał doświadczenie w relacjach z osobami cierpiącymi na tę przypadłość - głównie z brytyjskimi żołnierzami. Bardzo mnie wspierał. W moim przypadku wykorzystywanie trwało tak długo, podobnie jak proces jego wypierania, że doszły do tego także inne komplikacje. Ale największy problem stanowił ZSP.

Poszłam z tą diagnozą do lekarza pierwszego kontaktu. Zgodził się, że mogę cierpieć na ZSP - wskazywały

na to symptomy. Nie próbował już wciskać mi proszków. ZSP można wyleczyć tylko poprzez rozmowę i chęć poradzenia sobie z problemem. Zdecydowałam, że chcę zrozumieć, przez co przeszłam, co pozwoli mi wyzdrowieć. Ustaliłam własną metodę leczenia.

Znalazłam w Cotswalds ośrodek o nazwie Harn Hill. Było to religijne uzdrowisko położone pośród zielonych wzgórz, gdzie na polach pasły się krowy i owce. Ludzie opowiadali tam o swoich przeżyciach. Modliliśmy się wspólnie i medytowaliśmy nad naszymi problemami. Mogliśmy to robić w zupełnym spokoju, oddaleni od codziennych trosk.

Pierwszy tydzień w Harn Hill był magicznym przeżyciem. Zaczęłam jeździć tam, kiedy tylko mogłam. Mówiąc o tym, co mi się przydarzyło, uwalniałam się od bólu i cierpienia. Rozmowy i terapia bardzo mi pomogły. Czułam się znowu lepiej i nawet skłaniałam się ku temu, by wybaczyć ojcu.

Nie chciałam, by przez resztę życia patrzono na mnie wyłącznie jak na ofiarę molestowania. Chciałam nauczyć się mówić o tym, co mi się przydarzyło, odrzucić nienawiść i pogardę i nie pozwolić, aby mnie pochłoneły.

Chciałam pozbyć się też braku zaufania do mężczyzn. Tylko wtedy mogłam liczyć na to, że znajdę kogoś, kogo pokocham, i kto pokocha mnie. Kiedy znowu stawałam się kompletna, pewna część mnie nadal czuła pustkę.

Była to część mnie, która pragnęła miłości.

Szukając miłości

W Gwiazdkę 2006 roku poszłam do kościoła St Brides w Farnham. Czytałam fragment z Biblii na pastercie. Msza dobiegała już końca, kiedy zaczął gapić się na mnie pewien młody człowiek. Przez moment spojrzałam mu w oczy, ale szybko odwróciłam wzrok. Zastanawiałam się, na co tak patrzy.

Cały czas to robił. Było to denerwujące i niemiłe. Kiedy msza się skończyła, poszedł porozmawiać z naszą wspólną znajomą, Jenny. Ucieszyłam się, że to koniec. Jednak okazało się, że wypytywał ją o mnie!

- Kim jest ta piękna dziewczyna? - spytał.

- Która? Mamy tu dzisiaj mnóstwo pięknych dziewczyn, nie widzisz?

- Tamta - odparł chłopak, nie zwracając uwagi na kokieterjny ton Jenny. - Ta, która czytała. Z wielkimi brązowymi oczami, pięknymi włosami i...

- No dobrze, dobrze - przerwała mu Jenny. - Wiem, o kim mówisz. To Hannah. Chodź, przedstawię cię.

Jenny i nieznajomy podeszli do mnie. Przedstawiła go jako Toma. Wyjaśniła, że powinniśmy się poznać, bo ja byłam kiedyś muzułmanką, a jego fascynuje islam. Oczywiście nie była to prawda, chciała nas po prostu zeswatać. Tom natychmiast zaczął o czymś mówić, a już chwilę potem prosił o mój numer telefonu. Rzadko widywałam tak zdesperowanych facetów!

Powiedziałam mu, że nie dam mu swojego numeru. Był zbyt śmiały, prosząc o niego tak szybko. Podobno zachwycałam go, gdy czytałam Biblię. Stwierdził, że musi mnie lepiej poznać, bez względu na wszystko. Nie wiedział jednak, jak ciężko będzie mu tego dokonać.

Muszę przyznać, że zafascynowały mnie jego urocze, błękitne oczy. Wyglądał jak artysta - nosił koszulę w kwiaty i miał kozią bródkę. Nie był w moim typie, ale prezentował się o wiele lepiej niż Ian - mój chłopak sprzed lat z obsesją na punkcie Manchesteru United. Nie wydawało mi się jednak, żeby miał romantyczne zamiary. A nawet jeśli tak, nie był dziwny. Zawsze zastanawiałam się, czemu muszą podobać mi się dziwacy.

Toma nie zraziła moja reakcja. Namówił Jenny, by przekazała mu mój numer. Następnego dnia zadzwonił znienacka. Chciał dotrzeć do domu Jenny w pierwszy dzień Świąt, bo wiedział, że będę tam z Samantha i innymi znajomymi, jednak nie udało mu się. Zamiast tego zadzwonił.

- Cześć, tu Tom. Pamiętasz? Poznaliśmy się w kościele...

- Tak... racja - odparłam ostrożnie. - Skąd do licha masz mój numer? Pamiętam, że ci go nie dałam.

- Powiem ci skąd, jeśli zgodzisz się, żebym dziś do ciebie wpadł. Dobrze?

Musiałam przyznać, że dostałam dziesięć punktów na dziesięć za wytrwałość. Zgodziłam się, bo w domu mieli być Samantha i Chris. Intrygował mnie. Kim jest ten Tom? Spotkanie się z nim nie może być takie złe. Poza tym zastanawiałam się, kto z moich znajomych dał mu mój numer. Byłam pewna, że to Jenny. Miała psotną naturę, co w niej uwielbiałam.

- Mogę przyjść i zobaczyć się z tobą?

- Dobrze. Wpadnij na herbatę albo coś...

Tom pojawił się u nas jakiś czas później. Przez godzinę siedział na kanapie, bredząc o Bóg wie czym. Był połączeniem potoku słów i nerwowej energii. Zadawał mi jedno pytanie po drugim, nie dając nawet kiłku sekund na odpowiedź. Sprawiał też wrażenie, jakby zapomniał o obecności Chrisa i Samantha.

Kiedy sobie poszedł, wciąż nie miałam pojęcia, o czym mówił. Bardzo się płątał. Pomyślałam: „Co za dziwak. Mam nadzieję, że da mi spokój”.

Później zadzwoniła Jenny.

- Więc? Co myślisz o Tomie? - spytała.

- O Tomie? Szczerze mówiąc, to paplający kretyń. Trzymaj go ode mnie z daleka, dobrze?

Jenny roześmiała się.

- Nie bądź taka ostra. Biedny Tom. Nie jest taki zły. Ma cudowne oczy...

Tom jednak nie poddał się. Spróbował kontaktu esemesem:

Proszę, spotkaj się ze mną w Southampton.

Społeczność. Potrzebujemy jej.

Jest tu wielu muzulmanów. Tom.

Ze co? O czym on bredził? Nie miałam pojęcia. Odpisałam mu:

Dobrze. Przyjadę, jeśli znajdę czas.

Byłam bardzo zapracowana i nie miałam czasu na nic, a co dopiero na dziwaka Toma. Zaczęłam prowadzić warsztaty na temat islamu i problemów międzykulturowych w ramach pracy dla małej organizacji charytatywnej, Crossways. Pomaga ona ludziom zrozumieć islam - zarówno religię, jak i powiązaną z nią kulturę.

Uczyłam młode muzułmanki, jak rozmawiać z rodzicami o problemach takich jak chociażby zaaranżowane małżeństwa. Chodziło o to, żeby nawiązać dialog, zanim rodzice zaczną wspominać o „honorze i hańbie”.

Na jednym ze spotkań pojawił się Tom we własnej osobie. Przyszedł i od razu powiedział, że fascynuje go to, o czym mówię. Chciał posłuchać i uczyć się. Przyszedł prawie godzinę wcześniej i usiłował pomóc mi w przygotowaniach. Ale wszystko leciało mu z rąk, w związku z czym bardziej przeszkadzał, niż pomagał. Został do końca i nie chciał sobie pójść nawet wtedy.

- Tom, musisz już iść - powiedziałam w końcu. - Za salę płacę od godziny. Mamy jeszcze minutę. Jak nie zdążymy wyjść, ty będziesz pokrywał koszty!

Zaoferowałam, że podwiozę go na dworzec tylko po to, żeby się go pozbyć. Mój szef z Crossways widział, co się działo. Twierdził, że podobam się Tomowi.

- Niemożliwe - odparłam. - Fascynuje go po prostu islam. W każdym razie taką mam nadzieję. Zawsze trafiam na dziwaków...

Tom pojawił się też na następnych warsztatach. Miałam omawiać ubranie, więc przyszedłam w *salwar kamiz*.

Tom popatrzył na mnie i uśmiechnął się nieśmiało.

- Wyglądasz tak... spokojnie - zauważył rozmarzony. - Bije od ciebie spokój.

Nie wiedziałam, jak to rozumieć, ale uśmiechnęłam się uprzejmie. Przynajmniej mój *salwar kamiz* nie był kanarkowożółty!

Z tyłu sali znajdowało się pianino - zamiast mi przeszkadzać, Tom przy nim usiadł. Otworzył je i zaczął grać z pamięci piosenkę zespołu Jamiroquai. Dotykał palcami klawiszy, muzyka płynęła od niego niczym magia, a ja wpatrywałam się w jego blond fryzurę. Grał pięknie, niczym dziki, płomienny anioł.

Kiedy skończył, czar prysł, ale przez chwilę widziałam inną stronę Toma. Stronę, którą być może mogłabym... polubić. Odwróciłam się, ale do głowy przyszła mi myśl: „Dobrze, może faktycznie powinnam dać temu facetowi szansę”. Kiedy czarował klawiszami, mogłam mu się spokojnie przyjrzeć, gdyż nie zalewał mnie potokiem słów. Tak naprawdę był przystojny.

Prawdopodobnie Tom wyczuł zmianę, którą wywołał we mnie swoją muzyką, gdyż zaprosił mnie do Southampton, gdzie mieszkał. Tym razem zgodziłam się. Świetnie się razem bawiliśmy. Kiedy się rozluźnił i przestał mu się płatać język, cudownie dotrzymywał towarzystwa.

- Może chcesz zobaczyć mój kościół? - spytał nieśmiało Tom. - Poznasz moich znajomych. Z pewnością chętnie posłuchają o twoim życiu.

- Dobrze - odparłam z uśmiechem. - Czemu nie?

Zgodziłam się, żeby móc znowu zobaczyć się z Tomem.

- A może chciałabyś zjeść dziś ze mną kolację? - dodał.

- Jasne! Z chęcią.

Niestety, w drodze do restauracji Tom znowu zaczął paplać bez sensu. Nie miałam pojęcia dlaczego. Dowiedziałam się, kiedy usiedliśmy do jedzenia. Próbował zebrać się na odwagę, żeby powiedzieć mi, co do mnie czuje.

- Hannah, jesteś śliczna - wydusił z siebie. - Prawdziwa laska! Chciałbym z tobą chodzić.

Uśmiechnęłam się.

- Dobrze... Spróbujemy, ale powoli.

To był maj, a do końca lata staliśmy się z Tomem nierozłączni.

Ciągle pytałam go o jego życie i o to, jak radził sobie z trudnymi sytuacjami. Jak każdy zastanawiałam się, jak uporać się z negatywnymi emocjami. Z jednej strony można stać się zgorzkniałym. Z drugiej - wznieść się ponad to i zaryzykować zanurzenie się w piękno i odurzający zamęt życia.

Ryzyko to związane jest z ewentualnym cierpieniem, ale z drugiej strony połączone z radością i bogactwem życia. Byłam zdeterminowana, by tak zrobić, zwłaszcza w związku z Tomem.

Przypięłam na ścianie w pokoju *Zaproszenie* autorstwa Oriah Mountain Dreamer. Był to dla mnie bardzo poetycki utwór, pasujący do mojego życia i światopoglądu:

Me interesuje mnie, jak zarabiasz na życie.

Chcę wiedzieć, czego pragniesz

i czy odważysz się marzyć o spełnieniu swych pragnień.

*Nie interesuje mnie, ile masz lat.
Chcę wiedzieć, czy odważysz się wyjść na głupca
Dla miłości
Dla swoich marzeń
Dla przygody, którą jest życie.*

*Nie interesuje mnie, jakie planety
są w kwadraturze do twojego księżycyca*

*Chcę wiedzieć, czy dotykasz jądra swego smutku
Czy otworzyłeś się dzięki życiowym zdradom
Czy skurczyłeś się i zamknąłeś
Z obawy przed bólem.*

I tak dalej. Wiersz ma trzynaście zwrotek, z czego jeden mówi o byciu „niewiernym, a przez to godnym zaufania”. Dla mnie chodziło tu o miłość, ale również o to, by nie trzymać się dogmatów i nie odrzucać wszystkiego, co do nich nie pasuje. Ostatnia zwrotka bardzo mnie wzruszała.

*Chcę wiedzieć, czy możesz być sam
Ze sobą
I czy podoba ci się to towarzystwo
W chwilach pustki.*

Po szesnastu latach życia pełnego mroku i wykorzystywania dopiero docierałam do etapu, w którym mogłam być sama ze sobą i lubić osobę, którą jestem. Miałam nadzieję, że Tom też.

Pewnego dnia zobaczyłam, że Tom ze skupieniem czyta *Zaproszenie*. Kiedy skończył, odwrócił się do mnie i powiedział:

- Rety, jesteś głęboka!

Spojrzałam na niego i odparłam:

- Oby. Zbyt wiele przeżyłam, żeby być płytka.

Niedługo potem zaczęłam powoli opowiadać mu o tym, co działo się ze mną w dzieciństwie. Bałam się tego, bo sądziłam, że ucieknie. Jednak gdybym mu nie powiedziała, nasz związek oparty byłby na kłamstwie. A gdyby powiedział mi, że mnie kocha, nie kochałby prawdziwej mnie.

Musiałam więc to zrobić. Jeśli jest moją bratnią duszą, tak jak Samantha, to nie odwróci się ode mnie. Zaakceptuje mnie poobijaną i pełną życiowych zdrad. Jeśli po wysłuchaniu tego wciąż byłby gotów „wyjść na głupka dla miłości”, to znaczy, że to ten jedyny.

Opowiedzenie wszystkiego Tomowi było trudne, ale dało mi poczucie wyzwolenia i oczyszczenia. Tom jest delikatny, troskliwy, silny i ma złote serce. Dokładnie rok po tym, jak się poznaliśmy, oświadczył mi się. Była to Wigilia 2007 roku - znowu poszliśmy na pasterkę do St. Brides Church. Spytał, czy za niego wyjdę.

Niemalże bez wahania odparłam:

- Tak!

Wikary od razu ogłosił nasze zaręczyny, co wywołało w kościele spontaniczny aplauz. Śmiałam się w duchu. Zgodziłam się wyjść za „dziwaka Toma”. On wciąż uważa za zabawne, że tak o nim myślałam. Jego wersja historii naszego

poznania się jest zupełnie inna - jawi się w niej raczej jako rycerz w lśniącej zbroi!

Być może obie wersje są prawdziwe. Chyba tak. Chyba jest moim rycerzem w lśniącej zbroi...

Lawendowe marzenia

Być może z powodu odnalezienia Toma i miłości poczułam się na tyle silna, by spróbować znowu skontaktować się z rodziną. Nigdy nie przeprosili mnie za to, co mi zrobili. Nieustannie tylko oskarżali mnie o zhańbienie ojca i dobrego imienia rodziny. Mimo to chciałam dalej utrzymywać z nimi kontakt.

Jednak nie miało do tego dojść. Udało mi się skontaktować z moją młodszą siostrą, Aliyą. Zawsze się dogadywałyśmy - nie była idealną muzułmańską córeczką jak Sabina. Miałam nadzieję, że uda mi się znaleźć z nią płaszczyznę porozumiewawczą. Zaczęłyśmy sztywną rozmowę, po czym przeszłam do sedna.

- Mogłabym was odwiedzić - stwierdziłam. - Wpadłabym ze współlokatorką, Samantha. Jest bardzo miła. Polubiłabyś ją.

Aliya była oburzona.

- Jak możesz robić to mamie i tacie? Po tym, co zrobiłaś, chcesz sprowadzić do domu brudną, niewierną *goni*

- Też jestem „brudną niewierną” - odparłam.

- Masz rację... Jesteś nieczysta jak oni wszyscy. Nie chciałabym nawet przebywać z tobą w jednym pokoju.

Rozmowa nie trwała wiele dłużej. Doznałam szoku. Moja siostrzyczka zawsze była o wiele miłsza niż reszta rodzeństwa. Jednak w trakcie mojej nieobecności nienawiść i uprzedzenia ojca przeżarły ją. Jak to możliwe? To było pokręcone i smutne.

Co gorsza, niedługo potem dostałam esemes od Raza:

Śluchaj, lepiej powróć do islamu. I to jak najszybciej. W przeciwnym razie będziesz winna apostazji: nie odpowiadam za to, co zrobisz.

Nie mogłam uwierzyć, że otrzymałam taką wiadomość od mojego delikatnego brata, Raza, który wiele lat temu odprowadził mnie, bym odebrała nagrodę z angielskiego. Wiedziałam, że to, co przeżył w pakistańskiej medresie, pozostawiło blizny w jego psychice, ale dopiero teraz poznawałam jego drugie, przerażające oblicze.

Żadnego z moich braci nie było w tłumie, który ojciec zebrał, aby zabić „zdrajczynię”, czyli mnie. Nie spodziewałam się, że zaangażują się w kampanię nienawiści, którą rozpoczął. Jednak wychodziło na to, że Raz był na dobrej drodze ku temu. Biedak. Ojcu udało się go spacyfikować.

Przynajmniej wiedziałam, że chwilowo nie ma dla mnie drogi powrotu do rodziny. Byłam pełna żalu z powodu ich reakcji. Czułam się, jakbym ponownie ich utraciła. Czy dziwiło mnie, że wciąż trwają przy swych zasadach? Nie. Ale szczerze mówiąc, zawsze żywiłam nadzieję, że uda nam się pogodzić. Teraz nadzieja ta okazała się płonna.

Rodzina gardziła mną głównie dlatego, że odwróciłam się od islamu. Miałam czelność uznać, że mogę zdecydować, w co chcę wierzyć, i iść za głosem serca.

Jednak powody, dla których zwrócili się przeciwko mnie, były złe. Uznali, że nie powinnam była uciekać od rodziny. Jednak miałam do tego pełne prawo. Wierzyli, że nie powinnam była sprzeciwiać się ojcu. Jednak miałam do tego pełne prawo. Uważali, że źle postąpiłam, uciekając przed zaaranżowanym małżeństwem. Jednak miałam do tego pełne prawo. Sądzieli, że nie mogę sama wybrać, w co chcę wierzyć. Jednak miałam do tego pełne prawo.

Miałam do tego pełne prawo!

Ostatnia sprawa była dla mnie najmniejszym „grzechem”. Jednak dla mojej rodziny i społeczności była to ostateczna zdrada.

Ja zaś uznałam, że odtrącają osobę, którą się stałam. Pierwszy raz w życiu czułam, że jestem dobra. Zaczęłam wierzyć w siebie. Miałam tak wiele do zaoferowania - znajomym, kolegom z pracy i wreszcie narzeczonemu. Jednak moja rodzina odrzucała to wszystko, chcąc ukryć mnie w mrocznym miejscu, w którym byłam tak długo więziona.

Miałam też mnóstwo do zaoferowania nieznanym poprzez swoją pracę, przemawianie w społecznościach, grupach młodzieżowych, na imprezach charytatywnych i warsztatach. W związku z tym moje życie stało się pomostem między dwoma światami, systemami wiary i kulturami, które coraz częściej ze sobą walczyły. Istniało tu wiele nieporozumień i konfliktów, jednak ja rozumiałam obie strony.

Wiedziałam, jak *złożyć* te strony do siebie i zburzyć mur nieufności. Nie było to proste - uprzedzenia i ignorancja były silne. Stanowiło to misję, w którą wierzyłam. Chciałam, żeby moja rodzina zrozumiała to przesłanie. Wyglądało jednak na to, że nie słuchali tego, co mówię.

Udałam się na policję, by zgłosić groźby Raza. Potraktowano je poważnie. Wprowadzono w życie działania mające na celu chronienie mnie. Najsmutniejsze było to, że musiałam wyprowadzić się od Samantha. Nie chciałam narażać jej na potencjalne niebezpieczeństwo płynące ze strony mojej rodziny.

Kiedy miałam dziewiętnaście lat, opisałam kilka fragmentów mojego życia na małej maszynie do pisania. Przeplatane były niezręcznymi wierszami, w których próbowałam wyrazić mój ból i poczucie zdrady. Nie chciałam streścić swojej historii. Próbowałam lepiej zrozumieć, co się stało, przelewając to na papier.

Jako dziecko pisywałam pamiętniki i krótkie opowiadania. Jako dziewiętnastolatka miałam nadzieję, że pisanie pomoże mi zrozumieć to, przez co przechodzę, i uporać się z tym. Pomyślałam, że te wiersze są niemądre i niewiele warte. Jednak niezależnie od tego, jak niezgrabnie się rymowały, wyrażały to, jak się wtedy czułam, i pomagały mi dojść do ładu z moją mroczną przeszłością.

Jeden z nich zatytułowałam *W głębi mojego umysłu*. Napisałam go w wieku dwudziestu jeden lat. Nawet dziś nie wydaje mi się taki zły:

*W umyśle mym żyją
Marzenia o życiu, które mogło być
Z Tobą we mnie,
Trzymającym mnie, obok mnie.
Jednak najpierw muszę chcieć,
Byś złapał moje myśli w sieć.
Odebrał mój brud,
Mój ból i trud.
Może wtedy zdołam wybaczyć,
Żyć, kochać, dawać
Pozwól mi, Panie, być
Dziecięciem Bożym, które we mnie widzisz
Musisz mnie uzdrowić, chcieć
złapać moje myśli w sieć
Odebrać mój brud,
Mój ból i trud
Chciałabym, chciałabym być
Dziecięciem Bożym, które we mnie widzisz
Gdyby nie odebrał mi miłości,
nie wypełnił mnie kłamstwami i błotem
Odebrał mi moją troskliwość
Miłość, dziecięcą dobrotliwość
Niewinność też ukradł z trudem
I napełnił wszelkim brudem.*

W tych wierszach występuje powtarzający się motyw - zamęt, zdrada i mrok oraz pragnienie wolności. Ten zatytułowałam po prostu *Wolna*. Nie jest dobry, ale oddaje to, co czułam w tym czasie:

Muszę być znowu wolna.
Móc unieść się w niebo
Niczym ptak
Muszę być wolna
Muszę być znowu wolna.
Aby wolno mi było mówić, co chcę
Aby wolno mi było być, kim chcę
Muszę być wolna
Muszę być znowu wolna.
Wolna, by kochać i ufać
Wolna, by być i ufać
Muszę być wolna
Muszę być znowu wolna.
Wolna od świata strachu i bólu
Wolna niczym wiatr
Muszę być wolna
Muszę być znowu wolna.
Wolna, by być tym, kim chcę
Wolna, by odkryć prawdziwą siebie
Muszę być wolna.

Po jakimś czasie przestałam pisać. Zrozumiałam, że zbyt mocno mnie to pochłania i staję się odludkiem. Gdy przelewałam swoje myśli na papier, potrafiłam przez kilka dni z nikim nie rozmawiać. Przypominało to moją strategię z czasów dzieciństwa, kiedy uciekałam przed wykorzystywaniem w wyimaginowany świat. Przenosiłam się tam, ilekroć moje ciało było bite i molestowane w ciemnej piwnicy.

Przestałam pisać, a *zaczęłam* opowiadać o swoim życiu w szkołach i kościołach, starając się przekazać wynikającą z niego lekcję. Pamiętam, jak kiedyś małe dziecko spytało mnie:

- Dlaczego jesteś brązowa? Czy to Bóg cię taką uczynił?

Dobre pytanie. Czemu byłam brązowa? Nie czułam się wtedy bardzo „brązowa”, a właściwie nie lubiłam swojego koloru skóry - stanowił dla mnie symbol wszystkich problemów, przed którymi uciekłam. Tak naprawdę w tym okresie żałowałam, że nie urodziłam się w białej, angielskiej rodzinie. Gdyby tak się stało, być może pierwsze szesnaście lat mojego życia nie byłoby takie straszne, pełne zdrady i mroku. Przynajmniej tak myślałam.

Teraz jestem zadowolona z koloru swojej skóry. Pobraliśmy się z Tomem wiosną 2008 roku i mam nadzieję, że nasze dzieci będą jaśniejsze. Wiem, że będą śliczne.

Ślub był jak z bajki. Wzięliśmy go w St. Brides Church. Przybyli na niego wszyscy moi znajomi i przyszywani krewni. Rachel i Samantha były moimi druhami. Felicity i James przyjechali z Bermford, aby mnie wydać. Tom i drużbowie mieli identyczne cylindry i fraki oraz białą różę w butonierce. Tom wyglądał wspaniale w czarnej marynarce, grafitowych spodniach, białej koszuli oraz w lawendowym krawacie. Zrozumiałam, jak przystojnego faceta udało mi się zdobyć!

Lawendowy stał się kolorem przewodnim naszego wesela. Kościół, zaproszenia, kwiaty, a nawet serwetki i obrusy były ozdobione lawendowymi motylami. Wzdłuż głównej nawy wisiały lawendowe balony, udekorowane motylami i naszymi imionami. Miałam białą suknię, diamentowy kolczyk w nosie, a we włosach tiarę.

Moje drużny ubrane były w suknie w kolorze lawendy. Wykorzystałam kolor z pól z dziecięcych marzeń. Oznacza on dla mnie miłość, życie i nadzieję. Natomiast motyl jest dla mnie symbolem transformacji - z mroku ku światłu.

Kościół wypełniali znajomi i krewni. To oni dekorowali budynek, gotowali jedzenie, robili zdjęcia, kręcili film i starali się zrobić wszystko, żeby obniżyć koszty ślubu. Ojciec Samantha poprowadził mnie do ołtarza, gdzie Tom czekał, aż powiem „tak”. Oczywiście spóźniłam się, a on zaczął się już denerwować. Jego drużba zażartował, że w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

Nie zmieniłam. Nie wahałam się. Spojrzałam z radością w oczy Toma i powiedziałam „tak”. Wtedy pozwolono mu pocałować pannę młodą. Kiedy mnie objął i całował zdecydowanie dłużej, niż robi się to zazwyczaj, w kościele rozległy się głośne oklaski. Tom zawsze robił wszystko po swojemu.

Po ślubie odbyło się wesele w sali nad kościołem. Jenny, dzięki której poznaliśmy się z Tomem, zaoferowała, że zapewni nam muzykę. Śpiewa ochrypłym, zmysłowym głosem, który zawsze powoduje u mnie ciarki. Kiedy dziękowaliśmy wszystkim gościom za to, że byli z nami w ten wyjątkowy dzień, zaśpiewała *Summertime*.

Spotkanie Toma i ślub z nim były dla mnie jak nadejście lata. Odnalazłam drogę do słońca i światła. Felicity i James, moi druzdy rodzice, uratowali mnie i wyciągnęli z mroku. Samantha, jej matka i ojciec byli dla mnie kolejną zastępczą rodziną. To oni przyjęli mnie w miejscu, w którym mogłam przestać czuć zagrożenie ze strony krewnych. Zawdzięczałam im tak wiele - szczęście i życie.

Po weselu Tom porwał mnie na miesiąc miodowy-nieszczęśliwą. Po długim locie dotarliśmy na tropikalną, niemal rajską plażę.

Mój mąż jest czuły i delikatny - cieszę się, że na niego trafiłam. Tak jak twierdziła Felicity, kiedy miałam szesnaście lat - w końcu odnalazłam mężczyznę swoich marzeń i zakochałam się. A zbliżenia fizyczne z Tomem nie były dla mnie dziwne.

Teraz jestem zadowolona ze swojej religii i tożsamości. Jednak na każdą brytyjską muzułmankę, której udaje się uciec, przypada wiele takich, którym nie jest to dane. Wiele z nich tkwi w małżeństwach z przymusu (a nie tylko zaaranżowanych), jest wykorzystywanych, a ich życie przypomina niewolę.

Część muzułmanek w Wielkiej Brytanii prowadzi pełne, wyzwolone życie. Jednak osobiście znam więcej kobiet uwięzionych w małżeństwie z mężczyzną, który przybył tu z wioski w Pakistanie, pije, bije i gwałci je. Ich mężowie uważają, że Koran ich usprawiedliwia. Uznają, że ich żony stanowią ich własność i mogą z nimi robić, co chcą. Oczywiście wiele muzułmańskich małżeństw ma się dobrze. Używam określenia małżeństwo „z przymusu” w odróżnieniu od „zaaranżowanego”, mówiąc o dziewczynach, które wydaje się za mąż wbrew ich woli.

Spotykam takie kobiety w organizacjach charytatywnych, w których pracuję. Niewiele zmieniło się od czasu, kiedy to ja byłam w ich skórze. Czasem nawet odnoszę wrażenie, że sytuacja się pogarsza. Jednak niektóre władze lokalne stworzyły centra pomocy kobietom. To miejsca, w których muzułmanki mogą znaleźć kogoś, kto z nimi porozmawia. Dowiadują się

tam, jakie mają prawa, i odkrywają, że to, co im się *dzieje*, jest nielegalne w Brytanii. Istnieją schroniska dla kobiet, ale jest ich zbyt mało.

W trakcie pracy w Crossways poznałam pewną rodzinę z Bangladeszu. Wszyscy przeszli z islamu na chrześcijaństwo - matka, ojciec, cztery córki i dziesięcioletni syn. Społeczność naciskała na nich, by wrócili do poprzedniej wiary. W końcu nie wytrzymali - pół rodziny tak zrobiło. Chłopiec i najmłodsza córka poszli w ślady rodziców, jednak trzy starsze dziewczyny - dwudziestojednolatka, osiemnastolatka i szesnastolatka - chciały pozostać przy chrześcijaństwie.

Wiedziały, że są w niebezpieczeństwie. Zdecydowały, że muszą uciec od społeczności, więc zadzwoniły do mnie. Odezwałam się do kilku schronisk, ale żadne nie chciało przyjąć ich, gdyż nikt fizycznie ich nie zaatakował. Byłam oburzona. Jaki jest sens czekania na pomoc do momentu, aż zostaną wyrządzone szkody? Gdyby te dziewczyny napadł czterdziestoosobowy tłum, takjak mnie, jaką miałyby szansę na ucieczkę? Do tego czasu zostałyby pobite albo zabite i potrzebowałyby szpitala lub kostnicy, a nie schroniska.

Na szczęście udało mi się znaleźć w innym mieście rodzinę, która zgodziła się zaopiekować siostrami przez kilka dni. Dało nam to czas na zastanowienie się, co dalej. Istnieje ogromne zapotrzebowanie na schroniska, w których osoby w takiej sytuacji zagrożenia, w jakiej byłam ja czy siostry z Bangladeszu, mogłyby znaleźć azyl.

W tamtym okresie w gazetach wiele pisało się o apostazji, zwłaszcza w kontekście niebezpieczeństwa, na które narażone

są kobiety pragnące odejść od islamu. Czytałam artykuły i zastanawiałam się, czy ktoś tym kobietom pomaga. Są też dziewczyny uciekające przed zaaranżowanymi małżeństwami, kobiety popełniające samobójstwa, by uwolnić się od mężów, rodzice zabijający własne córki, gdyż te ich „zhańbiły”.

Pamiętam zwłaszcza jedną sprawę. Nastoletnia muzułmanką została zmuszona do wypicia wybielacza przez wujka i brata, a następnie przez nich zadżgana. Za co? Nie godziła się na zaaranżowane małżeństwo. Jej matka była obecna podczas morderstwa i nie zrobiła nic, by jej pomóc. Było to tak okropne, że ledwo zdołałam doczytać ten artykuł. Poczulałam ciarki na całym ciele. Wiedziałam, że tylko łaska boża uchroniła mnie od podobnego losu.

W Londynie mieszka spora społeczność muzułmanów z Maroka. Wiele kobiet przeszło potajemnie na chrześcijaństwo, publicznie udając muzułmanki. Musiały zachować pozory - w przeciwnym razie ich mężowie i rodziny odebraliby im dzieci lub zrobili coś gorszego. Zmuszone są do prowadzenia podwójnego życia. To wszystko w kraju, który gwarantuje podobno swobodę wyznania.

Pracowałam z organizacjami zajmującymi się Marokankami, ucząc je angielskiego i pomagając na różne sposoby. Rozmawiałam z kobietami, które prowadzą takie podwójne życie - oficjalnie wyznają islam, jednak kiedy tylko mogą, wykradają się do kościoła. Niektóre zaś poświęcają swoje prawo do swobodnej wiary, gdyż ryzyko związane z podwójnym życiem jest zbyt wielkie.

Wielka Brytania to kraj, który gwarantuje swobodę religijną, teoretycznie należącą do podstawowych praw człowieka.

Jednak jak naprawdę wygląda sytuacja, zwłaszcza w kontekście muzułmanów?

Nie chodzi tu tylko o przedłożenie jednej wiary nad drugą - muzułmanie nie mogą również odejść od islamu i nie przejść na inną religię. Zostanie ateistą jest równie nie do pomyślenia. Muzułmanie nie mają nawet prawa do braku wiary.

Najbardziej zdziwiło mnie, że nikt nie chce o tym rozmawiać lub poruszyć tematu na forum publicznym. Rzadko trafia to do prasy, gdyż media nie mają dostępu do takich historii. Nie toczą się na ten temat debaty polityczne. Większość organizacji pracujących na tym polu milczy. Ich priorytetem jest uzyskanie dostępu do kobiet w trudnej sytuacji. Publiczne mówienie o problemie w tym nie pomaga. Jedyne wyjście jest milczenie.

Jednak jeśli ta zмова milczenia nie zostanie przerwana, nie się nie zmieni. Gdzie podziało się oburzenie? Gdzie obrońcy praw człowieka, kobiet i swobód religijnych? Zamiast tego nieustannie mówi się o „honorowych zabójstwach” w Wielkiej Brytanii! Jakimże przekłamanie jest ta fraza! Ciągłe słyszę o dziewczynach, o młodych muzułmankach, które wolały odebrać sobie życie, niż znosić poniżenia zgotowane im przez rodziców i ich kulturę.

A to tylko wierzchołek góry lodowej. Ile zatuszowanych spraw przypada na każdą, która trafi do sądu bądź prasy? Wyobraźcie sobie, jak łatwo byłoby ojcu wysłać mnie do Pakistanu i wydać za żonę. Jak łatwo rozwiązać problem (jeśli trzeba, to nawet za pomocą morderstwa), gdybym się opierała. Wyobraźcie sobie, jak społeczność zwałaby szeregi, by go chronić, tworząc zmovę milczenia w sprawie zniknięcia jego córki.

Uciekłam z muzułmańskiego getta, ale z wielkim truciem. Nie wszystko w kulturze i wierze, które opuściłam, jest złe. Mają one wiele zalet - duch i jedność społeczności, szacunek dla starszych, silne poczucie tożsamości, wartości promujące skromność i dobre zachowanie. Są pewne aspekty mojej społeczności, za którymi wciąż tęsknię. Jednak posiada ona wiele cech, które należy zwalczyć bądź naprawić.

To dlatego zdecydowałam się zabrać głos, dlatego podjęłam ryzyko i przerwałam ciszę.

Przerwane milczenie

Pewnego dnia odezwała się do mnie jedna z organizacji, z którymi współpracowałam. Powiedziano mi, że jedna z większych stacji telewizyjnych w Wielkiej Brytanii, Channel 4, kręci film dokumentalny o aranżowanych małżeństwach. Spytano, czy zgodzę się na wywiad.

Z początku wahałam się. Nie wiedziałam, na czym to ma polegać. Jednak umówiłam się na rozmowę z producentem. Spotkaliśmy się w kawiarni na Paddington Station. Okazało się, że to młoda biała kobieta, która wie, co robi. Dała mi odczuć, że jeśli wezmę udział w filmie, zrobi wszystko, by mnie chronić.

Przekazała, że jeśli nie będę się czuć bezpiecznie, w każdej chwili mogę zrezygnować. Mój kontrakt zapewniał mi ochronę tożsamości oraz to, że nie zostanie pokazana moja twarz ani nic, co pomogłoby mnie zidentyfikować. Zdobyła moje zaufanie i zgodziłam się na wywiad.

Nakręcenie go zajęło cały dzień. Odbywał się w Londynie. W wielu scenach idę po prostu ulicą, czy spaceruję po parku.

Pokazywano mnie od tyłu, a kamera koncentrowała się jedynie na moich stopach czy dłoniach.

Mojego głosu nie zmieniono. Uznałam, że nie mieszkałam na północy od tak dawna, że przesiąkałam już południowym akcentem. Mój głos zmienił się na tyle, że nawet najbliższa rodzina nie powinna go rozpoznać.

Kobieta, która przeprowadzała ze mną wywiad, nie była producentką, którą poznałam. Pytała o moje życie i o to, dlaczego uciekłam z domu. Powiedziałam jej o zaaranżowanym małżeństwie, odejściu od islamu i o „zbrodni” apostazji. Wspomniałam o tym, jak uciekłam i musiałam się ukrywać, o tłumie i groźbach. Jednak nie opowiedziałam o głównym powodzie ucieczki.

- Czy w podobnej sytuacji znajdują się inne dziewczyny:
- spytała dziennikarka.

- Tak, oczywiście - odparłam. - Wiele młodych muzułmank niek przeżywa to, co ja.

- Jak można im pomóc?

- Musimy zrozumieć problemy, jakie niesie ze sobą kultura islamu - odparłam. - Powinniśmy przygotować drogi ucieczki dla dziewczyn takich jak ja, gdyż tkwią one w potrzebie. Musimy zacząć o tym mówić, rozpocząć dyskusję na ten temat. Milczenie nie pomaga, a wręcz pogarsza sytuację.

Dziwnie się czułam, kiedy skierowano na mnie telewizyjne kamery. Jednak obserwowanie, jak kręci się film, i spotkanie z ekipą bardzo mi się spodobało. Wydali się niezwykle mili, troskliwi i profesjonalni. Ponadto ich praca jest według mnie bardzo ważna. Ludzie powinni wysłuchać, co mam do powiedzenia

ja oraz inne ofiary. Możemy mówić w imieniu kobiet otoczonych murem milczenia.

Zakończyłam wywiad, czując, że zrobiłam coś dobrego. Poprosiłam o pokazanie mi wersji wstępnej tego, co puszczone zostanie w telewizji. Zostałam zaproszona do Londynu, gdzie producentka dała mi DVD z nagraniem filmem. To, co zobaczyłam, utwierdziło mnie w przekonaniu, że moja tożsamość jest chroniona, a to było najważniejsze.

Program nadano kilka tygodni po nakręceniu. Cieszyłam się, że mogłam być jego częścią. Obejrzałam go w domu z Samantha i Chrisem. Oboje byli ze mnie zadowoleni i dumni z tego, że miałam odwagę wystąpić w wywiadzie.

Po filmie zaczęło pojawiać się coraz więcej próśb o wywiad, przekazywanych mi przeważnie przez tę samą organizację. Zgodziłam się na telefoniczną rozmowę w trakcie niedzielnej audycji w radiu BBC. Następnie zadzwonił dziennikarz prowadzący program o bieżących wydarzeniach. Kręcili film o odwracających się od islamu, o apostazji oraz o tym, jak ludzie ci są traktowani w kraju.

Porozmawiałam z producentem tego filmu. Powiedział, że nie może znaleźć nikogo, kto chciałby mówić o apostazji, nawet anonimowo. Pewna pakistańska rodzina zgodziła się. Pochodzili z mojego miasteczka. Po nawróceniu byli atakowani na ulicach, a ich kościół oblegał wściekły tłum. Filmowcom udało się zdobyć szokujące nagrania z kamer ulicznych. Zgodziłam się na wywiad, ale tylko pod warunkiem zatajenia mojej tożsamości.

Jesienią 2007 roku spotkałam Josephine pracującą na rzecz wolności religijnej w Wielkiej Brytanii. Poznałyśmy się

w Londynie na spotkaniu organizacji charytatywnych, działających wśród muzułmanów. Josephine mówiła o tym, jak dotrzeć do mediów, nie narażając odważnych ludzi, którzy zdecydowali się mówić o problemach.

Ja przedstawiłam prezentację opartą na moich doświadczeniach. Wyjaśniłam, na czym polega moja praca charytatywna z młodymi muzułmankami. Później podeszła do mnie Josephine i przedstawiła się. Spotkałyśmy się potem na kawie i niebawem zostałyśmy przyjaciółkami. Z czasem opowiedziałam jej nieco o moich przeżyciach.

Josephine chciała założyć w Londynie nową organizację zajmującą się swobodą religijną. Spytała, czy przyjdę na lunch do Frontline Club, prywatnego klubu w zachodniej części miasta, założonego z myślą o reporterach wojennych. Wstęp miał tam tylko osoby zaproszone, więc czułam się bezpiecznie. Zastanawiałam się jednak, co mnie tam czeka, gdyż nigdy nie byłam na takim przyjęciu.

Przyszłam wcześniej na prośbę Josephine. Zapytała, czy mogłabym porozmawiać na osobności z jednym z dziennikarzy. Po chwili jednak już kilka osób naraz zaczęło zadawać mi pytania. W końcu Josephine rozpędziła ich niczym nauczycielka.

- Nie, nie, nie! - powiedziała podniesionym głosem, po czym uśmiechnęła się, lecz z groźnym błyskiem w oku. - Biedna Hannah. Nie wszyscy naraz! Musicie rozmawiać z nią po kolei.

Odetchnęłam z ulgą. To miało sens. Najpierw porozmawiałam z dziennikarzem z „Timesa”. Następnie reporterowi Josephine powiedziała, że musi postawić mi lunch, bo jeszcze nic nie jadłam. W związku z tym wywiad odbył się w restauracji

naprzeciwko klubu. Potem byłam już zbyt zmęczona, ale zgodziłam się na wywiady telefoniczne.

Opowiedziałam dziennikarzom o ucieczce przed zaaranżowanym małżeństwem, o nawróceniu na chrześcijaństwo i polowaniu, które urządziła moja rodzina. Nie wspominałam o mroku, zdradzie i wykorzystywaniu. Mówiłam o apostazji i jej znaczeniu. Był to dla nich szok. Pytali, jakim cudem takie rzeczy dzieją się na brytyjskich ulicach w dwudziestym pierwszym wieku.

No właśnie, jakim cudem?

Josephine otrzymała mnóstwo próśb o wywiad. Zgodziłam się na kilka z nich, ale w końcu musiałam powiedzieć „stop”. Zaczęły zajmować mi zbyt wiele czasu, a wciąż pracowałam.

Zgodziłam się jednak na jeszcze jeden, w głównym programie radiowym BBC. Josephine twierdziła, że to ważne, gdyż audycja jest bardzo popularna. Zabrała mnie do studia na wywiad. Poszedł bardzo dobrze, jednak pod koniec dziennikarka użyła słów, które odczuwałam (być może niesłusznie) jako kwestionowanie tego, co robię.

- Co chce pani osiągnąć, mówiąc o tym problemie? - spytała. - Nie sprawi to dodatkowych kłopotów?

Co za głupie pytanie. Czy chciała zasugerować, że powinienam siedzieć cicho, żeby nie robić „kłopotów”? A jeśli tak, to jak miałam pomóc młodym dziewczynom i kobietom znajdującym się w takiej samej sytuacji jak ta, od której uciekłam? Czy milczenie im pomoże? Czy nie potrzebują właśnie, żeby ktoś sprawiał „kłopoty”? Co dobrego dały lata milczenia kobietom, które były ofiarami przemocy, zaaranżowanych małżeństw i gorszych rzeczy?

Zdenerwowało mnie jej pytanie. Według mnie było przepełnione ignorancją i poprawnością polityczną. Przeczytałam niedawno książkę Arthura Koestlera - pisarza i filozofa. Zapamiętałam z niej jedno zdanie: *Problemem zachodniej cywilizacji jest to, że przestała być świadoma wartości, które może stracić.* Zostało to napisane w kontekście komunizmu, lecz pozostaje równie aktualne w obliczu rozwoju pełnego uprzedzeń i ignorancji islamu, takiego jakim wyznaje go mój ojciec.

Według mnie jej pytanie było częścią szerszego problemu cywilizacji Zachodu - poczucia, że jeśli zignorujemy kwestię i nie będziemy sprawiać „kłopotów”, to rozwiąże się ona sama. Jednak sprawy takie jak to, co działo się ze mną przez pierwsze szesnaście lat życia, nigdy same nie znikną. Musimy stanąć w obronie wartości, które ważne są dla Brytanii i reszty demokratycznego świata - wolności słowa, wolności politycznej i swobody religijnej.

Uwagi dziennikarki podziały na mnie jak płachta na byka. Zamiast siedzieć cicho, stwierdziłam, że zacznę sprawiać kłopoty. Nadal będę wypowiadać się na ten temat.

To właśnie wtedy zdecydowałam, że powstanie ta książka. Wykopałam napisane na maszynie strony, które stworzyłam w wieku dziewiętnastu lat. Czytając je, zaczęłam przypominać sobie fragmenty tamtego życia, mroczną tragedię i ucieczkę. Od czego powinnam zacząć?

Niewiele pamiętam z czasów, kiedy byłam mała. Niejasne i mgliste obrazy wyłaniające się z ciemności i szarugi. Pamiętam jednak swoją ulicę. Czerpałam z niej mnóstwo frajdy. Była fantastyczna.

Epilog

To moja opowieść - starałam się, by była dokładna. Czasem pamiętamy niektóre wydarzenia inaczej niż inni, więc przepraszam za wszelkie niedokładności. W moich oczach moje życie nie było przepełnione cierpieniem, lecz miłością. Sofokles powiedział kiedyś: *Jedno słowo uwalnia nas od brzemienia i cierpienia w życiu - to słowo to „miłość”*. Tak właśnie uważam.

Byłam jak motyl w potrzasku. Uwolniłam się jednak od tego, co jedni nazywają hermetycznym mużłmańskim społeczeństwem, a co ja uważam za pułapkę ignoranckiej odmiany islamu. Otrzymałam wolność - swobodę wyboru wyznania, mówienia o tym, w co wierzę i życia, tak jak chcę. Jestem wolną kobietą w świecie, w którym wiele kobiet żyje w klatkach.

Nie tylkoja zdecydowałam się wybrać wolność. Inne kobiety też odeszły od islamu i określano je mianem *murtadd*. Ta historia jest dedykowana także im. Jezus powiedział kiedyś: *To wam powiedziałem, abyście pokój we Mnie mieli. Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat*. Miałam odwagę.

Udało mi się uwolnić. Inni też mogą tego dokonać. Trzeba tylko wykonać pierwszy, najtrudniejszy krok.

Przez większość czasu czułam, że strach uniemożliwia mi czerpanie radości z życia, mimo to uważam, że wszyscy możemy żyć bez strachu i w zgodzie z innymi. Jednak na świecie wszędzie widzę właśnie strach - politycznie poprawną obawę przed obrażeniem muzułmanów, strach przed islamskimi terrorystami, obawę muzułmanów, że wszyscy zostaną okrzyknięci „terrorystami”. Musimy przerwać to błędne koło. Najważniejsze jest zaś przerwanie milczenia.

Jak pisze Ayaan Hirsi Ali w swojej książce pt. *Niewierna: Pytają mnie czasem, czy pragnę śmierci, skoro wciąż mówię to, co mówię. Odpowiedź brzmi „nie”, chcę żyć. Jednak niektóre rzeczy trzeba powiedzieć, a milczenie staje się niekiedy współnikiem niesprawiedliwości*. Kiedy ludzie mówią takie rzeczy, stanowi to dla mnie inspirację. Doktor Martin Luther King powiedział kiedyś: *Nasze życie zaczyna się kończyć, gdy milkniemy na temat spraw, które są ważne*. Uważam, że muszę przemawiać i że możemy żyć bez strachu z tymi, którzy są inni.

Nie mogę milczeć na temat tego, co mi się przytrafiło i co nadal zdarza się wielu dziewczynkom i kobietom. Oczywiście mój przypadek jest skrajny, gdyż ojciec stosował w stosunku do mnie przemoc na wielu płaszczyznach. Jednak było to tym gorsze, że rodzina i społeczność tolerowała tę sytuację. To problem kulturowy, co potwierdzają przypadki wielu innych muzułmanek.

Niepokoję się o przyszłość społeczności muzułmańskiej w krajach demokratycznych. Obawiam się o muzułmanki, które

chcą być wolne w Wielkiej Brytanii, innych krajach Europy czy w USA, jednak nie mogą się takie stać z powodu „honoru” i „hańby” oraz dogmatów środowisk, w których żyją.

Wiara jest bardzo osobistą sprawą. Prawo do wierzenia w to, co się uważa, lub do braku wiary jest podstawą cywilizacji. Jeśli nie mamy chęci czy siły do walki o swobodę wyboru religii, to straciliśmy te fundamenty. Prowadzi to do nietolerancji i totalitaryzmu.

Od momentu napisania tej książki wielokrotnie opowiadałam swoją historię i głosiłam jej przesłanie. W Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych udawało mi się zgromadzić pięcioletnią publiczność. Początkowo było to męczące, lecz nie poddaję się, gdyż nie mogę milczeć w kwestii niesprawiedliwości. Będę głośno mówić o problemie, ponieważ kocham życie i bliźnich zamieszkujących ten świat.

Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie tak jak daję świat, Ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze ani się lęka.

Jan 14:27